

WOJCIECH JARUZELSKI
- JAKI BYŁ?

JAKUB DYMEK
POLITYKA MĘSKA I ŻEŃSKA

PRIGOŻYN I PRYWATNE
WOJSKA W ROSJI

BAŁAGAN
W TELEMEDYCYNIE

Wotyn 43

LUDOBÓJSTWO NIEZAPOMNIANE





teatr powszechny

Teatr, który się wtrąca

lipcowe spacery w parku Skaryszewskim

Teatr Powszechny w Warszawie zaprasza na spacery przyrodnicze w parku Skaryszewskim! Spacer w jednym z największych, najpiękniejszych i najbogatszych pod względem fauny i flory parków w Warszawie poprowadzi Hanna Michoń, edukatorka, absolwentka SGGW na kierunku leśnictwo, autorka bloga „Jak ugryźć las”.

Więcej informacji i bilety dostępne tylko online: www.powszechny.com

sobota, 8 lipca

13.00

Spacer zielarski – tropem jadalnych roślin

dla osób dorosłych

15.00

Rodzinny spacer przyrodniczy

dla dzieci z opiekunami i całych rodzin



Patronat medialny

wyborcza.pl



Wydarzenia organizowane dzięki wsparciu finansowemu Fundacji Współpracy Polsko-Niemieckiej.



Z totemem po kraju

Za cztery miesiące będziemy po wyborach. Choć scenariusz przełożenia terminu wyborów nie jest niestety wyłącznie fantazją. Tak czy inaczej, kończy się czas obecnego parlamentu. Kolejny raz bez żalu żegnamy wybrańców narodu. I z nadzieją, że następni będą lepsi, uczciwsi, mądrzejsi. Jak to się sprawdza, sami widzicie. Do polityki idą coraz marniejsi i oczywiste, co ich przyciąga. Na początku lipca wiadomo, że wynik wyborów jest niepewny. I tak będzie aż do nocy wyborczej. Ktoś będzie minimalnie lepszy. Wiadomo też, komu kibicujemy. Odsunięcie PiS od władzy uważam za absolutnie najważniejszy cel tych wyborów.

„Jeszcze tylko kilka kroków, jeszcze tylko trochę pracy i będziemy tam, gdzie najbogatsze państwa Europy”. To stały fragment wystąpienia prezesa Kaczyńskiego. Jeśli ma na myśli tysiące działaczy partyjnych, ich rodzin i znajomych, to ma rację. W ciągu ośmiu lat rządów tej władzy dorobili się oni milionowych majątków. Takich, których z pewnością mogą im zazdrościć Niemcy i Francuzi. Wielki skok na kasę dojrzałej zmiany.

Ludzie bez umiejętności i bez wiedzy łupili niemiłosiernie spółki, urzędy, instytucje i wszystko, dokąd trafili. Nigdy nie było ekipy, która by kradła tak beczelnie. Ale – jak ciągle powtarzają ich wyborcy – kradną, lecz dzielą się z wujami, kuzynami, kolegami z podstawówki i z ni- by-wyższych uczelni, gdzie organizowali sobie dyplomy.

Bardzo dziękuję za wszystkie dobre słowa i za wsparcie finansowe.

Proszę o dalsze wpłaty na:

Fundacja Oratio Recta

Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821

z dopiskiem: „Darowizna na rzecz PRZEGLĄDU”

Tak może funkcjonować tylko partia tego typu, jaki wymyślił i skonstruował Kaczyński. Pod siebie. Prywatna partia Jarosława Kaczyńskiego. Może on w swojej partii zrobić wszystko. Jest nieodwołalny. PiS poprzez cały system podmiotów stworzonych przez ludzi partii dysponuje ogromnym majątkiem. O wiele większym niż wszystkie inne partie razem wzięte. Oczywiście wiadomo, kto ma klucz do tego skarbcza.

Jako wicepremier, a faktycznie nadpremier, Kaczyński ma w ręku dodatkową, praktycznie nieograniczoną władzę nad aparatem państwowym. Wykorzysta ją w kampanii wyborczej w interesie PiS.

Podobnie jak jego próżność wykorzystuje aparat partyjny. Obwożony po kraju i traktowany przez cynicznych karierowiczów jak totem, przy którym mogą się ogrzać i zapunktować przed swoimi wyborcami. Prezes musi to widzieć. Bo głupota i lizusostwo ludzi, którzy go otaczają, obrażają inteligencję każdego człowieka. A przecież inteligencji prezesowi nie da się odmówić.

BAKOWSKI

WSZYSCY SIĘDZĄ
WYGODNIE? TO TERAZ
MYŚLCIE, CO ZROBIĆ,
ŻEBY NIE SIEDZIEĆ!



**Ukazał się nowy numer
ZDANIA (2/2023)**

„Troje na jedną”
z DANUTĄ WANIEK
„Demokratyczne i świeckie państwo
prawa to moje polityczne credo”



W wersji elektronicznej dostępny na
sklep.tygodnikprzeglad.pl

W NUMERZE

SYLWETKI

- 8** Jedno życie jak pięć innych
Jaki był Wojciech Jaruzelski?

KRAJ

- 14** Susza na Pomorzu
W obliczu klęski
- 18** Doktor z internetu
Pułapki telemedycyny
- 26** Mężczyźni i kobiety, dwie polityki,
dwie tożsamości
Nie program, lecz opowieść

HISTORIA

- 22** Cień przeszłości
Wołyń – niezapomniane ludobójstwo
- 58** Chłopki

ZAGRANICA

- 30** Bunt Prigożyna i co dalej?
Najważniejsi są generałowie
- 32** Psy wojny Kremla
Prywatne kompanie wojskowe
- 36** Własność słowa
Nowe prawo w Kanadzie

PSYCHOLOGIA

- 40** Młodzi w kryzysie
– rozmowa z dr. Konradem Ambroziakiem

KULTURA

- 44** Oddajcie nam głos
Monodramy w Słupsku
- 48** Nie możemy o wszystko obwiniać
Francuzów
– rozmowa z Mouniā Meddour
- 51** Kulturalia
- 66** Rafał Olbiński. Passion pour la création

OBSERWACJE

- 52** Wiek zabobonów
Myślenie magiczne kwitnie
- 54** Humus chwalicie, łupci nie znacie
– rozmowa z Pawłem Ochmanem
- 60** Turcja na wesoło
Żarty Halila

FELIETONY I KOMENTARZE

- 3** Jerzy Domański
Z totemem po kraju
- 17** Jan Widacki
Nie będzie jednej listy opozycji?
- 21** Andrzej Romanowski
Człowiek, który oddał władzę
- 35** Stanisław Filipowicz
Los Aten – czy najpotężniejsi
mogą upaść?
- 39** Roman Kurkiewicz
Bukiet rasistowskiej nienawiści premiera
- 47** Tomasz Jastrun
Wszystko naraz
- 57** Wojciech Kuczok
Permanentne wakacje

44

KULTURA

ODDAJCIE NAM GŁOS
Monodramy w Słupsku



54

OBSERWACJE

HUMUS CHWALICIE,
ŁUPCI NIE ZNACIE
– rozmowa
z Pawłem Ochmanem

58

HISTORIA



CHŁOPKI

Projekt okładki: Iza Mierzejewska

FOT. IPN





f Kto zarabia na wojnie

Warto to przypominać, tym bardziej że zaczerpnięta prowojenną propagandą Polacy nie rozumieją, że zwiększanie wydatków zbrojeniowych szkodzi gospodarczo nie Rosji, ale Polsce. Nie mamy nadwyżek ze sprzedaży węglowodorów, rząd chwali się kolejnymi czołgami ku-

pionymi od Amerykanów, a w niedofinansowanych szpitalach umierają ludzie. Koszty militarystycznego szaleństwa ponosi każdy z nas w postaci coraz wyższych cen w sklepach. Co zaskakujące, opozycja krytykująca rząd za rzekomo nadmierne wydatki socjalne w kwestii zbrojeń politykę rządu popiera.

Paweł Stawicki



f Mądrość starych Polaków

Na temat historii PRL powinny wypowiadać się osoby, które żyły w tym okresie, a nie 30-letni „eksperci”. Czy ktoś pamięta plan sześciolletni? Ilu ludzi wie, jak wyglądała polska wieś w latach powojennych i co się zmieniło za sprawą tego planu? A jak nazwać kogoś, kto napadał na urzędy pocztowe czy sklepy, aby zdobyć pieniądze (urząd pocztowy

był wszak „komunistyczny” i można było go ograbić). Strzelano do ludzi, którzy przyjęli ziemię z reformy rolnej. Obecnie podziwia się wspaniałe pałace i ubolewa, że coś niszczeje. Czy ktoś zastanawia się, jak powstawały te fortuny? Ilu ludzi umarło z głodu lub pracowało od świtu do zmierzchu, aby ich dzieci nie zmarły z głodu? Taka jest historia. Powojenne przemiany gospodarcze nie były złe. Polskie państwo sanacyjne służyło tylko małej grupie osób. Większość przymierała głodem. Wspaniały wódz Piłsudski kazał strzelać do Polaków, ale o tym nie wszyscy chcą mówić, a ci 30-letni „eksperci” tych faktów pewnie w ogóle nie znają. Podobnie jak uczniowie, którzy uczą się według zaleceń obecnego ministra edukacji.

Ryszard Richard

f Psychiatra przy taśmie

Leczenie psychiatryczne finansowane przez NFZ praktycznie w ogóle nie istnieje, zwłaszcza ambulatoryjne. Dla przeciętnego obywatela państwa szczycącego się tym, że jest demokratyczne i cywilizowane, pomoc psychiatry w ramach ubezpieczenia zdrowotnego to rzecz prawie niemożliwa. Samobójstw przybywa i przybywać będzie w tempie zaskakującym.

Małgorzata Modzelewska



ZDJĘCIE TYGODNIA



Po 10 dniach poszukiwań łodzi podwodnej „Titan” wydobyto jej szczątki i rozładowano w St. John’s w Kanadzie. Wszystkie dowody zostaną przewiezione do Stanów Zjednoczonych i tam poddane analizie.

Według międzynarodowego sondażu instytutu Pew nikt tak nie kocha USA jak Polacy. **93% naszych rodaków ma pozytywną opinię o USA.** 83% ma zaufanie do Joeego Bidena. 85% uważa, że Ameryka przyczynia się do pokoju na świecie. Prawie tak samo sympatyzują z USA w Izraelu (87% pozytywnych ocen), Korei (79%), Nigerii (74%), Japonii (73%) i Kenii (71%).

Prokuratorzy, którzy sprzeczali się władzy i sprzeniewierzyli ślubowaniu, **będą rozliczeni** dyscyplinarnie. Gdy okaże się, że łamali prawo, będą też rozliczeni karnie – zapowiedziała na Kongresie Prawników Polskich w Gdańsku Katarzyna Kwiatkowska, prezeska Lex Super Omnia.

Na 9 mln ton szacuje się zapasy zbóż w Polsce. Zapowiedzi Roberta Telusa, ministra rolnictwa, który w kwietniu zadeklarował, że do żniw załatwi sprawę ogromnych nadwyżek zbóż, okazały się tradycyjnym pisowskim pustostowiem.

Rząd Morawieckiego wydał ponad **500 mln zł** na projekt polskiego **e-auta Izera**, a nie ma jeszcze nawet gruntu pod budowę fabryki. Od ogłoszenia decyzji minęło siedem lat, a auto jest w lesie. Może i lepiej, bo na uruchomienie produkcji Izery trzeba więcej niż 6 mld zł.

Na 211 szpitali powiatowych w 2022 r. aż 191 zanotowało stratę na działalności podstawowej (raport Ogólnopolskiego Związku Pracodawców Szpitali Powiatowych).

Na 23 ha w Sulechowie wybudowano największe centrum dystrybucyjne w Europie. Inwestorem jest TJX Europe, właściciel

sieci TK Maxx. Z obiektów o powierzchni 61 tys. m kw. towary będą dostarczane do sklepów w Polsce, Holandii, Austrii i w Niemczech.

Wartość eksportu polskiego przemysłu motoryzacyjnego w pierwszym kwartale tego roku wyniosła **12,9 mld euro** wobec 8,35 mld euro w ubiegłym roku.

Lasy Państwowe za rządów Solidarnej aktualnie (Suwerennej) Polski obcinają wydatki na ochronę przyrody i parki narodowe z Funduszu Leśnego. **Kasa idzie na kampanie reklamowe** i nowe etaty dla zaplecza Ziobry.

1 lipca 2024 r. wejdą w życie ograniczenia wjazdu do centrum Warszawy najstarszych samochodów, w tym z silnikiem Diesla. Strefę Czystego Powietrza popiera 70% mieszkańców stolicy. Ostro przeciw są tylko politycy PiS i właściciele tych samochodów.

W systemie PESEL najpopularniejszym imieniem jest **Anna**. Takie imię ma **1 075 653 Polek**. Wyprzedza **Katarzynę – 605 826**. Wśród mężczyzn na czele są **Jan (645 988)** i **Piotr (606 080)**.

Ponad 60 tys. rozwodów odnotowano w Polsce w 2021 r. Z czego 48,5 tys. bez orzekania o winie. Co trzecie małżeństwo kończy się rozwodem. Dwie trzecie pozwów wnoszą kobiety.

Według GUS ok. **11 mld jaj rocznie znoszą polskie kury**. Najwięcej kury z Wielkopolski – 3,9 mld i Mazowsza – 1,5 mld sztuk. Polska jest trzecim po Hiszpanii i Niemczech producentem jaj w Unii. Statystyczny Polak zjada rocznie 157 jajek.

PRZEBŁYSKI

Bashobora z posiłkiem

Oglupianie ludzi dla zarobku nie ma u nas granic bezczelności. W lipcu do Polski po raz kolejny przyjedzie z dalekiej Ugandy ks. John Bashobora. Wyjątkowo obrzydliwe indywiduum. Reklamuje się jako specjalista od wskrzeszania zmarłych i cudownych uzdrowień. W czasie kilku wizyt w Polsce zarobił miliony. Stadiony były pełne. Przy Bashoborze kręcił się Dominik Tarczyński. Może to jest ten jeden cud. Bo pisowski pyskacz trafił do europarlamentu. W lipcu ugandyjski hochsztapler będzie w Toruniu. Koszt wejścia na rekolekcje to 130 zł z posiłkiem i 100 zł na głodnego. Nie myślcie tylko, że za sprawą stoi o. Rydzyk. Dla niego to konkurencja.



Pirat w todze

Czy pirat drogowy notorycznie łamiący prawo może być sędzią? Krajowa Rada Sądownicza obsadzona przez ekipę Ziobry nie widzi przeszkód. Właśnie złożyła wniosek do prezydenta Dudy o mianowanie Błażeja Iwanaka asesorem sądowym w Sądzie Rejonowym w Otwocku. Kim jest Iwanek? Jako kierowca ma na koncie w czasie od 2018 r. dwie kolizje drogowe, jazdę pod prąd ulicą jednokierunkową, przekroczenie prędkości i korzystanie z telefonu komórkowego podczas jazdy.

Ciekawi nas, co zrobi sędzia Iwanek, gdy w Otwocku staną przed nim sprawcy podobnych wykroczeń? Choć z drugiej strony, czy za tych rządów może nas jeszcze coś zdziwić.



Figury obronne

Zaufanie Polaków do ministra Błaszczaka, że nas obroni, jest bardzo skromne. W siłę gigantycznych zakupów robionych na łapu-capu nie wierzą nawet duchowni. Mają własną koncepcję zabezpieczenia granic. I to z każdej strony. Nie trzeba wojsk: „obroni nas św. Michał Anioł z wojskiem anielskim”.

A konkretnie obronią nas cztery figury św. Michała Anioła. Postawiono je: na północy w Kadynach – przy kościele pw. św. Antoniego u Braci Mniejszych Franciszkanów, na wschodzie w Świętej Wodzie – w sanktuarium Matki Bożej Bolesnej, na południu w Wiśle – przy kościele pw. Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny i na zachodzie w Widuchowie – przy kościele pw. Najświętszego Serca Pana Jezusa.

Czy teraz czujecie się bezpieczniej?

Kosztowne dwórki Miszczaka

Miszczak z wozu, stacji Iżej. W TVN ciągle opijają jego transfer do Polsatu. A w ekipie Solorza mimo upałów powiało grozą. Jeśli Edward M. mógł, kompletnie bez sensu, pozbyć się Katarzyny Dowbor, to taki los może spotkać każdego. O robotę nie muszą się bać tylko dziennikarze z pionu informacji. Bo tym Miszczak nie może zrobić. Katarzyna Dowbor poradzi sobie. Mimo upokarzającego sposobu zwolnienia cieszy się jeszcze większą sympatią widzów.

Miszczak jeszcze trochę pojedzie na dorobku Niny Terentiew. A później? Polsat będzie odrabiał u widzów straty. I zwalniał dwórki Miszczaka, które przywędrują z TVN. Najweselej będzie, gdy Solorz policzy, ile go te transfery kosztowały.





PYTANIE TYGODNIA

Jak się zmieniła Platforma Obywatelska przez ostatnich osiem lat?

PROF. JACEK WÓDZ

socjolog, WSB w Dąbrowie Górniczej

Platforma zmieniła się bardzo. Począwszy od tego, że była niegdyś wspólnym przedsięwzięciem trójki polityków, które po mału stało się partią Donalda Tuska. I to on w tej formacji zdaje się realizować swoje największe polityczne marzenia. Pozostaje więc przede wszystkim adwersarzem Kaczyńskiego. A przy tym lansuje odmienną wizję Polski niż ta, którą przez ostatnie osiem lat realizowało PiS. Dlatego w pewnym sensie Platforma stała się partią niezbędną, ponieważ nie ma kogoś, kto mógłby zaproponować inny kształt polityki niż PiS. Platforma jest partią miejską, próbującą obecnie nawiązać do niektórych nowoczesnych tendencji europejskich. Trzeba przyznać, że pod tym względem Platforma się zmieniła. Coś, co czasem w mediach opisuje się jako skręt PO w lewo, uznalibyśmy raczej za sprytny sposób odczytywania tendencji w przemianach współczesnego świata.

DR WOJCIECH PESZYŃSKI,

politolog, UMK

Można powiedzieć, że wiele musiało się zmienić, aby zmieniło się niewiele. To partia reprezentująca silny model przywódcy z niekwestionowanym liderem. Wielu członkom Platformy osoba Tuska kojarzy się z dniami chwały. Dlatego w partii jego powrót był tak wyczekiwany. To pokazuje jednak szklany sufit dla formacji. Tusk powiedział parę lat temu, że jak ktoś ma jakąś

wizję polityki, to niech idzie do lekarza. I dzisiaj tak naprawdę nadal nie wiadomo, jaką tę wizję polityki ma Platforma. Tego, jak ma wyglądać Polska, powiedzmy w 2024 r., kiedy PO wygra rok wcześniej, nikt nie wie. Chociaż już lada moment Platforma przedstawi program, nad którym pracuje, o czym słyszymy co chwilę od ośmiu lat.

WIESŁAW GAŁĄZKA,

doradca polityczny

Od 22 lat Platforma niezmiennie wykazuje się brakiem zdolności do posługiwania się najnowszymi narzędziami marketingu politycznego czy PR. Niestety, tutaj PiS w sposób akademicki zwycięża swoją propagandą ze wszystkimi. Nie twierdzę, że PO ma się posługiwać nieetycznymi metodami, ale powinna przewidywać i wyprzedzać ruchy przeciwników. Błędem Platformy, jak i Tuska jest to, że po 2015 r. nie doszło do samoczyszczenia partii. Nie rozliczono winnych za przegraną. Tego moim zdaniem oczekiwał elektorat Platformy. Myślę, że Tusk, wracając, nie zrobił czegoś, co podoba się społeczeństwu, a co nie jest praktykowane na polskiej scenie politycznej. Powinien był zacząć od przeproszenia swojego elektoratu za błędy, które doprowadziły do wygranej PiS. Gdyby Tusk wykazał pewnego rodzaju pokorę wobec swoich wiernych wyborców i zapewnił, że pewne rozliczenia nastąpią również we własnych szeregach, uzyskałby większe poparcie.

Rozmawiał Kornel Wawrzyniak

JEDNO ŻYCIE JAK PIĘĆ INNYCH

**Jaki był Wojciech Jaruzelski?
Jakie motywy przyświecały jego działaniom?
Dlaczego w określonych sytuacjach działał tak,
a nie inaczej?**

Robert Walenciak

Wojciech Jaruzelski. Ma pewne miejsce w podręcznikach. Stan wojenny, Okrągły Stół, przejście z dyktatury do demokracji, ze Wschodu na Zachód. To są filary historii Polski drugiej połowy XX w. Pisaliśmy o tym w PRZEGLĄDZIE wielokrotnie. O stanie wojennym i o tym, że to nie Solidarność była największym jego utrapieniem. Że jego koszmarem było widmo wojskowej interwencji kierowanej z Kremla. A on, jak mało kto w Polsce, wiedział, jak blisko było do tej interwencji. Potem mamy lata 80., czas Gorbaczowa i wielkich zmian geopolitycznych. Okno historii. I nagle generał, który kilka lat wcześniej deklarował, że „socjalizm będziemy bronić jak niepodległości”, zaczął ten socjalizm rozmontowywać, właśnie w imię niepodległości.

Oto tajemnica polityki i tajemnica człowieka.

Jaki był Wojciech Jaruzelski? Jakie motywy przyświecały jego działaniom? Gdzie tkwi klucz, który pozwoliłby zrozumieć nam, dlaczego w określonych sytuacjach działał tak, a nie inaczej?

Odpowiedź na te pytania jest i trudna, i łatwa.

Trudna, bo Jaruzelski nigdy nie był wylewny, niechętnie ujawniał swoje myśli. Często też, zwłaszcza

w czasach, gdy sprawował funkcje polityczne, potrafił je utopić w partyjnej nowomowie.

Łatwa, gdyż będąc już na politycznej emeryturze, próbował w różnych publikacjach, także w wywiadach prasowych, tłumaczyć swoje życie. Wiemy więc, jak wyglądało jego wychowanie, jak był kształcony, jakie lektury wywarły na niego największy wpływ. A potem – jakie wydarzenia. Był przecież dzieckiem swojej epoki. Możemy więc te wszystkie elementy wyliczyć.

Dom rodzinny i jego atmosfera, gimnazjum ojców Marianów, lektury – to pierwszy okres, który go kształtował. I odbywało się to według kanonów narodowej demokracji.

Drugi okres to zesłanie, praca na Syberii. Potem powrót do kraju, razem z 1. Dywizją Piechoty im. Tadeusza Kościuszki. To ważny czas w jego życiu. Po pierwsze, na jego oczach upadła II Rzeczpospolita, zawałił się dotychczasowy świat. Po drugie, poznał Rosję i Rosjan. Zobaczył bezkres tego państwa i jego siłę.

Trzeci etap to już Polska. Jaruzelski został w wojsku. Pytany dlaczego, wielokrotnie to tłumaczył – poczuciem żołnierskiego obowiązku, bo trwała wojna domowa, i tym, że po prostu nie miał gdzie iść. Nie miał w Polsce rodziny, matka i siostra nie wróciły jeszcze z Syberii, z zesłania. Był sam. Wojsko stało się dla niego rodziną. Po wojnie uczestniczył

najpierw w walkach z bandami UPA i antykomunistycznym podziemiem, potem został skierowany do Centrum Wyszkożenia Piechoty. Tam dojrzał, tam za sprawą lektur zdecydował się wstąpić w 1947 r. do Polskiej Partii Robotniczej. Dodawał, że Polska była wtedy inna niż ZSRR, to jeszcze nie był stalinizm. Następnie skierowany został do Dowództwa Wojsk Lądowych.

To były lata, które zbudowały Jaruzelskiego – oficera, później generała. Jeszcze później przyszła funkcja ministra obrony, a potem szefa partii i państwa, który musiał patrzeć na Polskę i świat z szerokiej perspektywy.

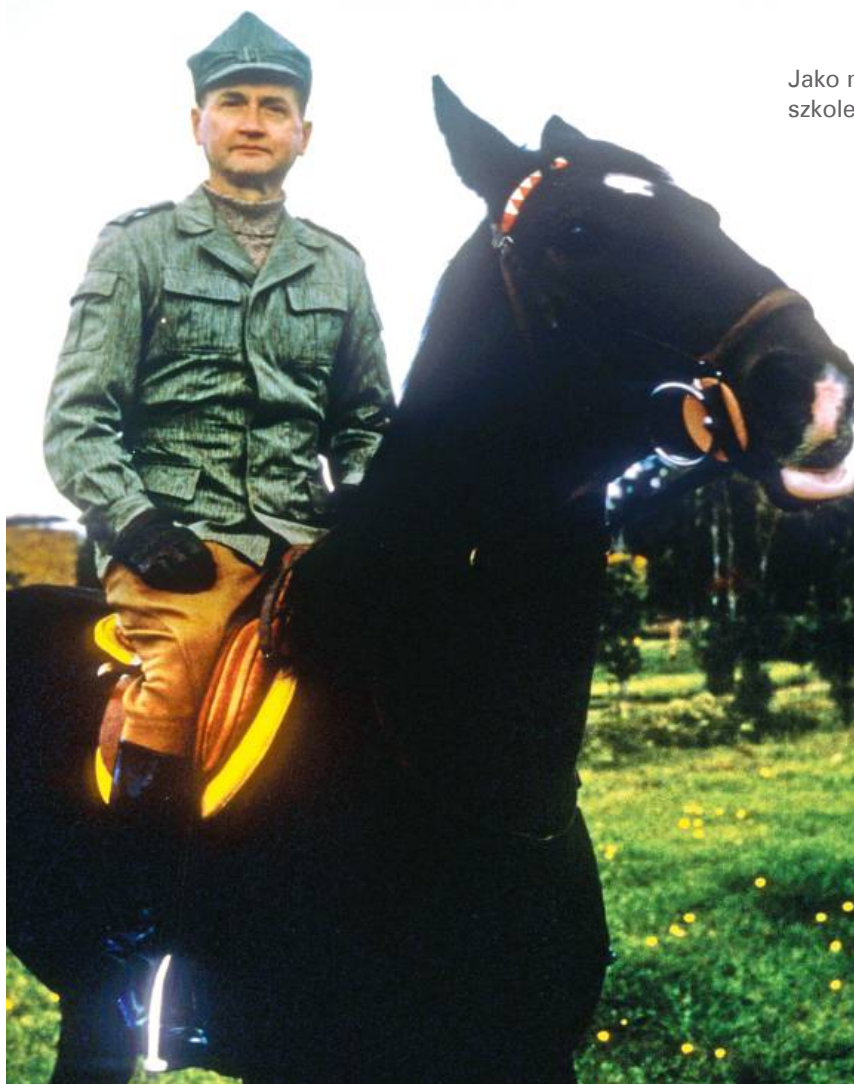
Nasuwa się więc pytanie zasadnicze – w jakim stopniu poglądy, które dominowały w kolejnych etapach jego życia, wpływały na jego działania? Czy możliwe jest pogodzenie w jednej postaci wychowanka szkoły ojców Marianów i słuchacza WUML?

Pytała go o to Teresa Torańska w rozmowie zamieszczonej w książce „Byli”:

„Co się właściwie z panem stało? Moment, pamięta pan moment, kiedy nagle powiedział pan sobie: jestem komunistą?

– Nie było takiego momentu. To był proces. Tak jak procesem było moje odchodzenie od Kościoła, które rozpoczęło się od chwili, gdy znalazłem się w wojsku. Front nie sprzyjał kontaktom z religią. (...) Procesem

Jako minister obrony narodowej w ośrodku szkoleniowym Legii w Starej Miłośnie, lata 70.



Bo i czasy się zmieniały. *Tempora mutantur et nos mutamur in illis.*

Zacznijmy więc od początku.

Wojciech Jaruzelski urodził się 6 lipca 1923 r., ale patrząc na jego dzieciństwo, na jego lektury, można wręcz stwierdzić, że urodził się w wieku XIX. Najmłodsze lata spędził w zamożnej rodzinie, w dworku w Trzecinach na Podlasiu, otoczony służbą. Miał nianię, guwernera, nauczyciela jazdy konnej. Majątek, którym zarządzał jego ojciec, Władysław Jaruzelski, liczył 500 ha i jako jedyny w okolicy – generał zawsze to z dumą podkreślał – nie był zadłużony.

Rodzina Jaruzelskich prowadziła typowe ziemiańskie życie. Kontakty towarzyskie to były wizyty w sąsiednich dworkach, przeważnie z okazji różnych uroczystości lub polowań. Dworek w Trzecinach odwiedzał chętnie na partyjkę winta miejscowy proboszcz. – Nigdy nie zapomnę tych odzywek między ojcem a księdzem podczas przebijania sobie wzajemnie kart – wspominał generał podczas rozmów z córką Moniką. – „A ja pana pach!”, „A ja księdza proboszcza jeszcze mocniej!”. No i zawsze do tego naleweczki domowej roboty.

Jaruzelskiego kształtował dom rodzinny i jego atmosfera, gimnazjum ojców Marianów, lektury. Wszystko według kanonów narodowej demokracji.

również było moje zbliżenie się do ideologii – dziś z przekąsem nazywanej – komunistyczną.

Czy pani nie jest w stanie zrozumieć, że – zachowując określony system wartości – można swoje wcześniejsze poglądy zmienić? Że w ogóle poglądy można zmieniać nawet kilka razy w życiu? Że do pewnych przekonań człowiek dojrzeje, a z niektórych rezygnuje? Że następuje przewartościowanie postaw? Że jest to proces, któremu nie tylko ja uległem?

Do roku 1988-1989 byłem przekonany, żyłem w tym przekonaniu, że w Polsce utrzyma się socjalizm, że będzie zmodernizowany, zmieniony,

ulepszony, zdemokratyzowany, dostosowany do nowych czasów. Ja tego układu broniłem. I dopiero gdy zobaczyłem, że obronić się nie da, ustąpiłem. Dzisiaj można powiedzieć, że błądziłem. Ale nie zabłądziłem. Powiem więcej – nieskromnie – przyczyniłem się do zmiany ustroju”.

To długa wypowiedź, ale wiele wyjaśnia. Że najważniejszy jest określony system wartości, który wynosi się z rodzinnego domu. Że późniejsze życie nakłada kolejne warstwy doświadczeń, wiedzy, wiele poglądów weryfikuje, kształtuje człowieka. Ale przecież nie wypała żelazem tego, co było pierwsze. Można więc mówić, że Jaruzelski się zmieniał.

Rodzina miała w kościele własną ławkę, tzw. ławkę kolatorską, w prezbiterium, blisko ołtarza. „Cały kościół nabitý ludźmi, niczym sardynki w puszcze – to też wspomnienie generała – a tylko my na ławie kolatorskiej”.

Kościół był więc dla Wojciecha Jaruzelskiego czymś oczywistym i bliskim. Później, już w czasach Polski Ludowej, generał nie ukrywał, że odszedł od wiary. Ale to nie znaczy, że stracił umiejętność rozmowy z duchownymi. Rozumiał się z nimi znakomicie – bez wrogości, ale i bez uległości. Jeżeli widziało się własnego ojca grającego w karty z proboszczem, w ich domu, jeżeli później było

► się uczniem szkoły ojców Marianów, szkoły z internatem – czyli przebywało się w otoczeniu duchownych, jadło się z nimi, rozmawiało, żartowało, to sprawy kościelne nie były czymś obcym, a ludzie Kościoła – ludźmi z innego świata.

Jest też druga strona medalu – Jaruzelski dla biskupów także nie był kimś obcym i wrogim. To był uczeń szkoły prowadzonej przez zakon, parafianin zasiadający w ławie kolatorskiej. To ułatwiało porozumienie.

Kolejnym fundamentem tożsamości Jaruzelskiego było wychowanie w duchu patriotyzmu. W jego wypadku to nie jest zdarty komunał. Dziadek, po którym dostał imię, był powstańcem styczniowym. Zesłany na Syberię spędził tam osiem lat. Ojciec jako ochotnik walczył w wojnie polsko-bolszewickiej 1920 r. O tym w rodzinnym domu nie zapomniano.

Swoją rękę do patriotycznego wychowania małego Wojtka przyłożyła też matka. Mówił o tym

Zaszczepiała w nim więc i patriotyzm, i społeczną wrażliwość. Poczucie, że ma uprzywilejowaną pozycję społeczną i że nie jest to sprawiedliwe. To poczucie, już w czasach powojennych, bardzo ułatwiło mu zaakceptowanie ówczesnych przemian.

Dobrze pokazuje to pewna anegdota. Oto na zdjęciu widzimy kilkunastoletniego Jaruzelskiego na klaczy. Był z niej dumny, to był jego koń. Umiejętność jazdy konnej przydała mu się zresztą w czasie wojny. Dzięki niej trafił do zwiadu konnego, potem został jego dowódcą. Otóż jego nauczycielem jazdy konnej był Władysław Ogrodnik, miejscowy fornał. Minęło kilkadziesiąt lat. Po drodze z jednej z wizyt państwowych kolumna z generałem przejeżdżała niedaleko Trzecin. Generał poprosił, by tam skręcono. Zajechał do wsi. W niczym nie przypominała tego, co pamiętał, dwór w czasie wojny został zniszczony, potem rozebrany, gospodarstwo rozparcelowane. Za to wyrosły domy potomków dawnych fornał.

swojej klasy. Pisali o tym oficerowie, którzy opiniowali go przy kolejnych awansach. Można je przeczytać w materiałach IPN, cytuje je również Jan Osiecki w potężnej biografii Wojciecha Jaruzelskiego „Generał”. Oto jedna z opinii, płk. Antoniego Szabelskiego, dowódcy 5. Łożyskiego Pułku Piechoty, ważna, gdyż jeszcze z czasów wojny, z kwietnia 1945: „Spokojny i zdecydowany. Otrzymane rozkazy wypełnia dokładnie, wykazując przy tym wiele inicjatywy i energii. W podwładnych mu plutonach pieszych i konnych zwiadowców zaprowadził wysoką dyscyplinę. Osobiście inteligentny, pracę swoją zna dokładnie, wypełniając ją bez zarzutu”. I takim pozostał.

Jeszcze inna cecha wyróżniała Jaruzelskiego, naznaczyła i jego życie, i jego działania – poczucie obowiązku. Podczas jednej z rozmów pytałem go o to i – co warte zauważenia – był tym pytaniem zdziwiony. Jego odpowiedź była prosta – przecież od

Do roku 1988-1989 byłem przekonany, że w Polsce utrzyma się socjalizm, zmodernizowany, zdemokratyzowany. Ja tego broniłem. Gdy zobaczyłem, że tego obronić się nie da, ustąpiłem. Błądziłem. Ale nie zabłądziłem.

córce Monice: „Mamie bardzo dużo zawdzięczam. Im więcej czasu upływa, im więcej zdobywam życiowych doświadczeń, tym bardziej uświadamiam sobie, jaki fundament kulturowy, etyczny, estetyczny, ona mi dała. I chociaż czas zaciera różne szczegóły, to sądzę, że wielki patriotyzm ona właśnie we mnie zaszczepliła. Pamiętam ten znany wierszyk „Kto ty jesteś? Polak mały. Jaki znak twój? Orzeł biały”. Znałem na pamięć, po dzień dzisiejszy go pamiętam. Później wiele lektur, które również miały zabarwienie patriotyczne albo społeczne. Maria Konopnicka, Bolesław Prus, Kornel Makuszyński, Henryk Sienkiewicz. Mama poza tym, podobnie jak babka, była wielką społecniczką. Organizowała kursy dla gospodyń wiejskich, uczyła form, które im pozwalały lepiej wykonywać swoje obowiązki. Zaszczepiała kulturę życia codziennego”.

„Gdy zajechałem do Trzecin – opowiadał to później często i chętnie – zebrała się grupa ludzi. A ja zacząłem ich pytać, jak kto się nazywa. I jeden z nich powiedział, że Ogrodnik. O! Syn Władka Ogródnika? Tak, syn! Zaprosił mnie do siebie. Dom – większy od mojego! Więc jednak ten ustrój miał jakiś sens”.

Ziściła się idea sprawiedliwości społecznej i równości – syn fornała mieszkał w lepszym domu niż syn dziedzica, na dodatek generał i szef państwa.

Tę historię chętnie też opowiada Monika Jaruzelska: „O tym domu Ogródnika, do którego zaproszono go na herbatę, opowiadał z dumą. To dawało mu przekonanie o sensie wyboru życiowej drogi”.

Jeżeli jesteśmy przy wychowaniu Jaruzelskiego, to przecież nie sposób nie zauważyć, że charakteryzowała go kultura zachowania wyniesiona z rodzinnego domu. Był „produktem”

jakości wykonanego zadania zależało życie żołnierzy. Jak więc można zadanie wykonać niestaranie?

No dobrze, wojna się skończyła, a Jaruzelski wciąż był obowiązkowy – i wobec siebie, i wobec podwładnych.

Ważnym momentem w jego życiu było objęcie w 1957 r. dowództwa 12. Dywizji Piechoty (rok później przekształcono ją w Dywizję Zmechanizowaną), która stacjonowała w Szczecinie. To była najgorsza dywizja w Wojsku Polskim. Gdy w roku 1960 Jaruzelski ją opuszczał, była dywizją najlepszą.

„Te trzy lata dowodzenia 12. Dywizją Zmechanizowaną to chyba był najlepszy okres mojej służby wojskowej – opowiadał Janowi Osieckiemu. – Udało mi się nie tylko unowocześnić dywizję, zwiększyć jej sprawność bojową, ale także zająć się kształceniem podległych mi żołnierzy i ich rozwojem. Ani wcześniej,



Jako przewodniczący Rady Państwa wita papieża Jana Pawła II podczas jego trzeciej pielgrzymki do Polski, 8 czerwca 1987 r.

ani później nie miałem tak ciekawej pracy i takich zadań”.

Tę obowiązkowość i przekonanie, że trzeba wciąż się kształcić, odczuła na sobie Monika Jaruzelska. „Wszystko musi czemuś służyć – to była idea. Uczę się pływania? Nie dla przyjemności, ale dla rozwoju fizycznego... Jazda konna? Podobnie. Książki? Wciąż mi mówił, że muszę przeczytać Trylogię, potem, że Żeromskiego...”.

Wszystko musiało być pożyteczne. I wszystko było obowiązkiem.

Monika Jaruzelska mówi o tym otwarcie. „To było poczucie odpowiedzialności, obowiązku, ale też nieumiejętność czerpania z życia nawet drobnych przyjemności. Wychodziło i z jego katolickiego wychowania, i z czasów Syberii, i z wojska... To było pokolenie dotknięte przecież, strasznie dotknięte”. I dodaje: „To było takie polskie, z romantyzmu wyniesione... Że spotykają nas kolejne ataki, a my musimy zacisnąć zęby i nieść ten krzyż... I trwać”.

Ten „krzyż” to były też procesy sądowe, do których zawsze

drobiazgowo się przygotowywał, to była fala hejtu, którą godnie znośił... Ale przede wszystkim – obowiązek pracy dla Polski, nawet jeśli jej kształt nie za bardzo nam odpowiada.

Generał mówił o tym wielokrotnie. Tłumaczył to również córce, gdy rozmawiali o liście, który wysłał zaraz po wojnie, w czerwcu 1945 r., do matki i siostry, wciąż przebywających na Syberii. Tym liście, w którym pisał: „Pozostałem takim, jakim byłem, rozumiejąc jednak obowiązek pracy i służby względem Polski, jaka ona by nie była i jakich ofiar by od nas nie żądała”. Tłumaczył i puentował: „Sądzę, że stało się to dewizą na całe życie – ważne, jakiej Polsce służysz, ale nie mniej ważne, jak jej służysz”.

To nie było zaskakujące. Ta postawa wynikała i z jego doświadczenia, i edukacji. Wspomniane gimnazjum ojców Marianów było w tamtym czasie związane z narodową demokracją, sam Jaruzelski nosił w klapie mieczyk Chrobrego. Musiał więc znać dzieło Romana Dmowskiego „Polityka polska i odbudowanie

państwa”, z którego pochodzi ten fragment:

„Iluż to ludzi w trzech pokoleniach słuchało z rozrzewnieniem patriotycznych słów pieśni:

*Powstań, Polsko, skrusz kajdany –
Dziś twój triumf albo skona...*

Co do mnie, to te słowa obrażają moje najgłębsze uczucia, mój zmysł moralny. Człowiek, który w tym wypadku myśli to, co śpiewa, jest przestępcą. Sama myśl o tym, że Polska może skonać, jest zbrodnią.

Wolno każdemu, może być obowiązkiem, zaryzykować wszystko, co jest jego osobistą własnością, oddać majątek, przynieść życie w ofierze. Ale bytu Polski ryzykować, jej przyszłość przegrywać nie wolno ani jednostce, ani organizacji jakiegokolwiek, ani nawet całemu pokoleniu.

Bo Polska nie jest własnością tego czy innego Polaka, tego czy innego obozu ani nawet jednego pokolenia. Należy ona do całego łańcucha pokoleń, wszystkich tych, które były i które będą. (...)

Pamiętam, w początku wielkiej wojny przybył do Warszawy ►

Z córką Moniką na przejażdżce rowerowej, 30 września 1989 r.

▶ pułkownik rosyjski, przysłany przez szefa sztabu armii południowo-zachodniej, gen. Aleksiejewa, dla rozmowy z nami w sprawie legionu polskiego, formowanego przy armii rosyjskiej.

W trakcie konferencji, którą kilku z nas z nim odbywało, zapytałem go mimochodem:

– Panowie macie na swoim froncie legiony polskie po stronie austriackiej. Czy aby się dobrze biją?

– Dobrze – odpowiedział pułkownik.

– To mię bardzo cieszy.

Rosjanin spojrzał na mnie zdziwiony.

– Pułkowniku – rzekłem – chciałbym, żeby Polacy zawsze się bili tylko za dobrą sprawę, ale kiedy się już biją za złą, to chcę, żeby się przynajmniej lepiej bili”.

To jest spory fragment, ale fundamentalny, by zrozumieć postawę Jaruzelskiego, jego wybory i wybory milionów Polaków.

Wojsko okazało się dla niego drugą rodziną, miejscem, które go ukształtowało. I miejscem, które –



Dziadek był powstańcem styczniowym. Zesłany na Syberię spędził tam osiem lat. Ojciec walczył w wojnie polsko-bolszewickiej 1920 r. O tym w rodzinie nie zapominano.

tak to sobie tłumaczył – narzuciło mu pewne obowiązki. Nie bez powodu prosił, by na jego grobie umieścić napis „Wojciech Jaruzelski. Żołnierz”.

Miał rację. Jego zalety jako polityka, i wady równocześnie, wynikały przecież z tego, że niemal nie znał życia cywilnego. Dlatego o sprawach gospodarczych miał – delikatnie mówiąc – wojskowe pojęcie, partyjne gry były poza horyzontem jego zainteresowań, nie czuł tego zupełnie, wypadał sztucznie podczas spotkań ze zwykłymi ludźmi.

A jednocześnie stawiał przed staniem oficerskim szczególne wymagania. Píše o tym Monika Jaruzelska w książce „Rodzina”, wspominając jedną z rozmów z ojcem. Mówił jej: „Kiedyś to napisał prof. Janusz Reykowski, bardzo mądry człowiek, którego zresztą znasz. Spróbował

odpowiedzieć na dwa ważne pytania. Dlaczego kapitalizm uzyskuje sukcesy ekonomiczne, ze wszystkimi jego deformacjami oczywiście. A dlaczego socjalizm, z jego bardzo szlachetną ideą sprawiedliwości społecznej, przegrywa? Otóż każdy człowiek ma motywację: jest motywacja prospołeczna i motywacja egocentryczna. I która przeważa? Na ogół egocentryczna. Chyba że ktoś jest księdzem lub oficerem. Wtedy ta prospołeczna może przeważać, prawda? Myślę, że u mnie często ta prospołeczna przeważała, ale w większości jednostek jednak egocentryczna, szczególnie w dzisiejszych czasach”.

Postawił więc sobie poprzeczkę – jako dowódca, minister, a potem dyktator – bardzo wysoko. Wojsko, państwo to były dla niego inne obszary niż partia czy partyjny aparat. Co

warte wspomnienia, w roku 1988 generał uczestniczył w spotkaniu z młodzieżą w „Teleexpressie”. Miałem wtedy okazję w kuluarach zapytać go, jaki polityk stanowi dla niego wzór. Odpowiedział, że gen. de Gaulle.

Gen. de Gaulle! Ten, który dwukrotnie uratował Francję. Jakaż to nieoczywista w tamtych czasach odpowiedź! I jak wiele mówi.

Jeżeli jesteśmy przy sprawach nieoczywistych, a wiele mówiących. Dom Wojciecha Jaruzelskiego przy ulicy Ikara w Warszawie miało sposobność odwiedzić wielu dziennikarzy. I wszyscy oni widzieli pokaźną bibliotekę, dzieła Słowackiego i Żeromskiego, autorów, do których wracał najczęściej.

„Byliśmy domem inteligentkim, nie dygnitarskim – wspomina

Monika Jaruzelska. – Herbatka, rozmowy, dyskusja o książkach, o filmach”. To było ważne. „Pamiętam, jak siedziałam z ojcem w Omulewie, nad jeziorem, miałam 10-12 lat, może nawet mniej – dodaje Jaruzelska. – I tłumaczył mi, jaka jest różnica między inteligentem a intelektualistą. Że inteligent to inżynier, lekarz, ktoś z wykształceniem, a intelektualista to jest taki, który nie tylko chce więcej wiedzieć, ale jeszcze rozszerza tę wiedzę i daje innym. I dał mi trzy, pamiętam, przykłady intelektualistów. To był Kotarbiński, drugi był Zanussi, trzeci – Tazbir...”.

Krzysztof Zanussi był ulubionym reżyserem Jaruzelskiego, oglądał jego filmy, wysłał o nich, chętnie rozmawiał. Wspominał o „Życiu rodzinnym”, filmie wspianym, kameralnym, ze znakomitą obsadą. Ze zderzeniem zrujnowanego pałacu i nowego życia.

Pisząc o Wojciechu Jaruzelskim, nie uciekniemy, od stanu wojennego i Okrągłego Stołu. Generał był wielokrotnie pytany, dlaczego nie chce powiedzieć o otwarciu, że interwencja Moskwy wisiała nam nad głową i że stan wojenny to było w tamtych okolicznościach jedyne rozwiązanie, by jej uniknąć. A on, zamiast – tak jak zrobiliby to dzisiejsi politycy – zawołać: „Tak, oczywiście, Rosjanie!”, zanurzał się w długie

przygotowane do walki. Skierowało się do miejsc ześrodkowania, akurat tych, które według planów inwazji zająć mieli Rosjanie. Blokowane były też lotniska, Okęcie zajęli żołnierze dywizji powietrzno-desantowej, a okręty marynarki wojennej wypłynęły w morze.

Etap kolejny – zmiany w ZSRR, Gorbaczow... Możemy obserwować, jak Jaruzelski, stając po stronie Gorbaczowa, poszerza swoje pole działania. Jak wielką wagę przykładą do tego, co się dzieje w Moskwie. Jak to obserwuje. I jak rozpoczyna Okrągły Stół. By później być gwarantem jego sukcesu. A potem jest wizyta George’a Busha w Polsce i kolejna gra, już na najwyższych światowych szczeblach, o nowy kształt Niemiec i Europy.

Tak Wojciech Jaruzelski, z człowieka nazywanego ostatnim europejskim dyktatorem stał się politykiem wielkiego planu, mężem stanu. „Pomyliliśmy się co do pana”, mówiła mu Margaret Thatcher, George Bush namawiał, by został prezydentem. A podczas rozmów uważnie słuchał jego opinii na temat ZSRR.

Nie bez powodu prosił, by na jego grobie umieścić napis „Wojciech Jaruzelski. Żołnierz”.

tłumaczenia. Prof. Andrzej Werblan, gdy o to go pytałem, odpowiadał: „Bo to dla Jaruzelskiego byłoby za proste. Niegodne generała”.

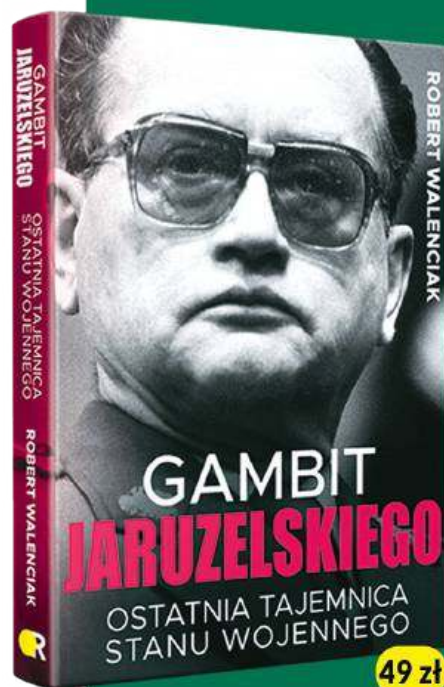
Jaruzelski wiedział, że geopolityka jest bezwzględna i wymusza na ZSRR utrzymanie Polski w swojej strefie wpływów. Jego gra, by interwencji zapobiec, jest jedną z najbardziej pasjonujących. To była gra wojskowego, a nie polityka. Nie było w niej gadania lub też – gadania było tylko trochę. Za to dużo działań z kategorii tzw. faktów dokonanych. Bo 13 grudnia 1981 r. polskie wojsko wyszło z koszar. Z ostrą amunicją,

Podobnie jak Jan Paweł II, który zapraszał go do Watykanu. W Polsce zapraszali go swojego samolotu kolejni prezydenci.

Kawał polskiej historii. Zaczynając od Polski wrześnieowej, przebranej, poprzez Polskę Ludową, poszerzającą pole swojej niezależności, a nie była to łatwa droga, po Polskę, bez której nie sposób ułożyć nowej Europy. Tylko polityk z najwyższej półki może przejść taką drogę.

Robert Walenciak
r.walenciak@tygodnikprzeglad.pl

KTO SZUKA PRAWDY, ZNAJDZIE JĄ U WALENCIAKA



**Zamów książkę
z autografem
i dedykacją!**

Zamów książkę
na sklep.tygodnikprzeglad.pl
lub wpłać na konto:
72 1090 2851 0000 0001 2023 9821
Fundacja Oratio Recta,
03-410 Warszawa,
ul. Inżynierska 3 lok. 7.
Darmowa wysyłka listem
nierejestrowanym Poczta Polska.

 Helena Leman

14 czerwca na sesji Rady Gminy Człuchów wójt Paweł Gibczyński odniósł się do piętrzących się próśb rolników o rozpoczęcie procedury szacowania strat w uprawach wywołanych suszą. Włodarz wyjaśniał, że podobnie jak inni wójtowie, ma związane ręce, bo nie wiadomo, czy nadal zgłaszanie szkód będzie się odbywało poprzez aplikację, czy władze centralne pozwolą na powrót komisji powołanych do oceniania strat w terenie.

– Różne organizacje branżowe aplikują do ministerstwa rolnictwa o powrót do powoływania komisji. Lecz dziś nie ma informacji, żeby forma zgłaszania szkód była inna niż

Susza na Pomorzu

**Rolnicy mówią,
że suszę
da się przetrwać,
ale dobijają ich
inne koszty**

poprzez aplikację. Nie mogę wystąpić do wojewody pismem z prośbą o powołanie komisji „suszowej” – tłumaczył wójt.

Trzeba przetrwać

19 czerwca sprawdzam sytuację w terenie. Gmina wiejska Człuchów zaczyna się zaraz za miejscowością Topole. Wzdłuż głównej drogi mijam pole przywędłej kukurydzy, wypalone słońcem pastwiska, słabe zboża jare, niskie jak na koniec czerwca.

– W tym roku syn z tego pastwiska zebrał tylko osiem balotów siana, a kiedyś i kilkadziesiąt się zdarzało, nie będzie czym karmić zwierząt – mówi kobieta ze wsi Nieżywiec. – Niech pani spojrzysz na ten

jęczmień, jaki on małe, jak susza potrwa dłużej, to przyschnie, i taki zostanie, nawet kombajn go nie zbierze. Zresztą jakie to ziarno będzie, plewy tylko, nawet koszt kombajnu się nie zwróci. Jakiś dziwny ten rok mamy; na początku czerwca ogórki mi zmroziło. Ziemię wysuszało nie tylko słońce, ale i zimne wiatry. Niemal codziennie się chmurzy, a nie pada, albo pada, jakby księżdz kropił machałą.

Jadę szutrowymi drogami w stronę Człuchowa w tumanie pyłu. Upał powyżej 25 st. We wsi Brzeźno widać w skwarze pole bobu, uprawy pastewne tak rachityczne, że przeświadcza między nimi wypalona gleba. Na skraju, między kępami margerytek, ziemia popękana jak w Afryce.

Wokół zboża aż po horyzont, rzepak jakoś się trzyma, inne ozime gorzej, z daleka widać wypalone przez słońce białe miejsca na polach pszenicy czy żyta. Owies tak mizerny, że trzeba podejść blisko, żeby stwierdzić, co to za uprawa.

– Tych wypalonych miejsc w zbożach nie da się uratować – mówią ojciec i syn, rolnicy z Jęcznik Wielkich. – Jak zacznie padać, to zrobią się zielone, utrudniając zbiórkę kombajnem. Trzeba będzie je chemicznie defoliować, a to dodatkowa praca i wydatek. Można by nawadniać pola, ale jak nawodnić 200 ha, kiedy wody brak. Do podlewania i oprysków nie bierzemy wody z wodociągu, ale z naszego stawu na podwórku. Jego poziom obniżył się ostatnio o ponad



metr, te korzenie i zarośla, co pani widzi, były normalnie pod wodą.

Siedzimy przy kawie w altanie pod lipą. Mówią, że jest dobrze. Starszy gospodarz dodaje, że w ciągu ostatnich 20 lat wiele w rolnictwie zmieniło się na lepsze.

– Dzisiaj dużo prac wykonują maszyny, siedzę sobie w kombajnie, włączam klimatyzację, radio gra, aż chce się kosić. Nasze gospodarstwo specjalizuje się wyłącznie w produkcji zbóż, a ja już oddaję powoli pałeczkę młodszemu pokoleniu.

Jego syn też nie chce załamywać rąk.

– Nie ma co rozpaczać – mówi. – Trzeba to po prostu przetrwać, w latach 2015-2016 też było sucho, a w 2017 r. dołało i wszystko się wyrównało. Nieraz słyszę komentarze, że rolnicy wciąż czegoś chcą, a to dopłat do nawozów, a to dopłat za straty związane z napływem ukraińskiego zboża, a teraz jeszcze dojdą odszkodowania za suszę czy przymrozki. A przecież na wiele rzeczy nie mamy wpływu. Czemu ceny nawozów tak nagle wzrosły, a spadek cen zbóż w ubiegłym roku też normalny nie był. Najwyższa cena za tonę rzepaku w kwietniu 2022 r. wyniosła 4,9 tys. zł, gdy dzisiaj rzepak chodzi za ok. 1,8 tys. My sprzedawaliśmy nasze zboże stopniowo i nie mieliśmy kłopotu ze zbytem.

Znikną gospodarstwa

Walenty Skalski, sołtys Jęcznik Wielkich, prowadzi 60-hektarowe gospodarstwo nastawione na produkcję roślinną.

– Wczoraj w nocy trochę popadało, 15 minut, raz i drugi. Na lepszych glebach, w dolinach może rośliny przeżyją i wykształci się ziarno. Jednak w moim gospodarstwie dominują piaszki, 7 ha łubinu uprawianego na ziarno chyba będę musiał zaorać, mój rzepak też słaby, nie wiem, czy dobrze wykształci się łuszczyzna. Koszt uprawy hektara rzepaku to ok. 6 tys. zł, licząc nawozy, opryski, paliwo, wszystko razem, jeśli zbiorę z niego trzy tony, to ledwo wyjdę na zero, jeszcze 600 zł będę na minusie przy obecnych cenach. Tona nawozu za 4,7 tys. zł starcza mi na 2,5 ha.

Czemu nawozy są tak drogie, przecież sprzedają je państwowe spółki? Obiecali nam dopłaty 500 zł od hektara, to niewiele, a jeszcze ich nie dostaliśmy. Suszę da się przetrwać, ale dobijają nas inne koszty.

Rolnik ocenia, że będzie w tym roku miał ok. 50% strat w gospodarstwie. Też będzie musiał defoliovować, czyli upalać glifosenem miejsca zniszczone przez suszę, gdzie zboże po opadach zacznie odbijać na zielono.

– Susze zdarzały się zawsze, pamiętam je jeszcze z dzieciństwa, po prostu były takie lata. Lecz jesienią, zimą, gdy spadały porządne śniegi, bilans wodny w glebie się wyrównywał, a obecnie tak się nie dzieje. Mam jeszcze trzy lata do emerytury. Dzieci nie chcą zostać w rolnictwie, mają dobrą pracę w budowlance i zarabiają więcej ode mnie. Jak tak dalej pójdzie, znikną gospodarstwa takie jak moje, będziemy mieli żywność sztuczną przywożoną

Susza w Pomorskiem obejmuje 90% gruntów.

z zagranicy albo z wielkich ferm. Już maleje liczba gospodarstw hodowlanych, można jechać kilometrami przez polską wieś i nie zobaczyć krowy na pastwisku. Tylko jeszcze na Kaszubach bardziej tradycyjnie: kurka, gąska, krówka.

Na początku czerwca pojawił się raport Instytutu Uprawy Nawożenia i Gleboznawstwa w Puławach, z którego wynika, że od 1 kwietnia do 31 maja 2023 r. zanotowano suszę rolniczą w dziewięciu województwach. IUNG największe niedobory wody stwierdził na terenach Pobrzeża Południowobałtyckiego, Żuław, na północy Pojezierza Mazurskiego, zachodniej części Kujaw: od –150 do –169 mm. Duży deficyt wody notowano również na obszarze Pojezierza Pomorskiego, Wielkopolskiego (część wschodnia), na pozostałym obszarze Pojezierza Mazurskiego i Niziny Południowowielkopolskiej od –120 do –149 mm.

Według raportu susza wystąpiła w czterech uprawach: zbóż jarych, zbóż ozimych, truskawek, krzewów

owocowych. W województwie pomorskim na 123 gminy: 120 objętych jest suszą zbóż jarych, co stanowi 97,56%. W Zachodniopomorskiem na 113 gmin 107 objętych jest suszą tych zbóż, a w Kujawsko-Pomorskiem na 144 gminy 134 objęte są taką suszą.

Zasięg suszy w uprawach zbóż ozimych jest niewiele mniejszy. W Pomorskiem jest 116 gmin z suszą zbóż ozimych, w Zachodniopomorskiem 100 gmin, a w Kujawsko-Pomorskiem 123. – Największe niedobory wody w tym okresie sześciodekadowym dla roślin uprawnych w północnej Polsce wynosiły od –120 do –169 mm. Straty plonów wywołane deficytem wody mogą spowodować ich obniżenie przynajmniej o 20% w skali gminy w stosunku do plonów uzyskanych w przeciętnych, wieloletnich warunkach pogodowych – komentował w raporcie prof. Wiesław Oleszek z IUNG.

Najgorsze, że susza nastąpiła okresie wegetacyjnym roślin, tak sytuację opisuje Wielkopolska Izba Rolnicza: „W uprawach ozimych, na najsłabszych glebach, obserwujemy kurczenie się wykształconych kłosów i istnieje duże prawdopodobieństwo, że ziarniaki się nie wykształcą. Zboża jare wyraźnie wstrzymały rozwój, widoczny jest brak krzewienia się. Rośliny okopowe, buraki i ziemniaki, są w fazie startowej, nie rozpoczęły intensywnej wegetacji”.

W połowie czerwca IUNG poinformował w kolejnym raporcie, że susza rolnicza pogłębia się i występuje już w 14 województwach: „W trzecim okresie raportowania, tj. od 11 kwietnia do 10 czerwca 2023 r. średnia wartość Klimatycznego Bilansu Wodnego, na podstawie którego dokonywana jest ocena zagrożenia suszą, była ujemna, wynosiła –110 mm. W obecnym okresie wartość KBW uległa zmniejszeniu o 40 mm w stosunku do poprzedniego okresu (od 1 kwietnia do 31 maja). Największe niedobory wody notowano ▶

► na terenach Pojezierza Mazurskiego i Pomorskiego oraz na Kujawach: od –180 do –209 mm”. Do zagrożonych suszą zbóż jarych i ozimych, truskawek i krzewów owocowych doszły uprawy rzepaku, rzepiku i drzewa owocowe. W wywiadzie dla farmer.pl z 21 czerwca prof. Andrzej Doroszewski z IUNG mówi, że susza w Pomorskiem obejmuje 90% gruntów.

Aplikacja czy komisja

7 czerwca 2023 r. Zarząd Krajowej Rady Izb Rolniczych zwrócił się z apelem do Ministerstwa Rolnictwa o podjęcie natychmiastowych działań w celu usprawnienia aplikacji suszowej. Samorząd rolniczy domagał się również sfinalizowania prac dotyczących rzetelnego systemu ogłaszania suszy na danym terenie.

Najgorsze, że susza nastąpiła okresie wegetacyjnym roślin.

W czerwcu 2020 r. rozporządzeniem Rady Ministrów wprowadzono publiczną aplikację (tzw. suszową). Każdy producent rolny po zalogowaniu się do niej podpisem zaufanym składa wniosek o oszacowanie strat w uprawach rolnych. Aplikacja opiera się na danych z IUNG. Instytut zbiera dane poprzez sieć stacji meteorologicznych i posterunków pomiarowych, tworząc System Monitoringu Suszy Rolniczej (SMSR).

– Widać ogromny wkład pracy w ten system, ale rolnicy nie są zadowoleni z jego rozwiązań, mówił 21 czerwca dla e-farmer Wiktor Szmuliewicz, prezes Krajowej Rady Izb Rolniczych. Pojawia się wiele wątpliwości. – IUNG mówi, że suszy nie ma, a ona rzeczywiście na polach jest. Na pewno trzeba iść w stronę zdjęć satelitarnych, ale dopóki nie jest to dopracowane, powinien funkcjonować system, w którym można się odwołać i wtedy rzeczywistej oceny powinien dokonywać człowiek. SMSR ma wskazać obszary, na których wystąpiły straty w uprawach, uwzględnione w ustawie o dopłatach do ubezpieczeń upraw rolnych i zwierząt gospodarskich

w Polsce, w rzeczywistości nie pokazuje stanu faktycznego i rolnicy nie dostają należnych im odszkodowań.

Wiktor Szmuliewicz podkreśla też, że podejście do szacowania strat, jak i samego stwierdzania suszy powinno być indywidualne.

Tymczasem prof. Doroszewski tłumaczy, że System Monitoringu Suszy Rolniczej zaczęto budować w 2007 r., po rekordowej suszy w 2006 r., gdy niedobory wody sięgnęły –300 mm. Jest on stopniowo doskonalony i idzie w kierunku wykorzystania głównie zdjęć satelitarnych do monitorowania suszy. A rozbieżności między IUNG a Instytutem Meteorologii i Gospodarki Wodnej biorą się stąd, że IUNG dostaje od niego dane z opóźnieniem i jeszcze je weryfikuje. Według profesora znaczącą rolę w przeciwdziałaniu suszy na obszarach wiejskich odgrywa mała retencja.

Najpierw przeciw aplikacji zaprotestowali rolnicy z Pomorza Zachodniego, gdzie po ponad dwóch miesiącach suszy spadła niewielka ilość deszczu, co nie ratuje upraw. Domagają się komisji i składają wnioski do gmin w tej sprawie. Dołączają do nich rolnicy z innych województw.

– Rolnicy wnioskuje o powrót komisji suszowych, które w ich ocenie lepiej i na miejscu dokonują szacowania szkód. Aplikacja opiera się na danych IUNG, które w ocenie rolników nie do końca są wiarygodne. Aplikacja nie działa na rok 2023 – informuje mnie wójt gminy Człuchów.

Potwierdzają to w gminie Pelplin.

– Niestety, obecnie aplikacja na terenie województwa pomorskiego nie funkcjonuje w sposób właściwy – mówi Artur Skuza z upoważnienia burmistrza. – W rozmowach z wojewodą otrzymaliśmy zapewnienie, że będą prowadzone działania, aby ją jak najszybciej uruchomić. Jeżeli nadal będą występować trudności, decyzje o powołaniu komisji szacunkowych podejmie wojewoda pomorski. W związku z aktualną sytuacją oraz brakiem podstaw prawnych gmina nie podejmuje

samodzielnych działań w tym zakresie. Jednocześnie w naszym powiecie nie odnotowano sygnałów dotyczących zamiany istniejących rozwiązań, chociaż takie sygnały mają miejsce na terenie kraju.

Ewelina Jażdżewska z Wydziału Środowiska i Rolnictwa w gminie Brusy (Pomorskie) informuje, że do urzędu nie docierają sygnały, że rolnicy chcą szacowania strat spowodowanych suszą przez komisje gminne. Rolnicy z Jęcznik Wielkich, z którymi rozmawiam, wolą zgłaszać straty wywołane suszą przez aplikację. Podkreślają, że taki sposób jest uczciwszy, chociaż krzywdzi rolników mających produkcję mieszaną, roślino-zwierzęcą. Mało kto z nich łapie się na odszkodowania, a przecież tracąc ziarno czy siano, muszą zmniejszyć hodowlę.

Walenty Skalski też jest za aplikacją. – Komisje to kumoterstwo – uci- na krótko.

Na razie w pomorskich gminach powstają tylko komisje ds. szacowania strat w uprawach rolnych będących wynikiem przymrozku wiosennego w dniach 2-3 czerwca. Taka komisja powołana przez wojewodę na wniosek władz gminy jest np. w Brusach i w gminie Człuchów. W tej gminie do 26 czerwca wpłynęło 26 wniosków od rolników.

Gminy apelują też o oszczędzanie wody. Apel gminy Pelplin w tej sprawie wybrzmiał również na antenie Radia Gdańsk. Nawet o 300% wzrosło jej użycie w gminie Brusy

– Mimo że na stronie internetowej pojawiają się apele burmistrza Brus o rozsądne gospodarowanie wodą pobieraną z wodociągu gminnego, to wydają się one niewystarczające. Przy dużych jej rozbiorach zdarzało się, że na końcach sieci wodociągowej dochodziło do obniżenia ciśnienia, a nawet jego chwilowego braku – informuje Ewelina Jażdżewska.

O oszczędzanie wody prosi też gmina Człuchów.

– Na razie tylko apelujemy – mówi Paweł Gibczyński – ale nie wprowadzamy formalnego zakazu np. podlewania. Troszeczkę popadało ostatnio, ale wesoło nie jest.

Helena Leman

Z Galicji



Jan Widacki

Nie będzie jednej listy opozycji?

Euforia po manifestacjach 4 czerwca już opadła, czas na spokojną, pozbawioną emocji ocenę sytuacji w przededniu najważniejszych od 1989 r. wyborów parlamentarnych.

Jest już niemal pewne, że opozycja nie potrafi się porozumieć i zamiast z jedną listą, w jesiennych wyborach do Sejmu wystąpi z trzema. Wbrew temu, co podpowiadają eksperci, wbrew temu, co wynika z sondaży, wbrew woli znacznej części elektoratu. Tak oto w jednej w pigułce mamy wszystkie nasze narodowe wady. Warcholstwo, prywatę, tradycję liberum veto. Zawieść i samolubstwo. Bufonadę i przekonanie, że „jakoś to będzie”. Ambicje liderów i liderków, powszechny brak zaufania do ekspertów i wszelkiej naukowej wiedzy.

A prawda jest taka, że postępuje polaryzacja wokół dwóch biegunów: PO i PiS. To, jak widać, jest tendencją stałą i nic nie wskazuje na to, by miało się zmienić.

Kolejna prawda jest zaś taka, że PiS utrzymuje mniej więcej stałe poparcie na poziomie ponad 30%. Mimo że wiele się dzieje, nie widać żadnych istotnych przepływów elektoratu z PiS do innych partii. Nic też nie

wskazuje na to, by bardziej centrowy elektorat odpyływał z PiS do Trzeciej Drogi Hołowni i Kosiniaka-Kamysza, jak spodziewali się liderzy tego ugrupowania. Platformie poparcie rośnie i zapewne będzie jeszcze rość. Ale dzieje się to właśnie kosztem Trzeciej Drogi. Lewica pozostawiona samej sobie może liczyć na ok. 8% głosów. Niespodziewanie zaczęło rosnąć poparcie dla Konfederacji. Ten dziwaczny twór polityczno-ideowy, w gospodarce najbardziej może liberalny, za to w sferze ideologicznej, obyczajowej i światopoglądowej skrajnie konserwatywny, antyeuropejski i nacjonalistyczny, jest jakąś archaiczną i karykaturalną wersją przedwojennej endecji. Pod tym względem Konfederacja jest znacznie bardziej prawicowa, konserwatywna, nacjonalistyczna i antydemokratyczna niż PiS. I na takie coś, jak wynika z sondaży, chcą głosować przede wszystkim młodzi mężczyźni, w tym wielu przedsiębiorców! Tak czy owak Konfederacja stała się trzecią siłą na polskiej scenie politycznej. Gdyby po wyborach PiS udało się dogadać z Konfederacją i stworzyć

wspólny rząd, będziemy wspominać ośmioletnie rządy PiS jako okres w sumie łagodnej, no może lekko autorytarnej, socjalno-liberalnej demokracji. Wizja rządu z ministrami Macierewiczem, Braunem i Ziobrą jest więcej niż przerażająca.

Partie opozycyjne, jeśli chcą wygrać wybory, powinny bezwzględnie zrobić dwie rzeczy. Po pierwsze, stworzyć wspólną listę w wyborach do Sejmu, obejmującą kandydatów Koalicji Obywatelskiej, Trzeciej Drogi i Lewicy. Po drugie, solidarnie zaważać nie o elektorat PiS, bo ten jest stały, betonowy i jak widać nie do odbicia, ale o elektorat Konfederacji, zwłaszcza o tych ludzi, którym podoba się liberalny program gospodarczy tej partii, a którzy może nie do końca są świadomi, jaki ta partia ma program polityczny (stosunek do UE, do demokracji, do mniejszości, do uchodźców), społeczny, jaki ma światopogląd i jakimi metodami chce go narzu-

cić obywatelom. Ofiarą tych poglądów padną także ci, którym podoba się program gospodarczy Konfederacji.

Nie wiem, na jak liczne zastępy swoich wyborców mogą liczyć Hołownia z Kosiniakiem-Kamyszem. Jak

widać, im bliżej wyborów, ten zastęp na skutek dalszej polaryzacji sceny politycznej jest coraz mniejszy. Jakaś jego część na pewno przepływnie jeszcze do Platformy. A ponieważ Trzecia Droga będzie startować jako koalicja, ma podwyższony próg wyborczy – z 5% do 8%. W świetle najnowszych sondaży lista ta jest w stanie ten próg minimalnie przekroczyć. Ale dalsza polaryzacja elektoratu, która w sposób oczywisty będzie się utrzymywała, dokonywać się będzie jej kosztem. Stąd też poważna obawa, że tych ponad 8% może nie zdobyć. Wówczas głosy na nią oddane zostaną rozdzielone pomiędzy zwycięskie partie. Najwięcej dostanie ta partia, która zdobędzie najwięcej głosów. I właśnie te głosy mogą zdecydować o tym, kto wygra wybory. Obawiam się, że znowu może to być PiS. O wyniku jesiennych wyborów zdecydują nie tyle wyniki PiS i Platformy, ile wyniki Trzeciej Drogi i Konfederacji. To ostatni moment na opamiętanie się ambitnych liderów partii opozycyjnych.

To ostatni moment na opamiętanie się ambitnych liderów partii opozycyjnych.

Kornel Wawrzyniak

– Mój syn umarł dwa lata temu z powodu przedawkowania oksykodonu. Kilka tygodni później to samo spotkało jego najlepszego kolegę ze studiów. To były zwykłe chłopaki. Dobrze się uczyli, chodzili na randki. Dopiero co zaczęli studia. Ale podobno opioidy są teraz modne wśród dzieciaków. Przeglądając telefon syna, dowiedziałem się skąd brał leki – kupował recepty w internecie. Moje dziecko zabiła witryna z receptami za 29 zł. Czy lekarze wystawiający takie recepty nie są jak dilerzy? Dlaczego to wszystko działa w świetle prawa? – pyta ze łzami w oczach pan Tomasz*, który pochował w 2021 r. swoje jedyne dziecko.

Dziś receptomaty to plaga, która działa na granicy prawa. Witryn oferujących recepty w 15 minut jest mnóstwo. W efekcie kupienie dowolnego leku stało się bardzo proste. Odpowiadamy na kilka krótkich pytań w ankiecie. Jeśli użytkownikowi zależy na konkretnej substancji, to z internetu dowie się, jakie objawy wpisać, aby dostać to, czego chce. Zależnie od strony zapłacimy między 29 a 79 zł i czekamy na e-receptę, która przyjdzie SMS-em. Taka sytuacja jest możliwa dzięki lukom w prawodawstwie.

Na co dziś się leczysz?

Nie brakuje domorośłych specjalistów, którzy leczą się z pomocą doktora Google’a, czyli wyszukując objawy w internecie, zamiast pójść do lekarza. Jeśli dodamy do tego możliwość wypisania sobie leków na własną rękę, to nieszczęście gotowe.

– Przy wystawianiu recept online, w przypadku podmiotów świadczących takie usługi komercyjnie istnieje duże ryzyko nadużyć wobec niekontrolowanego dostępu do wielu leków. Oczywiście portale wystawiające recepty mają pewne wyłączenia, np. jeśli chodzi o leki odurzające. Jednocześnie nie ma takich obostrzeń w przypadku antybiotyków, a to niesie duże ryzyko antybiotykooporności bakterii, która jest obecnie jednym z kluczowych zagrożeń zdrowotnych na świecie według WHO – tłumaczy



Doktor z internetu

Telemedycyna miała być ułatwieniem, tymczasem w sieci kupimy silnie uzależniające leki i dostaniemy receptę na medyczną marihuanę. Już od 29 zł

Piotr Pawliszczak prezes Okręgowej Rady Lekarskiej w Warszawie.

E-recepta, była ogromnym ułatwieniem dla pacjentów. Szczególnie dla takich gap jak ja. Papierowych recept szukałem wielokrotnie. Często już zaraz po wyjściu z gabinetu lekarskiego. Dziś wystarczy mieć telefon. W telegraficznym skrócie, od strony użytkownika e-recepta to czterocyfrowy kod, który po wizycie u specjalisty przychodzi SMS-em. Wystarczy go podać w aptece wraz z numerem PESEL i voilà! Dostajemy leki. Dla bardziej zaawansowanych technicznie jest jeszcze rządowa aplikacja Moje IKP, czyli dostęp do internetowego konta pacjenta. Tam recepta pojawia się również jako kod QR, który można dać do przeskanowania aptekarzowi. Na podwalinach tego uproszczenia narodziła się jednak patologia, z którą jest sporo kłopotów.

– Wszystkie tego typu portale działają na granicy prawa, co jest

wynikiem niedoskonałych regulacji prawnych. Mamy wśród lekarzy rekordzistów, którzy byli w stanie w ciągu miesiąca wystawić nawet kilkadziesiąt tysięcy recept i zaświadczeń online. Rekord to ok. 45 tys. przez 30 dni – to 1,5 tys. recept dziennie. Nie ma możliwości, żeby przeprowadzić taką wizytę zdalną w duchu należytej staranności czy realnego zapoznania się z problemem zdrowotnym pacjenta, jak wymaga tego m.in. Kodeks Etyki Lekarskiej. To jest niestety masówka i zastępowanie wywiadu lekarskiego czy osobistego badania uniwersalnym dla wszystkich pacjentów kwestionariuszem – tłumaczy prezes Pawliszczak.

Telebiznes

Telemedycyna dzięki pandemii COVID-19 rozrosła się na niespodziewaną skalę i stała biznesem przynoszącym rekordowe zyski. Weźmy

nagradzaną za szybki rozwój firmę telemedi.com, oferującą teliagnostykę. Firma zaczynała jako start-up w 2012 r. Dziś obsługuje ogromne korporacje, m.in. bank PKO BP. W latach 2018-2021 Telemedi odnotowała wzrost zysków na poziomie 983%. Tylko w 2021 r. firma dostała od inwestorów 25 mln zł finansowania na rozwój. W odróżnieniu od wielu portali internetowych dba o standardy i podczas konsultacji przeprowadza prawdziwy wywiad lekarski. Nie wszystkie firmy działają jednak z taką dbałością o pacjentów. Część portali specjalizuje się tylko w sprzedawaniu recept bez kontaktu z lekarzem.

– Przy telekonsultacji opieramy się na art. 42 Ustawy o zawodach lekarza i lekarza dentysty, tam ustępy 1 i 2 regulują orzekanie co do stanu zdrowia za pośrednictwem systemów teleinformatycznych, m.in. pod kątem wystawiania recept. Artykuł 42 w ust. 1 mówi, że recepty wystawia się po osobistym zbadaniu lub zbadaniu za pośrednictwem systemów teleinformatycznych, przy czym przez zbadanie za pośrednictwem systemu teleinformatycznego uważamy zebranie wywiadu, czyli rozmowę, a nie wypełnienie kwestionariusza. Ustęp 2 mówi, że można wystawić receptę bez zbadania tylko w ramach kontynuacji leczenia oraz jeżeli jest to uzasadnione stanem pacjenta, a to oznacza, że lekarz zna tego pacjenta, ponadto jest to stosowanie ujęte w dokumentacji medycznej – tłumaczy Pawliszczak.

Za receptomatami stoją jednak ogromne pieniądze, więc część firm nie patrzy na przepisy. Założmy, że specjalista będzie wystawiał „zaledwie” 30 tys. recept miesięcznie. Przy 79 zł za receptę daje to 2,37 mln zł w ciągu jednego miesiąca. Nawet jeśli doliczymy, że lekarz preparujący e-recepty taśmowo zapłaci za działalność kary nałożone przez sąd lekarski, to i tak zaledwie po kilku miesiącach pracy może spokojnie rozpocząć życie rentiera w Miami.

– Takie podmioty działają w oderwaniu od usystematyzowanego sposobu opieki nad pacjentem. To nie są placówki, które prowadzą działalność stacjonarną i dodatkowo świadczą usługi telemedyczne. To czysta

komercja, która opiera się wyłącznie na teleusługach. Dlatego jednym z potencjalnych mechanizmów regulacji byłoby zablokowanie możliwości prowadzenia teleporad w oderwaniu od działalności stacjonarnej – wyjaśnia prezes warszawskiej Okręgowej Rady Lekarskiej.

L-4 i marihuana

Paradoksy systemu dostrzegają również pacjenci. Dziś dzięki receptomatom każdy może dostać dowolną receptę, a nawet zwolnienie. Internauci wspominają na forach i w mediach społecznościowych, że dziś najlepiej jest pójść po L-4 do psychiatry, bo ma się właściwie pewność, że je wystawi. „Wystarczy nagadać mu głupot”.

– Moje samopoczucie psychiczne było bliskie zeru i potrzebowałam zwolnienia z pracy na parę tygodni. Umówiłam się online do nieznanego mi psychiatry, bo moja terapeutka była

lekarz będzie mógł wypisać mi tak silny lek. Lek, który biorę od lat! Zostałem bez inhalatora na dwa tygodnie, i to w sezonie najgorszego pylenia – opowiada 45-letni Miłosz, który zmagą się z alergią od dziecka.

Ciekawie robi się, gdy przychodzi do wypisywania medycznej marihuany. W ostatnich latach wiele krajów zalegalizowało jej palenie zarówno rekreacyjne, jak i w celach medycznych. Polska jest jednym z tych krajów, w którym od 2017 r. można korzystać z marihuany medycznej. Wystarczy mieć receptę. Stanowi ona legalny sposób na poruszanie się po ulicach z porcją suszu w kieszeni. Sprytni internauci znaleźli więc dzięki receptomatom sposób, aby zacząć palić medyczną marihuanę rekreacyjnie i w pełni legalnie.

Szybko powstały portale wystawiające recepty na marihuanę, takie jak: Centrum Marihuany, Medicana czy Zielona Karetka, które już w samej

Telemedycyna dzięki pandemii rozrosła się na niespodziewaną skalę i stała się biznesem przynoszącym rekordowe zyski.

na urlopie. Jakież wielkie było moje zdziwienie, kiedy okazało się, że wizyta odbywa się przez telefon, bez żadnego wideo, a lekarz proponuje mi po chwili rozmowy właściwie w ciemno zwolnienie na trzy miesiące. Na dodatek wypisał mi receptę na leki psychotropowe, o które nawet nie prosiłam, ale dostałam „tak na wszelki wypadek” – opowiada Milena*, która pracuje w średniej wielkości firmie. Zapytana, ile kosztowała ją ta teleporada, odpowiada, że 250 zł. Czy tę kwotę można traktować jako wytłumaczenie dla zachowania lekarza psychiatry w stylu: „nasz klient, nasz pan”? Tymczasem niektóre osoby próbujące korzystać z systemu za pośrednictwem porady online nie mogą dostać recepty na potrzebne im leki.

– Mam astmę. Niedawno skończył mi się steryd wziewny, dzięki któremu się nie duszę i normalnie funkcjonuję. Byłem na wyjeździe. Postanowiłem umówić się online do pulmonologa, który opiekuje się mną od lat. Okazało się, że muszę przyjść na wizytę kontrolną, nim

nazwie sugerują, w jakim celu odwiedza się ich stronę. Sprzedaż napędzana jest internetowymi reklamami. Wystarczyło, że w historii mojej przeglądarki pojawiły się wyszukiwania dotyczące receptomatów i medycznej marihuany, abym po kilku minutach w swoich mediach społecznościowych zaczął widzieć reklamy jednego z portali oferujących recepty na medyczną marihuanę w dwie godziny.

Palacze mają działający w 100% przepis na otrzymanie recepty.

– Wystarczy podać jeden z objawów, które kwalifikują do przepisania substancji. Najlepsze są oczywiście takie, które trudno zweryfikować, jak zespół jelita drażliwego czy jakaś bezsenność – wspomina architektka Natalia* i dodaje: – Cieszę się z takiego obrotu spraw, bo za 79 zł mam legalny sposób na palenie marihuany w Polsce i wreszcie mogę się poczuć jak na Zachodzie.

Przy czym nikt nie przeprowadza wnikliwego wywiadu. Jak już ustaliliśmy, na ekranie receptomatów czeka na nas jedynie ankietka. A to może ▶

► prowadzić do bardzo złych w skutkach sytuacji.

– Moja dziewczyna wymyśliła sobie, że wykupi receptę na medyczną marihuanę, ponieważ ma padaczkę, którą można potraktować marihuaną. Wypełniła w internecie ankietę i bardzo szybko dostała receptę. Niestety, lekarz ordynujący lek nie dowiedział się z kwestionariusza, że Alina ma też depresję, przy której marihuana nie jest wskazana. A czego myśmy wtedy nie wiedzieli. Czekaliśmy więc kosztowny wieczór, a ja musiałem słuchać o myślach samobójczych – opowiada 34 letni-Karol, inżynier z Katowic.

Jak posprzątać ten bałagan?

Telemedycyna ma plusy, które dostrzega prezes Pawliszczak.

– Jeśli można wymienić jakieś zalety teleporad, jest to głównie oszczędność czasu. Pacjentowi odpada cała logistyka związana z wycieczką do lekarza, taka jak parkowanie czy czekanie w kolejce pod gabinetem. Dodatkowo lekarz może przyjąć kogoś na teleporadę

kiedy jakiś pacjent nie przyjdzie na umówioną wizytę stacjonarną. Łatwiej znaleźć kogoś w to nie spodziewane wolne miejsce online, niż ściągnąć kogoś z domu czy z pracy. Widać ogromne przemiany społeczne, które dotyczą również preferowanego rodzaju

Wszystko związane z e-receptami działa obecnie na granicy prawa.

komunikacji interpersonalnej. Korzystamy z różnego rodzaju aplikacji, np. zamawiamy jedzenie, robimy zakupy online. Widać, że część pacjentów podczas teleporad woli pisać na czacie, niż rozmawiać przez telefon lub w ramach wideorozmowy. Znak czasów.

Niestety, wszystko związane z e-receptami działa obecnie na granicy prawa. Według raportu Fundacji Watch Health Care „Zasady regulacji zdalnej preskrypcji w Polsce” jedną z podstawowych wad telemedycyny jest często brak

jakiegokolwiek kontaktu z lekarzem oraz tzw. *overprescribing*, czyli nieuzasadniony wzrost konsumpcji leków wśród pacjentów. Oczywiście za wystawienie każdej recepty odpowiedzialny jest lekarz, którego numer wykonywania zawodu znajduje się na recepcie. Samorząd lekarski powinien jednak dotkliwie karać za lekkomyślne wystawianie recept i przyglądać się z dużą podejrzliwością tym specjalistom, którzy wystawiają tysiące recept miesięcznie. Nie widać też, aby resort zdrowia kierowany przez ministra Niedzielskiego miał jakiś pomysł na uregulowanie funkcjonowania receptomatów. Wszystko to działa na szkodę pacjentów. Sytuacja wygląda niczym odwrotność przysięgi Hipokratesa, której pierwszą zasadą jest: przede wszystkim nie szkodzić.

Kornel Wawrzyniak
k.wawrzyniak@tygodnikprzeglad.pl

* Niektóre personalia zmienione na prośbę rozmówców.

CZYTELNIKU, kupując miejsce reklamowe, wspierasz PRZEGLĄD

**Chcesz się wypromować?
Tu może być Twoja firma!**



Nie masz grafika ani pomysłu?

**Nie martw się, przygotujemy
Twoją reklamę GRATIS**

Zapraszamy do współpracy: a.mierzejewska@tygodnikprzeglad.pl, tel. 22 635 84 10 wew. 111

Refleksje pesymisty



Andrzej Romanowski

Człowiek, który oddał władzę

Za chwilę setna rocznica urodzin Wojciecha Jaruzelskiego. Pierwszego prezydenta III Rzeczypospolitej. W latach 80. przeklinałem stan wojenny i nie było takich obelg, których bym nie użył wobec jego twórcy. Ale gdy w roku 1989 Jaruzelski powierzył mi się tworzenia rządu Tadeuszowi Mazowieckiemu, gdy potem lojalnie z tym rządem współpracowałem, gdy nad nim, wspólnie z innymi, doznałem szoku poznawczego. I szok ten stał się pogłębiam, bowiem dopiero dziś dostrzegam w „sentymentalnej pannie S” również twarz pisowską... Jaruzelski tej twarzy się bał i najwyraźniej wiedział, czego się boi.

Nasza prawica rozumie z Jaruzelskiego to tylko, co ja 40 lat temu: że to „autor stanu wojennego”. Tymczasem cokolwiek mówić o obronie systemu (czy jednak wtedy, broniąc systemu, nie broniło się także Polski?), to w roku 1981 Jaruzelski nie dopuścił do wymknięcia się spraw polskich z polskich rąk. Następnie, klucząc i lawirując, zachował wszystkie zdobycze roku 1956, Gomułkowskiego Października. Gdy doczekał pierestrojki Gorbaczowa, stopniowo i ostrożnie zdobycze te poszerzał. W końcu, liberalizując system, doprowadził do sytuacji, w której relegalizacja Solidarności stała się koniecznością. A potem poszedł jeszcze dalej: zgodził się na półwolne wybory. W rezultacie – rzecz nie do pomyślenia w światowym ruchu komunistycznym – dobrowolnie oddał władzę. I to komu? Zwalczanej dotąd Solidarności.

Że żyjemy dziś w III Rzeczypospolitej – to jego zasługa. A największymi jego dłużnikami są właśnie ludzie Solidarności. Ale i my wszyscy, bez wyjątku, z obu stron ówczesnej barykady. To przecież dzięki Jaruzelskiemu przełom roku 1989 dokonał się „bez jednej wybitej szyby”. To on, jako I sekretarz partii, pokazał I sekretarzom w „bratnich krajach”, że są sytuacje, w których władzę można i należy oddać. Wyrósł na męża stanu, który zdecydował o losach Polski, ale który też wpłynął na losy ZSRR, Rosji i Europy, chyba nawet nie tylko środkowo-wschodniej. Niewiele mieliśmy polityków o takim formacie i takim znaczeniu.

Od roku 1990 pisałem już o nim z podziwem i wdzięcznością. Z podziwem – że był w stanie przekroczyć horyzont własnej formacji i że w erze Gorbaczowa właściwie zredefiniował polską rację stanu. Z wdzięcznością – że zaoszczędził narodowi trudnych do wyobrażenia strat, bo nawet stan wojenny okazał się najtańszym bodaj

stanem wyjątkowym w dziejach świata. Jaruzelski miał odwagę wziąć za swoje działania odpowiedzialność, z nikim tą odpowiedzialnością się nie dzielił. I choć stan wojenny uważał zawsze za konieczność, nieustannie za niego przeproszał.

Pozostawałem z nim w korespondencji od sierpnia 2005 r., gdy nieoczekiwanie nadesłał mi list i książkę „Pod prąd” swojego autorstwa. Moje listy do niego zaczynałem zawsze słowami „Panie Prezydencie”, bo rzeczywiście godność głowy państwa w przełomowych latach 1989-1990 określiła jego dziejową rolę. Choć on, jako żołnierz, wołałby zapewne zwrot „panie generale”. Bezpośrednio rozmawialiśmy dwukrotnie: najpierw w Krakowie w październiku 2009 r., potem w Warszawie na jego 90. urodzinach, 6 lipca 2013 r. „Zawdzięczam Panu życie” – powiedziałem. Żachnął się: „No to już...” – nie dokończył, że to przesada, bo wpadłem mu w słowo, mówiąc, że przecież nie wiem, jakbym się zachował, gdybym ujrzał na ulicy żołnierza z czerwoną gwiazdą. Nic już nie powiedział, gdy chwilę trwalimy w uścisku.

Że żyjemy dziś w III Rzeczypospolitej – to zasługa Jaruzelskiego. A największymi jego dłużnikami są ludzie Solidarności.

Nigdyśmy go – jako naród – nie docenili i nigdyśmy mu nie podziękowali. Rzadko zwracaliśmy się do niego o wypowiedź – i jeżeli nawet ją publikowaliśmy, to chyłkiem, wstydliwie, że niby to się zwracaliśmy, a naprawdę to wcale nie... Mówiąc „my”, mam na myśli prasę postsolidarnościową i katolicką, z którą przez długie lata byłem związany. Natomiast wierny Jaruzelskiemu pozostał jego dawny obóz, w czym zresztą tkwił oczywisty paradoks, bo logicznie biorąc, obóz ten powinien się go wyprzeć jako zdrajcy komunizmu... Ale PZPR, stygmatyzowana dziś przez prawicę jako „komunistyczna”, taką, jak widać, nie była. To tylko ci, którzy z woli Jaruzelskiego doszli do władzy, zafundowali mu niekończące się, upokarzające procesy, coroczne demonstracje pod domem w rocznicę stanu wojennego oraz rehot wobec perspektywy degradacji go do stopnia szeregowca. Polski wstyd i polska hańba, ale on je znosił – zawsze z tą samą godnością.

Oddał władzę, choć nie musiał. Jego postać pozostaje wyzwaniem także w obecnym, wyborczym roku.

a.romanowski@tygodnikprzeglad.pl

CIERŃ PRZESZŁOŚCI

Nie ma symetrii między ludobójstwem dokonanym przez OUN-B i UPA a operacją „Wisła”

Bohdan Piętko

11 lipca po raz kolejny będzie obchodzony Narodowy Dzień Pamięci Ofiar Ludobójstwa dokonanego przez ukraińskich nacjonalistów na obywatelach II Rzeczypospolitej Polskiej. Święto to zostało ustanowione przez Sejm w 2016 r., a długa droga do tego była wyboista. Pierwszą przeszkodą była polska polityka, oparta na założeniu, że nie można zadrażniać stosunków z Ukrainą. Wszystko bowiem, co osłabia partnerstwo polsko-ukraińskie, wzmacnia Rosję. Drugą przeszkodą była polityka historyczno-tożsamościowa Ukrainy, która gloryfikuje sprawców ludobójstwa wołyńsko-małopolskiego jako bohaterów walki o niepodległość. Z Kijowa płynęły wtedy sygnały, że „granie Wołyniem” przez stronę polską osłabi stosunki polsko-ukraińskie.

Data 11 lipca odwołuje się do Krwawej Niedzieli, czyli apogeum ludobójstwa na Wołyniu. Tego dnia w 1943 r. bojówki ukraińskie zaatakowały 99 miejscowości zamieszkałych przez Polaków.

Dlatego w Warszawie trwały długie utarczki o formę upamiętnienia ofiar i treść uchwały Sejmu. Największe spory toczyły się o słowo ludobójstwo, po raz pierwszy wykreślone z uchwały sejmowej w 2013 r. Dopiero w 2016 r. powiedziano wszystko bez niedomówień i Sejm ustanowił Narodowy Dzień Pamięci Ofiar Ludobójstwa.

Zdecydowano, by obchodzić go 11 lipca, co też rodziło się w bólach, bo niektórzy politycy proponowali 17 września. Data 11 lipca odwołuje się do rocznicy tzw. Krwawej Niedzieli – czyli apogeum ludobójstwa na Wołyniu. Tego dnia w 1943 r. bojówki

ukraińskie zaatakowały 99 miejscowości zamieszkałych przez Polaków. Wybrano niedzielę, ponieważ większość bezbronnych ofiar udała się tego dnia do kościołów, co ułatwiło napastnikom ich mordowanie. W dniach 11-14 lipca 1943 r. nacjonaliści ukraińscy zaatakowali 167 polskich miejscowości, a w całym lipcu 1943 r. – 520. Ofiarami tych napadów było kilkanaście tysięcy osób narodowości polskiej, w tym kobiety, dzieci i starcy. Ogółem od lutego do końca 1943 r. nacjonaliści ukraińscy zamordowali na Wołyniu ok. 50-60 tys. Polaków w 1865 miejscowościach, które w większości zostały spalone.

Ukraińska forma faszyzmu

Czym był nacjonalizm ukraiński i dlaczego doprowadził do takich zbrodni? Był ukraińską formą faszyzmu nastawioną na współpracę

z III Rzeszą, do której doszło podczas II wojny światowej. Jest to fakt historyczny i nie zmienia tego wybielanie ukraińskiego nacjonalizmu jako rzekomego ruchu demokratycznego i niepodległościowego, jak przedstawiano to na emigracji ukraińskiej po 1945 r. i jak to się dzieje w niepodległej Ukrainie po 2004 r.

Nacjonalizm ukraiński nie był czymś wyjątkowym w latach 30. XX w. w Europie. Podobne mu ruchy i ideologie – wzorujące się na faszyzmie i bazujące na radykalnym nacjonalizmie – były w tamtym czasie charakterystyczne dla wielu narodów Europy Środkowo-Wschodniej

i Południowej. Zwłaszcza tych upośledzonych politycznie, do których należeli w pierwszej kolejności Ukraińcy – pozbawieni własnego państwa i podzieleni terytorialnie pomiędzy Polskę i ZSRR. Jego wyjątkowość polegała na tym, że dopuścił się zbrodni porównywalnych pod względem okrucieństwa jedynie ze zbrodniami chorwackich ustaszy, oraz na tym, że nie zniknął wraz ze swoją epoką. Drugie życie zapewniła mu „zimna wojna”, a trzecie – polityka USA wobec Ukrainy po 2004 r.

Polityka historyczna współczesnej Ukrainy przedstawia utworzoną w 1929 r. Organizację Ukraińskich Nacjonalistów jako ruch antysowiecki (antyrosyjski), jednakże był to przede wszystkim ruch antypolski. Przywódca OUN w latach 30. i na początku lat 40. XX w. uważali Polskę za głównego wroga. Wydali bezwzględnej wojnę II Rzeczypospolitej, uderzając serią ataków terrorystycznych w jej instytucje i przedstawicieli. W porozumieniu z Niemcami hitlerowskimi OUN zorganizowała dywersję przeciwko Polsce w czasie kampanii wrześniowej 1939 r. (wtedy doszło do pierwszych mordów dokonanych przez ukraińskich nacjonalistów na ludności polskiej). To antypolskie stanowisko jeszcze bardziej zaostriżyło się po utworzeniu w kwietniu 1940 r. frakcji banderowskiej (OUN-B). Antypolska czystka etniczna o charakterze ludobójstwa, do której doszło na Kresach Południowo-Wschodnich II RP, wynikała z szowinistycznej ideologii ukraińskiego ruchu nacjonalistycznego i jego celu politycznego, jakim było utworzenie totalitarnego i monoetnicznego państwa ukraińskiego.

Ludobójstwo popełnione przez formacje OUN-B i UPA na Polakach w latach 1943-1945 w przedwojennych województwach wołyńskim, lwowskim, tarnopolskim



Polacy pomordowani podczas napadu oddziału UPA na wieś Kolonia Lipniki, 26 marca 1943 r.

i stanisławowskim oraz częściowo poleskim i lubelskim pochłonęło znaczącą liczbę ofiar. Historycy specjalizujący się w tematyce stosunków polsko-ukraińskich podają różne liczby. Ryszard Torzecki oszacował ją na 80-100 tys. osób, Grzegorz Motyka – na 100 tys., Czesław Partacz – na 120 tys. Badaczka ludobójstwa popełnionego przez nacjonalistów ukraińskich na Kresach Wschodnich II RP Ewa Siemaszko podała liczbę 130 tys. Oczywiście są to tylko ofiary śmiertelne, do których należałoby dodać rannych oraz trwale okaleczonych fizycznie i psychicznie oraz wypędzonych na zawsze z własnych siedzib. A także zniszczone i zgrabione mienie, utracone dziedzictwo historyczne i kulturowe, w tym starcie na zawsze z ziemi i map tysiące miejscowości. To wszystko bowiem mieści się w pojęciu ludobójstwa.

Ryszard Szawłowski, politolog i specjalista z zakresu prawa międzynarodowego, który analizował zbrodnie nacjonalistów ukraińskich od strony prawnej, sklasyfikował zbrodnie ukraińskie na Polakach wyżej niż niemieckie i sowieckie, jako specjalnie kwalifikowaną zbrodnię ludobójstwa, którą określił łacińskim terminem *genocidium atrox* (ludobójstwo zwyrodniałe). Zakwalifikował tak zbrodnie popełnione przez OUN-B i UPA na Wołyniu i w Małopolsce Wschodniej, dlatego że było to ludobójstwo

„totalne” (całościowe), charakteryzujące się ponadto stosowaniem najbardziej barbarzyńskich tortur wobec zabijanych ofiar. Wyjątkowość ludobójstwa wołyńsko-małopolskiego polegała też na tym, że zostało ono dokonane nie przez aparat państwa, ale przez organizację konspiracyjną na terenie okupowanym do 1944 r. przez Niemcy hitlerowskie.

Krwawa Niedziela

W tym roku przypada 80. rocznica Krwawej Niedzieli. Od wielu lat każda kolejna rocznica, a zwłaszcza okrągła, upływała pod znakiem zadrażeń wewnętrznych i polsko-ukraińskich

W latach 30. i na początku lat 40. XX w. przywódcy OUN uważali Polskę za głównego wroga.

oraz pytania o historyczne rozliczenie zbrodni wołyńsko-małopolskiej. Nie inaczej jest i w tym roku. Wydaje się, że po upływie 80 lat od tamtych wydarzeń sprawa ta powinna zostać historycznie i politycznie zamknięta we wzajemnych stosunkach. Dla dobra obu narodów, dla ich normalnego i pokojowego współżycia, które jest koniecznością. Nikomu przecież w Polsce nie chodzi o jakiś odwet albo o odzyskanie Kresów Wschodnich, co od pewnego czasu sugeruje

propaganda rosyjska. Chodzi jedynie o nazwanie przez Ukrainę zbrodni i sprawców po imieniu, ekshumację ofiar i ich godne upamiętnienie. Tylko tyle wystarczy dla historycznego rozliczenia.

Dlaczego wciąż nie można tego zrobić? Kto jest winny, że ta historia nie została zamknięta i komu służy jej nierozliczenie? Winnych jest wielu. A głównie polityka – polska i ukraińska.

Wśród polskich elit politycznych po 1989 (1991) r. panowało przekonanie, że Ukraina i Ukraińcy prędzej czy później dojrzeją do rozliczenia trudnych kart wzajemnej historii. Poza tym nie należy stawiać tej sprawy na ostrzu noża, ponieważ Ukraina jest w polskiej polityce wschodniej partnerem strategicznym i bieżące stosunki z nią są najważniejsze, a Ukraińcy dopiero budują swoje państwo. Dlatego początkowo podejmowano kroki o charakterze ekspiacyjno-pojednawczym i oczekiwano, że niepodległa od 1991 r. Ukraina podejmie w rewanżu identyczne kroki. Takim krokiem ekspiacyjno-pojednawczym ze strony polskiej było przyjęcie przez Senat 3 sierpnia 1990 r. uchwały potępiającej operację „Wista” jako naruszenie prawa człowieka (co powtórzyli potem prezydenci Aleksander Kwaśniewski i Lech Kaczyński). Oczekiwano najprawdopodobniej, że w odpowiedzi strona ukraińska uczyni podobny krok w sprawie ludobójstwa wołyńsko-małopolskiego. Ten jednak nie następował i nie nastąpił.

Należy przy tym zaznaczyć, że nie ma symetrii między operacją „Wista” a ludobójstwem dokonany przez OUN-B i UPA na Kresach Południowo-Wschodnich II RP. Cokolwiek byśmy powiedzieli o charakterze deportacji ludności ukraińskiej i łemkowskiej w 1947 r. oraz wbrew temu, co twierdzi nacjonalistyczna historiografia ukraińska, celem operacji „Wista” nie było ludobójstwo, ale likwidacja terrorystycznej działalności UPA w powojennej Polsce.

► Operacja „Wista”

W 1997 r., właśnie w rocznicę operacji „Wista”, prezydenci Aleksander Kwaśniewski i Leonid Kuczma podpisali pierwszą deklarację pojednania polsko-ukraińskiego. Deklaracja ta została na Ukrainie odczytana wyłącznie jako jednostronne uznanie przez Polskę win za historyczne konflikty i w konsekwencji utrudniła refleksję strony ukraińskiej nad zbrodniami popełnionymi przez OUN-B i UPA. Stało się to widoczne zwłaszcza w 2003 r., podczas dyskusji poprzedzających uroczyste obchody w Porycku (Pawliwce) na Wołyniu 60. rocznicy Krwawej Niedzieli z udziałem prezydentów Kwaśniewskiego i Kuczmy.

Jednakże w swoim wystąpieniu prezydent Kwaśniewski, jako pierwszy polski przywódca, nazwał działania OUN-B i UPA zbrodnią ludobójstwa. Wydawało się wówczas, że historyczne rozliczenie i zamknięcie tej krwawej karty historii jest bliskie. Niestety, nadzieje te zostały rozwiane po przewrotach politycznych w Kijowie w latach 2004 i 2014, wspieranych zresztą przez stronę polską.

Prezydenci Wiktor Juszczenko (2005-2010) i Petro Poroszenko (2014-2019) oparli politykę historyczną i tożsamościową Ukrainy na konstrukcji mitu OUN i UPA jako ruchu narodowowyzwoleńczego, a nawet demokratycznego. Powodem odwołania się przez nich do OUN i UPA (ubranych w podretuszowane kostiumy historyczne) była polityka bieżąca, czyli dążenie do wykreowania antyrosyjskiej i prozachodniej Ukrainy. Wpadli tutaj w pewną pułapkę, która okazała się dla Ukrainy tragiczna, ponieważ ich polityka historyczna została wykorzystana przez putinowską Rosję do przedstawiania pomajdanowej Ukrainy jako państwa opanowanego przez banderowców i neonazistów.

Oparcie przez pomajdanową Ukrainę swojej polityki tożsamościowej na zafalszowanym historycznie micie nacjonalistycznym miało poparcie, przynajmniej początkowo, części elity politycznej USA. Świadczy o tym słynny artykuł z 2014 r. autorstwa Anne Applebaum „Nationalism Is Exactly What Ukraine Needs” (Nacjonalizm jest dokładnie tym, czego Ukraina



Ukraińscy nacjonaści świętują 109. rocznicę urodzin Stepana Bandery. Kijów, 1 stycznia 2018 r.

potrzebuje). Autorka, zastrzegając że ma świadomość zbrodni popełnionych przez nacjonalistów ukraińskich na Polakach i Żydach, odwołała się do doświadczeń historycznych innych państw i w ten sposób dowodziła, że umiarkowany nacjonalizm jest Ukraincom niezbędny dla stworzenia normalnej (tzn. prozachodniej) Ukrainy.

Nadzieje na szybkie zbudowanie przez Juszczenkę i Poroszenkę zintegrowanej z Zachodem Ukrainy nie za bardzo się ziściły, natomiast nacjonalizm pod ich rządami urósł w siłę, ku radości propagandy rosyjskiej. Chodzi tutaj nie tylko o heroizację OUN i UPA, tak na szczęblu instytucji publicznych, jak i w przestrzeni społecznej, ale także dywizji Waffen-SS „Galizien”. Trudno sobie wyobrazić, że w państwie europejskim może być czczona jakaś dywizja SS. Ma to miejsce tylko na Ukrainie i na należącej do UE Łotwie, gdzie honoruje się publicznie Legion Łotewski SS.

Przyjęcie heroicznego mitu OUN i UPA jako podstawy polityki historyczno-tożsamościowej wykluczyło możliwość rozliczenia przez Ukrainę zbrodni popełnionych przez te formacje. To jest główny powód tego, że w 80. rocznicę Krwawej Niedzieli wciąż nie można zamknąć tego tragicznego rozdziału historii, który niczym cięć przeszłości obciąża stosunki pomiędzy oboma narodami. Drugim powodem są reakcje na ukraińską politykę historyczno-tożsamościową ze strony polskich elit politycznych. Poza skrajnymi

przypadkami afirmacji ukraińskiej polityki historycznej w imię strategicznego partnerstwa z Kijowem reakcje te sprowadzały się najogólniej do odkładania tematu i przyznawania się do własnej bezsilności. Słynna wypowiedź Jarosława Kaczyńskiego z 2017 r., że „z Banderą do Europy nie wejdziesz” była właśnie wyrazem bezsilności, a nie realną groźbą. Zresztą była to wypowiedź adresowana do elektoratów PiS oraz Konfederacji.

Jestem świadomy tego, że Ukraina nie przyjmie polskiej oceny historycznej OUN i UPA, ale nie może unikać minimalnego choćby rozliczenia zbrodni gloryfikowanego przez siebie ruchu politycznego, czyli właśnie zgody na ekshumację i pochowanie szczątków ofiar leżących bezimiennie w ziemi Wołynia i Podola. Jeżeli Kijów tego unika, to znaczy, że nie traktuje polskich polityków poważnie, bo i tak zawsze wszystko od nich dostanie.

Mit Bandery

Najwięcej szkód dla polsko-ukraińskiego dialogu historycznego oraz blokowania historycznego rozliczenia ludobójstwa wołyńsko-małopolskiego, w tym ekshumacji i upamiętnienia jego ofiar, wyrządził Ukraiński Instytut Pamięci Narodowej (UINP). Zwłaszcza pod prezesurą Wołodymira Wjatrowycza (2014-2019). Instytucja ta swoją kadrę i narrację historyczną przejęła w znacznej mierze z Centrum Badania Ruchu Wyzwoleńczego we

Lwowie, utworzonego w 2008 r. przez epigonów nacjonalizmu ukraińskiego. Wołodymyr Wjatrowycz w swoich publikacjach wielokrotnie negował ludobójstwo wołyńsko-małopolskie, przedstawiając je jako rzekomą „wojnę chłopską”, konflikt wzajemnie zwiniony, czy budując fałszywą symetrię z operacją „Wisła”.

Część ukraińskich elit politycznych zbudowała sobie przeświadczenie o szczególnych zasługach Stepana Bandery i jego ruchu politycznego dla powstania niepodległej Ukrainy (faktycznie nacjonałści ukraińscy nie mieli żadnego udziału w odzyskaniu niepodległości przez Ukrainę w 1991 r.). Przy okazji wizyty prezydenta Andrzeja Dudy w Kijowie w maju 2022 r. Wjatrowycz pochwalił się na Facebooku, że obecnie 74% Ukraińców ma pozytywny stosunek do Bandery, a 81% uznaje UPA za bojowników o niepodległość. Inne dane podał w październiku 2022 r. Kijowski Międzynarodowy Instytut Socjologii, wedle którego pozytywnie oceniało UPA 43% Ukraińców. Ale i tak był to prawie dwukrotny wzrost w porównaniu z rokiem 2013, kiedy o UPA pozytywnie wyrażało się 22% Ukraińców.

To wyjaśnia, dlaczego prezydent Wołodymyr Zełenski nie może się odciąć od skonstruowanego przez UINP mitu OUN i UPA jako nieskazitelnego ruchu narodowowyzwoleńczego. Polityczna kalkulacja podpowiada mu, żeby tego nie robić wobec tak silnych nastrojów nacjonalistycznych w swoim kraju. Zwłaszcza teraz, w obliczu trwającej od 16 miesięcy agresji rosyjskiej. Dlatego po pewnych sygnałach, wysłanych podczas wizyty w Warszawie na początku kwietnia br., że możliwe jest odblokowanie ekshumacji szczątków Polaków zamordowanych na Wołyniu, polskie elity polityczne otrzymały kolejny kubek zimnej wody. Tym bardziej zaskakujący, że niespodziewany po ogromie pomocy politycznej, wojskowej i humanitarnej udzielonej przez Polskę Ukrainie po 24 lutym 2022 r.

17 czerwca br. szef UINP Anton Drobowycz w wywiadzie dla serwisu Glavcom powiedział, że strona ukraińska nie wyda zgody na polskie prace poszukiwawczo-ekshumacyjne na swoim terytorium, dopóki

zalegalizowany przez Polskę pomnik UPA na górze Monastyrz koło Werchraty nie zostanie odnowiony w takiej formie, jakiej żąda strona ukraińska (tzn. gloryfikującej UPA). Wspominał też o innych upamiętnieniach tego typu na terenie Polski, w większości nielegalnych, których odnowienia również oczekuje. Tym samym stanowisko Ukraińskiego Instytutu Pamięci Narodowej pozostało takie jak wcześniej: chcecie mieć ekshumacje i upamiętnienia polskich ofiar UPA na terenie Ukrainy, to uczcie ich katów na swoim terytorium.

Jeżeli Kijów nie chce wydać zgody na ekshumację i pochowanie szczątków ofiar, to znaczy, że nie traktuje polskich polityków poważnie, bo i tak zawsze wszystko od nich dostanie.

Tenże Anton Drobowycz, kiedy w grudniu 2019 r. obejmował po Wjatrowycz stery UINP, oświadczył na konferencji prasowej, że „mowa o ludobójstwie dokonany przez Ukraińców na Polakach to nieporozumienie”. Takie jest podejście do tego tematu ukraińskiej polityki historycznej oraz niektórych środowisk proukraińskich w Polsce. Dopóki ono się nie zmieni, nie będzie mowy o historycznym rozliczeniu i zamknięciu sprawy ludobójstwa wołyńsko-małopolskiego, czyli o wyrwaniu ciernia, który zawsze będzie kaleczył wzajemne stosunki. Niezależnie od tego, jak dobre miny będą przy tym robić przywódcy najwyższego szczebla w Warszawie i Kijowie.

W tym samym czasie, kiedy Drobowycz udzielał wywiadu serwisowi Glavcom, Władimir Putin miał

poruszyć na forum ekonomicznym w Petersburgu temat „denazyfikacji” Ukrainy oraz wyświetlić film o zbrodniach nacjonalistów ukraińskich na Polakach. Informację o tym podał w Polsce tylko portal Kresy.pl, więc nie potrafię jej zweryfikować. Niezależnie od tego, czy ta informacja jest prawdziwa, czy nie, nie jest tajemnicą, że brak historycznego rozliczenia ludobójstwa wołyńsko-małopolskiego przez Ukrainę stanowi dla Rosji wygodny pretekst do jątrzenia stosunków polsko-ukraińskich. Tak samo Rosja wykorzystuje i będzie wykorzystywać

ukraińską politykę historyczną do oskarżania Ukrainy o tendencje naziistowskie i osłabiania pozycji politycznej tego państwa, jeśli nie w świecie euroatlantyckim, to poza nim.

To przede wszystkim powinni uświadomić swoim partnerom z Kijowa polscy politycy, zamiast pouczać publicznie przedstawicieli potomków ofiar ludobójstwa wołyńsko-małopolskiego, żeby ważyli słowa. Chyba że jest tak, jak stwierdził rok temu prawicowy publicysta Paweł Lisicki. Podczas debaty „Wołyń a relacje Warszawa-Kijów. Jak rozmawiać o ludobójstwie w sytuacji wojny na Ukrainie”, która odbyła się 9 lipca 2022 r., wyraził on pogląd, że „rośnie coraz większa gotowość polskich elit, aby nad Wołyniem przejść do porządku dziennego”.

Bohdan Piętko

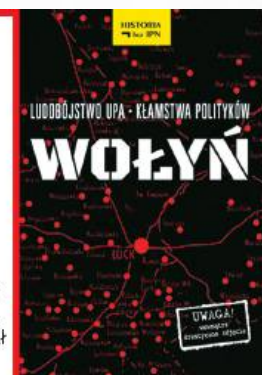
KSIAŻKA PRZEGLĄDU

Prawdziwa do bólu – zbrodnie banderowców opisane przez tych, którym udało się przeżyć, teksty publicystów i przerażająca dokumentacja zdjęciowa

Wpłaty 44 zł prosimy dokonywać na konto:

72 1090 2851 0000 0001 2023 9821 Fundacja Oratio Recta, 03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7. W cenę wliczony jest koszt wysyłki nierejestrowanej Pocztą Polską. Istnieje możliwość wysyłki poleconej priorytetowej +10,00 zł, Orlen Paczka +6,99 zł, paczkomat InPost +13,90 zł lub dostawa kurierem InPost +14,90 zł

sklep.tygodnikprzeglad.pl



Mężczyźni i kobiety, dwie polityki, dwie tożsamości

Dziś politykę uprawia się nie pod klasę, ale tożsamość, i nie wygrywa programem, lecz opowieścią

Jakub Dymek

Ilekoć w sondażu Konfederacja uzyska nadspodziewanie dobry wynik – ponad 10%, ponad 40% wśród mężczyzn, ponad 15% u kobiet – w Polsce rozpoczynamy od nowa tę samą dyskusję. Co się stało, czy grozi nam faszyzm i co z mężczyznami/kobietami jest nie w porządku?

I choć bardzo wiele zostało już na ten temat powiedziane, warto pochylić się nad odpowiedzią najbanalniejszą. Polaryzacja płci jest w polityce faktem i Polska nie jest w tym zakresie radykalnie odmienna od Francji czy Niemiec. Mężczyźni głosują bardziej

wyobraźnią polityczną – a Lewica po prostu jest tam, gdzie sama się ustawiła. Analogicznie Konfederacja. Bo dziś politykę uprawia się nie pod klasę, ale tożsamość i nie wygrywa programem, lecz opowieścią. Co z tego rozumieć? Zapraszam na podróż po świecie polityki – a właściwie dwóch różnych polityk tożsamości.

Tragedia polityki tożsamości

Nie mało osób głowi się, dlaczego kobiety popierają Lewicę, a mężczyźni Konfederację? Brutalna, prosta i prawdziwa odpowiedź na ich pytanie to: a dlaczego miałoby

w czasach globalizacji, triumfu wolnego handlu i „końca historii” kompas wielkich partii politycznych kompletnie wysiadł, a podziały polityczne zaczęły bardziej odzwierciedlać kulturowe, a nie klasowe czy regionalne różnice w społeczeństwie.

Zjawisko to nazywamy polityką tożsamości. Polityka tożsamości to przekonanie, że grupy charakteryzujące się różnym życiowym doświadczeniem same potrafią najlepiej zdefiniować swój interes, a polityka prowadzona w imieniu ogółu („wszystkich Amerykanów” albo „klasy robotniczej”) zawsze będzie krzywdząca dla jakichś mniejszości.

Polityka tożsamości widzi życie społeczne jako grę o sumie zerowej. Jeśli lepiej powodzi się białym, to kosztem czarnych; jeśli w jakiejś dziedzinie życia nie-
szczęście spotyka

Polityka tożsamości zakłada, że tylko czarni będą potrafili prowadzić skuteczną politykę dla czarnych wyborców, tylko LGBT dla LGBT, młodzi dla młodych, a kobiety dla kobiet. Czy to prawda – rzecz drugorzędna.

prawicowo, kobiety zaś dłużej zwlekają z poparciem dla partii uznawanych za marginalne czy radykalne. Młodzi są indywidualistyczni: kobiety do lewicy przyciąga hasło „moje ciało, moja sprawa”, tak samo jak młodych mężczyzn hasło „mój portfel, moja sprawa” przyciąga do prawicy. Socjaldemokracja zaś w dalszym stopniu się feminizuje i traci głosy wśród dawnych wyborców z klasy robotniczej. Po te same głosy schyla się „alternatywna” – czyli wroga głównemu nurtowi – prawica: Trump w USA, AfD w Niemczech albo Vox w Hiszpanii. To wszystko znane zjawiska. Do nich dochodzi jednak jeszcze kwestia tożsamości partii.

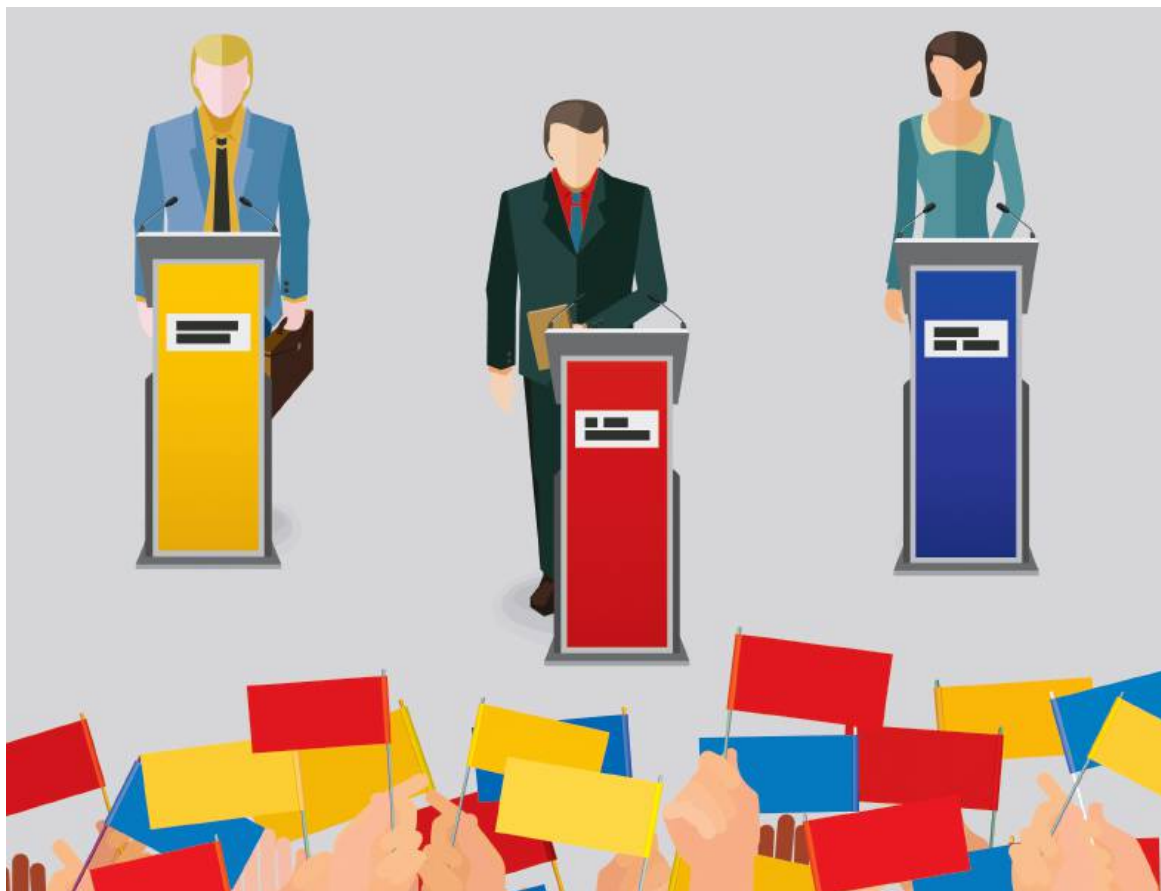
Dziś można postawić tezę, że w grę zwaną polityką tożsamości grają wszyscy – metafora gry w ogóle rządzi

być inaczej? Obydwa te ugrupowania świadomie zajęły pozycje po obu stronach płciowego podziału w polskiej polityce. I nawet jeśli kilka lat temu można było się upierać, że większa atrakcyjność lewicy dla kobiet, a prawicy dla mężczyzn to kwestia przypadku („tak wyszło”), to kolejne decyzje polityków tylko pogłębiały ten podział. A liderzy tych środowisk politycznych otwierali się do niego dokładali. Budując w tym procesie partie nawet nie tyle lewicowe i prawicowe, ile partie „dla kobiet” i „dla mężczyzn”.

Nie jest to też szczególnie nowe odkrycie – polityka na świecie zna podobny mechanizm od kilku dekad. Choć rzeczywiście, szczególnej mocy nabral on w XXI w. To znaczy, gdy

mężczyzn, to dlatego że społeczeństwo teraz faworyzuje kobiety; jeśli młodzi mają awansować, to trzeba pozbyć się starych; jeśli dajemy prawa muzułmanom, to kosztem katolików i Żydów, gdy wspieramy osoby LGBT, to z pewnością na niekorzyść hetero, gdy zaś interesuje nas piłka nożna mężczyzn, to ze szkodą dla rozwoju sportu kobiecego i szans tysięcy dziewczynek. Przykłady – daleko poza granicę absurdu – można mnożyć w nieskończoność.

Polityka tożsamości zakłada, że tylko czarni będą potrafili prowadzić skuteczną politykę dla czarnych wyborców, tylko LGBT dla LGBT, tylko młodzi dla młodych, a kobiety dla kobiet. Czy to prawda, czy nie – rzecz drugorzędna. Polityka tożsamości



opiera się na częściowo błędnych („gra o sumie zerowej”), a częściowo słusznych (potrzeba pluralizmu i reprezentacji) założeniach. Ważniejsze od tego jednak, czy polityka tożsamości „ma rację”, jest to, że działa i realnie wpływa na losy partii, które po nią sięgają. A wpływa.

Lewica jest kobietą

I tu wracamy do naszej lewicy. Lewica w Polsce jest partią kobiet i sama się tak określa. „Lewica jest kobietą”, mówi Robert Biedroń. „Kobiety do polityki”, reklamuje się partia Razem. „Kampania Lewicy będzie miała twarz kobiety”, zapowiada „Krytyka Polityczna”. „Dziś nie zobaczycie tu panów w garniturach”, ogłaszają kobiety otwierające konwencję Lewicy o kobietach dla kobiet. W programie Lewicy jest osobna zakładka poświęcona prawom kobiet i osobne postulaty.

Wpływowi politycy nie tylko nie ukrywają tej orientacji, ale mówią o niej otwarcie. W niedawnej

wypowiedzi na Twitterze jedna z medialnych twarzy Nowej Lewicy Anna Maria-Żukowska sama przyznała, że „pół roku przed wyborami nie przedstawiaj wajchy z kobiet na mężczyzn”. Marcelina Zawisza od lat w wywiadach powtarza, że Lewicy pójdzie

50 lat odeszło 450 tys. osób. Jednocześnie na Lewicę głosować chce więcej młodych ludzi do 30. roku życia, których przybyło 125 tys.”. To bardzo stoicki i imponujący dystansem sposób, by powiedzieć, że Lewica straciła netto ponad 300 tys.

Lewica tym bardziej akcentuje postulaty skierowane do kobiet, im bardziej sfeminizowany ma elektorat.

lepiej, gdy do wyborów pójść dziewczynki i młode kobiety, które od lat deklarują lewicowe poglądy, tylko nie osiągnęły jeszcze wieku uprawniającego do głosowania. Socjolog i poseł Lewicy Maciej Gdula zauważał w 2021 r., że „przez ostatnie kilka miesięcy protestów i sporów o wolność kobiet nastąpiła dość gruntowna zmiana elektoratu Lewicy. Wyraźnie widać, że odpłynął starszy elektorat. A ten, który przybył, to przede wszystkim młodzi ludzie dominujący także na protestach. Z grupy powyżej

przewidywalnych wyborców, za to umocniła swoje poparcie w grupie najbardziej kapryśnej i nieskorej do pójścia na wybory.

W polityce tożsamości lewicy odnajdą się wszyscy, którzy uważają, że (biali i heteroseksualni) mężczyźni odpowiadają za zło tego świata, a przymiotnikiem najlepiej dopasowanym do słowa męskość jest „toksyczna”. Skutek tego tożsamościowego wyboru Lewicy jest jasny. Już istniejąca polaryzacja się pogłębia. Młodzi mężczyźni (którzy i tak raczej skłaniali by

► się ku prawicy) tym bardziej utwierdzają się w przekonaniu, że lewica nie jest dla nich, więc odsetek kobiet deklarujących poglądy lewicowe rośnie w stosunku do mężczyzn, a zatem lewica tym bardziej akcentuje postulaty skierowane do kobiet, im bardziej sferminizowany ma elektorat.

Jeśli coś mogło tylko utwierdzić Lewicę w przekonaniu, że oparcie się na kobietach to dobry pomysł, było to badanie CBOS z przełomu lat 2020 i 2021 po strajkach kobiet, w którym aż 40% młodych Polek deklarowało poglądy lewicowe. Partia Czarzastego i Biedronia zaczęła więc dokładać z czasem kolejne mniej lub bardziej udane postulaty dla kobiet (jeszcze mocniej wiążąc swoją przyszłość z głosami tylko połowy Polski): urlop menstruacyjny, rentę wdowią, więcej parytetów, darmowe artykuły higieny intymnej w szkołach, korzystniejsze warunki nabywania uprawnień emerytalnych dla kobiet, a w końcu zmianę prawnej definicji gwałtu i (w słowach członkini Zarządu Krajowego Partii Razem Anny Górskiej) wprowadzenie „domniemania winy” mężczyzn.

Efekty tego zwrotu były odległe od zamierzonych. Choć poglądy lewicowe w 2021 r. deklarowało 40% młodych kobiet, nie pomogło to poparciu lewicy przebić pułapu 10% i powrócić choćby do poziomu, który umożliwił Biedroniowi, Czarzastemu i Zandbergowi wejście do Sejmu w 2019 r. Według agregatu sondaży europejskiego portalu POLITICO do średniej 14-15% Lewicy nie udało się

wrócić w kadencji ani razu, a kilkuprocentowe odbicie po strajkach kobiet nie pozwoliło w całości zrekompensować strat po fatalnym wyniku kampanii prezydenckiej Roberta Biedronia.

Dziś, po kolejnych latach starań o kobiety, nie tylko nie udało się znacząco poszerzyć elektoratu, ale wręcz... stracić przewagę wśród samych kobiet na rzecz Konfederacji.

Z grupy elektoratu powyżej 50 lat odeszło 450 tys. osób. Jednocześnie na Lewicę głosować chce więcej młodych ludzi do 30. roku życia, których przybyło 125 tys.

W najnowszym sondażu IPSOS bowiem Lewica jest dla kobiet w wieku 18-39 nie pierwszą ani drugą, lecz trzecią (po PO i Konfederacji właśnie) najpopularniejszą partią. Wśród mężczyzn do 39. roku życia – niegdyś trzonu wyborców partii lewicowych – Lewica zajmuje ostatnie (lub ostatnie ex aequo z Trzecią Drogą) miejsce, otrzymując 7% wskazań, mniej nawet niż Agrounia.

Ratunek dla mężczyzny osaczonego

Z drugiej strony idealnie wręcz na przeciw w podziałach tożsamościowych, usadowiła się Konfederacja. Partia, która idee parytetów czy wspierania równości wyśmiewa; prawa mniejszości (na przykład ukraińskich uchodźców) traktuje wprost jako zagrożenie i uważa że jeśli istnieje

w Polsce dyskryminacja, to dyskryminacja białych, zdrowych i pracujących mężczyzn, a na pewno nie kobiet. Wizja świata Konfederacji również jest wizją z polityki tożsamości, ale postawioną na głowie względem tej podzielanej przez lewicę i główny nurt mediów. W wizji świata Konfederacji również obowiązują prawa polityki tożsamości. Tylko że Konfederacja

wyciąga z nich wnioski o 180 stopni różne od Lewicy – życie jest równaniem o sumie zerowej, a więc dopuszczenie jakichś mniejszościowych grup interesu do głosu będzie musiało poskutkować uszczupleniem tortu dla „normalnej” większości.

Konfederacja też widzi świat i reguły rządzące życiem społecznym jako bezwzględną konkurencję o prestiż, zasoby i udział w podziale dobrobytu. Tylko że tam, gdzie Lewica widzi egoistyczną większość broniącą status quo (czyli pracujących białych hetero mężczyzn), Konfederacja widzi zagrożoną mniejszość. Uczciwie pracujących facetów, których chcą ograbić kolejne domagające się przywilejów grupy: Ukraińcy, weganie i ekolodzy, geje i transy, kobiety i przedstawiciele chciwej biurokracji, zarówno tej krajowej jak i europejskiej.

Ta wizja świata zasadza się na pewnej metaforze, która jest intuicyjna i zrozumiała dla młodych mężczyzn. Życie jest jak gra komputerowa: trzeba zdobywać kolejne poziomy, awansować, pokonywać coraz mocniejszych przeciwników, a na końcu czeka nas nagroda. Na przykład skarbiec, chwała i piękna książeczka, czyli – przekładając to na polskie warunki – własne mieszkanie, żona, grill, samochód i święty spokój. W tej grze jednak jest pewien problem: cały czas ktoś pomaga innym. Zasiłki, parytety i urlopy dla kobiet, pomoc dla uchodźców i migrantów, tygodnie równości i akcje afirmatywne dla mniejszości, 800+ dla rodzin

Z żalem przyjęliśmy wiadomość o śmierci

MIROSŁAWY KARPIŃSKIEJ

sopranistki, odtwórczyni wielu czołowych ról w Teatrze Wielkim w Łodzi i Operze Narodowej w Warszawie, występującej również na scenach teatrów niemieckich

Panu prof. Andrzejowi Karpińskiemu składamy wyrazy głębokiego współczucia

Jerzy Domański, Paweł Dybicz i Robert Walenciak

oraz „trzynastki” i „czternastki” dla emerytów. W tej metaforze gry jest to oczywiście skrajnie niesprawiedliwe i zaburza sens całej rozgrywki – „jak to, ja gram na normalnych zasadach, ktoś cały czas na łatwym poziomie!”. Zlikwidowanie wszystkich obciążeń (podatki i składki), ale i wszystkich świadczeń jawi się jako perspektywa przywrócenia elementarnej sprawiedliwości – jeśli wszyscy będą zaczęli od zera i bez żadnego wsparcia, to wyłącznie wtedy rywalizacja będzie fair. Niech każdy ma tyle, ile zarobi.

Oczywiście jest to wizja infantylna i tak naprawdę obiecująca tylko wzmocnienie pozycji młodych, zdrowych i posiadających finansowe zabezpieczenie (majątek lub zamożną rodzinę) względem wszystkich pozostałych. Oczywiście, że w świecie „idealnej konkurencji” Konfederacji polepszy się jeszcze bardziej prawnikowi z prestiżowej kancelarii czy informatykowi prowadzącemu jednoosobową działalność gospodarczą niż rodzinie z dwójką dzieci i niepełnosprawnym domownikiem. Ale jak już powiedzieliśmy wyżej: nie chodzi o to, czy wizja polityki tożsamości jest słuszna i wiarygodnie oddaje podziały społeczne. Ważne, czy działa.

Zwrot egoistyczny i polityka dla normalsów

Dlaczego jednak wizja polityki tożsamości Konfederacji odnosi teraz sukcesy, a wizja lewicy dołuje? Po części to kwestia zmiany postaw w ostatnim roku. Mamy do czynienia w polityce z czymś, co można nazwać „zwrotem egoistycznym”. Rodacy obawiający się inflacji i drożyzny patrzą podejrzliwie na wszelkie próby „rozdawania pieniędzy” przez państwo.

Wychowani przez ponad 30 lat neoliberalnej propagandy nie chcą, aby dawano dziś komukolwiek więcej niż to, co już zostało rozdane. Bo przecież aby komuś dać, komuś trzeba zabrać, prawda? Pojawienie się kolejnych grup – choćby Ukraińców – w kolejce do podziału tortu jest obecnie postrzegane jako zagrożenie. Mimo fasadowych deklaracji poparcia dla Ukrainy tylko 18% Polaków (spadek o 8% rok do roku) uważa, że

uchodźcom należy się świadczenie 800+, a niewiele więcej, bo jedna piąta z nas chce pozwolić Ukraińcom pozostać w Polsce po zakończeniu wojny (badania LAB UW dr. Roberta Staniszwskiego). Wizja świata Konfederacji doskonale sprawdza się w czasach, gdy dominującym oczekiwaniem od państwa i rządu jest, by nas zostawił w spokoju, pozwolił wydawać pensje wedle uznania i za nic w świecie nie próbował nas zmusić do wyrzeczeń w imię solidarności z innymi.

Ale jest powód strategiczny, dzięki któremu Konfederacja bije dziś

Lewica straciła netto ponad 300 tys. przewidywalnych wyborców, za to umocniła poparcie w grupie najbardziej kapryśnej i nieskorej do pójścia na wybory.

Lewicę na głowę. Otóż do kwestii polityki tożsamości oba ugrupowania podeszły z odmiennymi założeniami. Konfederacja najpierw zdobyła i ugruntowała swoje poparcie wśród radykalnej, zdeterminowanej i głośniejszej mniejszości, a następnie zaczęła formułować przekaz uniwersalny. Tak jak kiedyś slogany „wolności maseczkowej” czy sprzeciw wobec „ukrainizacji Polski” były świadomym zwracaniem się ku marginesowi, tak dziś obietnica „własnego domu, grilla i dwóch samochodów na podjeździe” ożywia wyobraźnię wszystkich, którzy chcieliby sobie tylko pożyć i mieć święty spokój. W tym otoczeniu oczywiście – gdy jako społeczeństwo chcielibyśmy uciec od wszystkich wyrzeczeń i jakichkolwiek zobowiązań – Lewica kojarząca się z odbieraniem ludziom schabowego, samochodu spalinyowego, pieca na węgiel i wzywająca do ciągłych poświęceń (dla klimatu, dla Ukrainy, dla słabszych i kobiet) nie mogła trafić w gorszy moment.

Konfederacja zaczynała jako partia marginesu i radykałów, która później zaczęła wypierać się swoich korzeni i zwrócić do „normalsów”. Lewica przeciwnie, zaczęła z szerokim poparciem, by z biegiem czasu wiązać się z coraz bardziej radykalnymi i mniejszościowymi postulatami. Co więcej, dziś w Polsce gotowość do

rozszerzania świadczeń czy obrony instytucji państwa dobrobytu oraz chęć do podzielenia się ze słabszymi deklarują przede wszystkim ludzie majątni, samodzielni i postępowi. Więc to do ich języka i wrażliwości ostatecznie odwołuje się Lewica. Czasami zresztą, jak w sprawie swojego stosunku do etyki seksualnej, globalnych korporacji albo migracji, popadając w głębokie i niezrozumiałe dla klasy ludowej sprzeczności. Lewica chce z korporacjami walczyć czy chodzić z nimi na parady? Chce obrony granic czy polityki nieograniczonej migracji? Walczy o wolność

dla kobiet czy pochwała pornografię, prostytutkę i surogację?

Na tym tle Konfederacji łatwo dziś przedstawiać się jako partia zwykłych ludzi, którzy chcą świętego spokoju. I co ciekawe, coraz częściej przekaz ów trafia również do kobiet, które także zaczynają się odnajdywać w „postfeministycznym” języku radzenia sobie i wolnorynkowej rywalizacji, która skróci kolejki po socjal i przestanie uprzywilejowywać innych (np. kobiety z Ukrainy i ich dzieci).

Oto cała tajemnica. Polityka tożsamości bywa zabójcza dla Lewicy, choć może innej polityki – gdy ma się takich wyborców i program – prowadzić się nie da.

Jakub Dymek

j.dymek@tygodnikprzeglad.pl



Robert Walenciak

Bunt Prigożyna i co dalej?

Putin wie, że armia mu się burzy.
Kłopot w tym, że w czasie wojny
generałowie są najważniejsi

Bunt Jewgienija Prigożyna i jego rajd na Moskwę pokazał, że mamy w Polsce setki fachowców od spraw rosyjskich, którzy doskonale orientują się w rozgrywkach za murami Krem-la. Ujawnili się masowo. W ciągu paru dni mogliśmy się dowiedzieć, że właśnie nastąpił koniec Władimira Putina, potem, że nastąpił koniec Prigożyna, że za chwilę któryś z nich zostanie zabity itd. Dowiadaliśmy się o wojnie mafijnych gangów, o tym że Rosja się rozpada itd. Odłóżmy te wszystkie opowieści na bok. Uznajmy je za gatunek pseudoliteracki. Prawda jest bowiem taka, że nikt nie wie, co naprawdę dzieje się w Rosji, może poza najlepszymi wywiadami świata. Co nie znaczy, że wszystko jest zakryte.

Sporo rzeczy wiemy. Spróbujmy więc uporządkować sprawy kluczowe.

1. Prigożyn opisywany jest jako były kryminalista, kucharz Putina itd. To prawda. Ale ważniejsze jest, że to jedna z bardziej wpływowych postaci w systemie władzy – jako szef Grupy Wagner, a także właściciel imperium medialnego i farmy internetowych trolli. Prigożyn nie jest więc singlem, jest częścią grupy. Ale jakiej? Na pewno powiązanej z zagranicznym wywiadem (co tłumaczy obecność

lepszego pieniędzy. W tych atakach na dwóch najważniejszych ludzi w rosyjskiej armii miał sojuszników. Głośniejszych – czyli rozmaitych rosyjskich blogerów wojennych, reprezentujących poglądy skrajnie militarne. I sojuszników cichych... Możemy spokojnie przyjąć, że te ataki podobają się części rosyjskiej generalicji. Bo Prigożyn najwyraźniej głośno mówił to, co oni myśleli cicho. Miał więc ich poparcie.

2. Szojgu i Gierasimow nie byli bezradni. Jednym ze sposobów, w jakie zamierzali sprawę rozwiązać, był pomysł podpisywania przez różne ugrupowania walczące z Ukrainą kontraktów z ministerstwem obrony. Te kontrakty oznaczały w rzeczywistości wcielenie tych grup w szeregi regularnej armii, a na wojnie to, komu się podlega, jest sprawą życia

i podpisywania kontraktu z ministerstwem obrony. A po drugie, ich dymisję. Miał już nawet swoich kandydatów, jako przyszły minister wymieniany był Aleksiej Dumin, był szef ochrony Putina, jego zaufany, obecnie szef obwodu tulskiego.

4. Spisek się nie udał dlatego, że generał i szef sztabu zostali o nim uprzedzeni. Przez kogo? Media podają, że przez FSB, czyli służbę wywiadu. Jest informacja, że o przygotowaniach Prigożyna do zatrzymania ministra i szefa sztabu mieli wiedzieć też Amerykanie. Jest teoria, że to oni uprzedzili Putina.

5. O spisku miał wiedzieć gen. Siergiej Surowikin, zastępca Gierasimowa na stanowisku dowódcy rosyjskich wojsk na Ukrainie, szef rosyjskiego lotnictwa. Surowikin to postać popularna w rosyjskiej blogosferze. Był dowódcą wojsk rosyjskich walczących w Syrii, tam się wyróżnił wyjątkową brutalnością, za co zyskał przydomek „Rzeźnik z Aleppo” i „Generał Armagedon”. Przez jakiś czas (do stycznia 2023) był dowódcą rosyjskich wojsk walczących na Ukrainie. I zapisał się rozsądną decyzją – to on wycofał rosyjskie wojska z prawego brzegu Dniepru i z Chersonia. Stracił teren, nie stracił armii.

Jeżeli Surowikin wiedział o spisku i nie przeciwodziłał mu, to znaczy, że go popierał. Że był w grupie spiskujących. Mamy więc pierwszy trop. Drugi trop jest taki, że w pierwszych godzinach buntu wagnerowcy bez kłopotów zajęli siedzibę dowództwa wojsk rosyjskich w Rostowie. Weszli i tam zostali. Jaka armia na coś takiego może się zgodzić? Wyciągnijmy z tego wnioski.

Nie wiemy, czy marsz na Moskwę był blefem, aktem desperacji, czy przemyślaną demonstracją.

Grupy Wagner w Syrii i w środkowej Afryce) i z armią. Dlaczego w takim razie tak bardzo krytykował ministra obrony Siergieja Szojgu i szefa sztabu generalnego, a zarazem głównodowodzącego armią rosyjską na Ukrainie, Walerego Gierasimowa? Co najmniej z dwóch powodów. Atak na Ukrainę pokazał słabość rosyjskiej armii, jej zaplecza, więc osoby za to odpowiedzialne stają się obiektem krytyki. Poza tym Prigożyn chciał od ministerstwa obrony uprzywilejowanej pozycji dla swoich najemników. Chciał większych dostaw broni i amunicji, dostaw żywności,

i śmierci. Kontrakty redukowały też pensje najemników. De facto więc Szojgu i Gierasimow postawili Prigożyna pod ścianą. Po popisanie kontraktu wagnerowcy zostaliby wyjęci mu z rąk. Na to nie chciał się zgodzić.

3. Jak wiemy z mediów, Prigożyn postanowił tę sprawę rozwiązać w taki sposób, że porwie lub aresztuje (na to samo wychodzi) Szojgu i Gierasimowa. Miało to nastąpić podczas ich wizyty w Rostowie, w siedzibie dowództwa walczącej na Ukrainie armii. I mając ich pod kluczem, zamierzał wymusić dwie rzeczy. Po pierwsze, rezygnację z obowiązku



Minister obrony Siergiej Szojgu (nz. w środku) postawił Prigożyna pod ścianą.

6. Szojgu i Gierasimow wymknęli się z pułapki, więc Prigożyn ruszył na Moskwę. Zapowiadając, że pora na innego prezydenta. Zwróćmy uwagę, że do tej pory Putina nie atakował, mówił jedynie, że jest źle poinformowany, a prawdziwe wiadomości są przed nim ukrywane.

Nie wiemy, czy marsz na Moskwę był blefem, aktem desperacji, czy przemyślaną demonstracją. Wiemy, że trzy kolumny wojskowe przejechały kilkaset kilometrów, de facto przez nikogo niezatrzymywane. Ale wiemy również, że 5 tys. żołnierzy nie zajmie 18-milionowego miasta. Zwłaszcza że do Moskwy miały być ściągane jednostki liniowe z Ukrainy.

7. Putin, który do tej pory puszczał mimo uszu kolejne ataki Prigożyna, tym razem zareagował zdecydowanie. Rano, w sobotę, gdy wybuchł bunt, nazwał go zdrajcą. I zapowiedział, że się z nim rozprawi. Można było się spodziewać wojny domowej, bo obie strony przeżyły muskuły (choć Putin, co mu będzie pamiętane, odleciał do Petersburga).

8. Przeżyły, przeżyły i rozprężyły. I zawarły porozumienie. Pośredniczył Łukaszenka, Prigożyn wyjechał na Białoruś.

9. Kto więc wygrał? Na razie nikt. Na puczu stracił Prigożyn – jest na Białorusi, jego imperium jest demontowane, jego najemnicy zmuszani są do podpisywania umów z ministerstwem obrony. Ale i Putina trudno nazwać zwycięzcą. Stracił wiele w oczach establishmentu,

uciekać do Petersburga. Przez lata kreował się na twardego człowieka, a tu taka panika. Gwarantował Rosji stabilność, a tu wszystko zaczęło się rozsypywać. Jeszcze w sobotę rano nazywał Prigożyna zdrajcą, a po południu z nim negocjował. Znamienne było coś jeszcze – nikt do tego puczu się nie włączył. Zwykli obywatele nie poszli za Grupą Wagner „walczyć o sprawiedliwość”, ale nie stanęli też w obronie prezydenta. Wiele to mówi

Putin musi się rozprawić ze spiskowcami, musi pokazać, że jest silny i sprawczy.

o rosyjskim społeczeństwie. Prigożyna nie poparły też jednostki sił regularnych, żaden z generałów. Ale i za Putinem z pełnym zdecydowaniem opowiedziało się niewielu. Większość stała w milczeniu i czekała na rozwój wypadków.

10. To wszystko podpowiada, że nic jeszcze się nie skończyło. Że jest pat – bo obie strony są za słabe, żeby wygrać, a za mocne, żeby przegrać. Dodajmy do tego, żeby wybrzmiało to jasno – to jest spór między prezydentem, który wywołał wojnę na Ukrainie, i ludźmi, którzy krytykują go, że ta wojna jest zbyt „delikatnie” prowadzona.

11. Zachowanie Stanów Zjednoczonych daje sporo do myślenia. W sobotę do amerykańskich ambasad wysłane zostały depesze zakazujące komentowania wydarzeń

w Rosji. Z Kremlu Biały Dom utrzymywał stałą łączność.

12. Gdy piszę te słowa, w piątek w południe, górą jest Putin. Media podają, że gen. Surowikin (okazało się, że był „tajnym członkiem” Grupy Wagner, trudno wyrokować, co to może oznaczać) został zatrzymany i był przestuchiwany. Że nie jest w więzieniu, ale przemieszczać się nie może. W rosyjskiej blogosferze mówi się też sporo, że trwają zatrzymania wyższych oficerów.

13. Putin musi się rozprawić ze spiskowcami, musi pokazać, że jest silny i sprawczy. To warunek jego władzy, w przeciwnym razie zacznie być lekceważony i traktowany tak, jak traktowany był Gorbaczow przez Jelcyna. Rosyjski prezydent ma więc bardzo jasno wytyczoną agendę. Musi znów być twardy i bezwzględny i zdecydowanie chwycić lejce władzy. Tak jak Erdoğan w roku 2016, po nieudanej próbie puczu w Turcji.

14. Z drugiej strony trudno przypuszczać, by rozprawa z generałami i oficerami miała jakiś szerszy zasięg. Putin prowadzi wojnę, więc nie może sobie pozwolić na czystki w armii. Po pierwsze, dlatego że nie ma kim zastąpić pułkowników i generałów. Po drugie, nie może sobie pozwolić na drażnienie armii. W czasie wojny najważniejsi

są generałowie, wiedział to nawet Józef Stalin. Raid Prigożyna, czyli raid paru tysięcy ludzi wstrząsnął Rosją. A gdyby na taki raid zdecydowali się generałowie?

Putin ma także kłopot z tym, że Surowikin, Prigożyn i Grupa Wagner byli przez ostatnie miesiące kreowani na największych bohaterów i obrońców Rosji. Więc jak teraz ludziom wytłumaczyć, że ci bohaterowie to zdrajcy?

15. Najbardziej więc prawdopodobne będzie zawarcie jakiegoś kompromisu Putina z armią. W tym kompromisie ktoś będzie musiał stanowiskiem zapłacić. Kto? To będzie funkcją układu sił, który się wyłonił. Lub też – to chyba jest lepsze określenie – który się wyłania. Bo nic nie jest jeszcze przesądzone. Ta gra się nie skończyła.

r.walenciak@tygodnikprzeglad.pl



Jewgienij Prigożyn i jego „psy wojny”. Bachmut, maj 2023.

Psy wojny Kremla

Szacuje się, że w Rosji działa obecnie ok. 30 prywatnych kompanii wojskowych

Marek Czarkowski

W zeszłym tygodniu prezydent Władimir Putin przyznał, że utrzymanie najemników Grupy Wagner w ostatnim roku kosztowało rosyjski budżet 86 mld rubli, czyli miliard dolarów. Oznacza to, że słynna prywatna kompania wojskowa (po rosyjsku – Частная военная компания, w skrócie ЧВК) nie jest i nigdy nie była prywatna. Przy okazji Władimir Władimirowicz zasugerował, że ma nadzieję, iż nie wszystkie przekazane wagnerowcom środki zostały rozkradzione. Co oznacza, że teraz rosyjskie państwowe służby ostro wezmą się za interesy Jewgienija Prigożyna, niesłusznie nazywanego dowódcą Grupy Wagner.

W źródłach rosyjskich przedstawiany on jest jako kurator czy nadzorca, osoba kontrolująca w tym przypadku firmę wojskową. W rzeczywistości dowódcą jest były podpułkownik Specnazu GRU Dimitrij Utkin, ps. „Wagner”. To on, czterokrotny

kawaler Orderu Męstwa, a nie Prigożyn, był założycielem i organizatorem kompanii wojskowej. I jej nazwa pochodzi od jego pseudonimu. Według rosyjskich mediów to ppłk Utkin dowodził kolumną wagnerowców, która 24 czerwca w ciągu kilkunastu godzin znalazła się 200 km od Moskwy, po drodze strącając kilka helikopterów i samolot walki elektronicznej.

Prigożyn w tym czasie wraz ze swoimi ludźmi przebywał w budynku dowództwa Południowego Okręgu Wojskowego w Rostowie nad Donem i biesiadował z wziętymi do niewoli generałami Junusem-biek Jewkurowem – wiceministrem Obrony Federacji Rosyjskiej oraz Władimirem Aleksiejewem – zastępcą dowódcy GRU.

Nic dziwnego, że po zakończeniu „buntu”, albo „marszu sprawiedliwości”, wielu rosyjskich wojskowych i komentatorów z żalem przyznało, że „gdyby armia rosyjska miała tak wyszkolone i zdyscyplinowane oddziały jak Grupa Wagner, już dawno byłibyśmy we Lwowie”.

Rodzi się pytanie – kim są rosyjskie prywatne kompanie wojskowe? I jaką dziś odgrywają rolę?

Strzelby do wynajęcia

Najemnicy są tak starzy, jak historia wojen. Starożytni Grecy służyli mieczem władcom Persji. Kartagińczycy i Rzymianie rekrutowali procarzy z Balearów, przez stulecia szwajcarscy górale zaciągali się na służbę u niemieckich i francuskich władców. W 1506 r. papież Juliusz II zatrudnił 150 szwajcarskich gwardzistów. Tak powstała istniejąca do dziś Gwardia Szwajcarska, która stoczyła tylko jedną bitwę. 6 maja 1527 r. do Rzymu wkroczyły niemieckie oddziały Karola V Habsburga, które zaatakowały Watykan. Papieża Klemensa VII broniło 189 gwardzistów, przeżyło 42. Legenda o nadzwyczajnej walce i wierności szwajcarskich górali przetrwała do dzisiaj.

W XX w. idea, że państwo może osiągnąć swoje cele bez uciekania się do użycia sił zbrojnych, a jedynie poprzez działania hybrydowe, w tym najemników, po raz pierwszy została sformułowana przez brytyjskiego historyka wojskowości Basila Liddela Harta w pracy „Strategia. Działania pośrednie”.

Twórcą pierwszej prywatnej kompanii wojskowej Watchguard International był płk David Stirling. W 1941 r. stworzył on legendarną

jednostkę Armii Brytyjskiej – Special Air Service (SAS), na której później wzorowała się większość oddziałów sił specjalnych – od amerykańskich Delta Force i Navy Seals, przez izraelskie Sajjeret Matkal i Sajjeret 13, na polskim GROM-ie kończąc.

Człowiek tego formatu nie mógł po prostu przejść na emeryturę i zająć się pielęgnacją trawnika. W 1965 r., za cichą zgodą rządu Jej Królewskiej Mości, Stirling założył pierwszą PMC (Private Military Company) Watchguard International, zatrudniając w niej swoich kolegów z SAS, co było gwarancją usług najwyższej jakości. Watchguard znakomicie sprawdziła się w krajach arabskich i Afryce i dała początek innym tego rodzaju inicjatywom.

Kolejną prywatną armią, o której zrobiło się głośno, była południowoafrykańska Executive Outcomes. Założona w 1989 r. przez płk. Eebena Barlowa, składająca się z byłych żołnierzy i oficerów elitarnych jednostek armii południowoafrykańskiej – 32. batalionu oraz batalionu Koevoet (Łom). Executive Outcomes walczyła w Angoli po stronie oddziałów UNITA przeciw rządowi w Luandzie oraz w Sierra Leone przeciw oddziałom Zjednoczonego Frontu Rewolucyjnego.

Firma zawarła też lukratywne kontrakty z koncernami DeBeers (kopalnie diamentów) oraz Chevron i Texaco (wydobycie ropy naftowej) na ochronę ich miejsc wydobycia. Została rozwiązana w 1998 r.

Największą prywatną kompanią była amerykańska Blackwater, założona w 1997 r. przez Erica Prince'a i Alana Clarka. Zyskała ona sławę, podpisując w czasie drugiej wojny w Zatoce Perskiej kontrakty z Pentagonem. W Iraku i Afganistanie pracowały dla niej dziesiątki tysięcy ludzi z całego świata. Także z Polski. Dziś pod zmienioną nazwą Academi działa w dziewięciu państwach.

Rosjanie bardzo późno dostrzegli korzyści wynikające z posiadania prywatnych armii. W 2010 r. na najważniejszym dla rosyjskiego biznesu Międzynarodowym Forum Ekonomicznym w Petersburgu wspomniany już płk Eeben Barlow pokazał możliwości, jakie otwierają się przez

właścicielami PMC. Wywarło to spore wrażenie na słuchaczach. ZSRR, a później Rosja, wysyłały z bratnią pomocą do państw Azji Środkowej lub Afryki doradców wojskowych albo regularne oddziały. Barlow zapewniał, że bardziej opłaca się korzystać z usług prywatnych firm. Ich pracownicy są lepiej wyszkoleni, wszak często byli to żołnierze i oficerowie jednostek specjalnych, a poza tym rządy nie muszą się martwić o płace i świadczenia emerytalne. Spada też ryzyko polityczne.

Grupa Wagner, która powstała koło roku 2013, nie była pierwszą tego typu rosyjską kompanią. Wcześniej w Hongkongu Wadim Gusiew i Jewgienij Sidorow, menedżerowie prywatnej kompanii Moran Security Group, zarejestrowali w Hongkongu Korpus Słowiański, który rekrutował w Rosji najemników do walki po stronie syryjskiego dyktatora Baszara al-Asada. Doświadczenia nie były zachęcające. Po bitwie z oddziałami islamistów pod miastem Es-Suchne pracownicy Korpusu Słowiańskiego wrócili do Rosji, gdzie zostali aresztowani za działalność w charakterze

najemników. Zamknięto także właścicieli firmy. Ich błąd polegał na tym, że albo nie uzyskali zgody i wsparcia ze strony rosyjskich służb specjalnych, albo nie podzielili się pieniędzmi z kim trzeba.

Wagner i inni „muzykanci”

Z wagnerowcami było inaczej. Założyciel firmy ppłk Dimitrij Utkin był legendą specnazu GRU i miał poparcie zastępcy dowódcy GRU, gen. Władimira Aleksiejewa. Sam pomysł zorganizowania kompanii wyszedł od wysokich oficerów Ministerstwa Obrony, którym spodobała się prezentacja płk. Barlowa. Jewgienij Prigożyn znalazł się w tym towarzystwie, gdyż był znany ze swojej dyskrecji, lojalności względem prezydenta Władimira Putina oraz talentów biznesowych. Miał dostarczać pieniądze i je rozliczać. Od strony prawnej Grupa Wagner jest spółką-córką firmy Concorde należącej do „kucharza Putina”, od strony wojskowej to domena Utkina.

Po raz pierwszy 300 wagnerowców dało o sobie znać w 2014 r., w czasie ▶

NAZWA PRYWATNEJ KOMPANII WOJSKOWEJ	KOMU PRAWDOPODOBNI PODLEGA	W JAKICH PAŃSTWACH DZIAŁA
Grupa Wagner ЧБК „Вagner”	GRU – Główny Zarząd Wywiadowczy Sztabu Generalnego Sił Zbrojnych Federacji Rosyjskiej	Ukraina, Libia, Republika Środkowoafrykańska, Sudan, Syria, Jemen
CZWK Patriot ЧБК „Патриот”	GRU, Ministerstwo Obrony Federacji Rosyjskiej	Syria, Burundi, Republika Środkowoafrykańska, Ukraina
E.N.O.T	FSB – Federalna Służba Bezpieczeństwa Federacji Rosyjskiej	Ukraina, Azerbejdżan, Syria, Serbia, Tadżykistan,
RSB Group		Libia, Senegal, Sri Lanka, Serbia, Nigeria, Senegal
ATK Group		Syria, Ukraina
Fort Defence Group		Afganistan, Irak
Tarcza PMC Shchit		Syria
MAR PMC ЧБК „MAP”	FSB	Syria, Ukraina
REDUT ЧБК „Редут”	GRU	Irak, Syria, Afganistan, Indonezja, Ukraina
Moran Security Group		Irak, Sri Lanka
Feraks Group		Irak, Afganistan, Sri Lanka

► operacji zajęcia Krymu, a potem w Donbasie i na Ługańszczyźnie. Firma stała się przystanią dla byłych funkcjonariuszy wojskowych sił specjalnych, głównie wojsk powietrzno-desantowych oraz specnazu GRU. Płacono dobrze, jak na warunki rosyjskie, a wyróżniający się „pracownicy” mogli liczyć na premie. Mając silną kuratelę, Grupa Wagner otrzymała lukratywne kontrakty w Syrii, Libii i Republice Środkowoafrykańskiej.

Gdy w lutym 2022 r. wybuchła wojna w Ukrainie, wagnerowcy okazali się potrzebni w kraju i większość z nich ściągnięto z Afryki. Sukcesy Grupy już w roku 2014 zwróciły uwagę oficerów Federalnej Służby Bezpieczeństwa Federacji Rosyjskiej (FSB), którzy wzięli pod opiekę prywatne kompanie E.N.O.T. (JENOT) oraz MAR. Pierwsza z nich została założona przez rosyjskiego nacjonalistę Igora Magnuszewa. Jej nazwa to skrót od Единые народные общинные товарищества (Zjednoczenie Stowarzyszeń Społeczności Narodowych).

Najemnicy z tej firmy dali o sobie znać w Ukrainie, Syrii, Azerbejdżanie i Turkmenistanie. Zdaniem pewnych rosyjskich źródeł niektórzy z nich zerwali się ze smyczy i zajęli zwykłą bandyterką. Władimir Morozow, skarbnik firmy, w 2021 r. został skazany na 10,5 roku więzienia za wymuszenia, a jeden z jej liderów, Roman Telenkiewicz, w ubiegłym roku został skazany na 13 lat więzienia za udział w zorganizowanej grupie przestępczej, wymuszenia i spowodowanie ciężkiego uszczerbku na zdrowiu.

Nie znaczy to, że E.N.O.T nie jest obecny w Ukrainie. Przeciwnie. Na początku lutego na rosyjskim punkcie kontroli w Kadijiwce został śmiertelnie postrzelony w tył głowy założyciel firmy Igor Magnuszew. Rodzina jest przekonana, że była to egzekucja. Albo z kimś się nie podzielił, albo zerwał ze smyczy.

Najpoważniejszą konkurencją dla Grupy Wagner jest firma Patriot (ЧБК „Патриот”), kontrolowana przez GRU oraz Ministerstwo Obrony i nazywana prywatną armią ministra obrony Szojgu. Jej pracownicy po raz pierwszy pojawili się na froncie syryjskim w 2015 r. Następnie odnotowano ich

obecność w Sudanie, Gabonie i Republice Środkowoafrykańskiej. Ich zarobki są wyższe niż wagnerowców i sięgają od 400 tys. do nawet miliona rubli miesięcznie. Dobór ludzi do tej formacji jest bardziej restrykcyjny. Nie wystarczą chęci, liczą się walory intelektualne, dotychczasowe doświadczenie bojowe i osiągnięcia indywidualne. Członkowie tej formacji zajmują się działaniami wywiadowczymi oraz cyberbezpieczeństwem.

Ministrowi Szojgu nie spodobały się samodzielność i nachalność Prigożyna. W 2018 r. w Syrii doszło do bitwy w rejonie miasta Deir es-Zor między siłami amerykańskimi a oddziałami syryjskimi wspieranymi przez najemników Grupy Wagner. Chodziło o pole naftowe eksploatowane przez koncern ConocoPhillips, a chronione przez Kurdów i Amerykanów. Podobno amerykańskie dowództwo skontaktowało się z dowództwem rosyjskim w Syrii i zapytało, czy wśród oddziałów nacierających na Deir es-Zor znajdują się Rosjanie. Rosyjscy wojskowi, mimo że wiedzieli o obecności wagnerowców, odpowiedzieli, że nie ma tam nikogo, kogo by znali. Amerykanie wystali lotnictwo i załatwili sprawę. Zginęło 100 najemników. Prigożyn się wściekł, lecz nie mógł nic zrobić.

Szacuje się, że w Rosji działa obecnie ok. 30 prywatnych kompanii wojskowych. Większość z nich skutecznie dba o dyskrecję i niewiele o nich wiadomo. Prywatne oddziały mają m.in. Gazprom i Łukoil, podobno najemników zatrudniają również duże rosyjskie banki.

Rozmach, z jakim Prigożyn dbał o wizerunek i reklamę Grupy Wagner, był i jest czymś wyjątkowym. Oczywiście musiał mieć zgodę swoich kuratorów. Podobnie jak musiał mieć zgodę na rekrutację najemników wśród więźniów.

W 2021 r. na ekrany kin w Rosji wszedł film „Turysta” (reż. Andriej Batow), opowiadający o działaniach rosyjskich najemników w Republice Środkowoafrykańskiej. Dziennik „The Times” określił go „jako najbardziej przyciągający wzrok kawałek propagandy”, który gloryfikuje ludzi z Grupy Wagner wspieranej przez sponsora filmu Jewgienija Prigożyna.

A to był dopiero początek. W zeszłym roku powstał film „Najlepsi w piekle”, opowiadający o działaniach wagnerowców w Ukrainie. W internecie bez trudu znajdziemy dziesiątki piosenek sławiących „muzykantów”, jak często nazywa się tych ludzi. Sławy Prigożynowi przysporzyły też wystąpienia w sieci, w których lżył najgorszymi słowami ministra obrony Szojgu i gen. Gierasimowa, szefa sztabu generalnego armii rosyjskiej.

Do zbudowania legendy najsukceszniejszej i najlepiej wyszkolonej rosyjskiej jednostki walczącej w Donbasie walczyli się rosyjscy korespondenci wojenni i państwowe media. Dlatego gdy pod koniec czerwca wyposażona w czołgi i broń ciężką, kolumna wagnerowców ruszyła z Woroneża na Moskwę, nikt nie stanął jej na drodze. Bo kto chciałby walczyć z takimi ludźmi?

Dziś, po „puczu Prigożyna” lub – jak nazywają to rosyjscy komentatorzy – „co to było”, losy prywatnych kompanii wojskowych w Rosji wydają się przesądzone. Duma chce, by władze rozciągnęły nad nimi kontrolę. By najemnicy musieli podpisywać kontrakty z armią i by prywatne kompanie zostały pozbawione prawa rekrutacji „pracowników” wśród skazanych.

Choć Putin zostawił wagnerowcom furtkę. Ci, którzy nie chcą podporządkować się armii i nie chcą iść do cywila, mogą wyjechać na Białoruś i dołączyć do swojego sponsora. Tak na terytorium naszego wschodniego sąsiada w ciągu kilku ostatnich tygodni pojawiła się nie tylko broń jądrowa, ale i perspektywa odtworzenia prywatnej, zaprawionej w bojach, po „bachmuckiej szkole walk ulicznych” armii „muzykantów”.

– To są dla nas negatywne sygnały – oświadczył prezydent Andrzej Duda. Wicepremier Kaczyński zapowiedział wzmocnienie granicy, a komentatorzy mówią i piszą o zagrożeniu wschodniej flanki. Zwłaszcza że, jak podają zachodnie media, Kreml przejmuje kontrolę nad imperium Prigożyna. A jak wiadomo – kto płaci, ten zamawia muzykę.

Marek Czarkowski
m.czarkowski@tygodnikprzeгляд.pl

Nawiasem mówiąc



Stanisław Filipowicz

Podkreśliśmy już na wstępie – Ateny tę wojnę przegrały. Wojna trwała długo, była okrutna i wyniszczająca. Mówimy o wojnie peloponeskiej, która toczyła się pomiędzy 431 a 404 r. p.n.e. Stała się ona początkiem końca Aten.

Ateny były potężne, stały na czele Związku Morskiego, miały licznych sojuszników. Dzięki swojej flocie królowały na morzach. Przeżywały rozkwit, były dumne z własnych osiągnięć. Słynna mowa Peryklesa, wygłoszona pod koniec pierwszego roku wojny ku czci poległych, była hymnem pochwalnym ateńskich obyczajów i ateńskiej polityki. Znany amerykański eseista Robert Kaplan zastanawiał się jednak, czy ta wzniosłość nie była przykładem „podwójnego myślenia” – opiewając cnoty, składano hołd wojnie. Pojawia się tu zgrzyt.

nawiedziła zaraza, która stała się preludium wszelkich okropieństw wojny. Przyniosła całkowite wykoślenie, haniebny upadek. „Ani obawa przed bogami, ani żadne prawa ludzkie nie krępowały nikogo”, pisał Tukidydes.

Obręcz kultury okazała się krucha. Potwierdziły to dalsze wypadki. Po stronie Aten pojawiła się wyraźna skłonność do deptania zasad – mściwość, brak opamiętania. Tak było w przypadku Mityleny. Mityleńczycy zawiedli Ateny – Ateńczycy uznali, że potrzebna jest surowa kara, że należy pozbawić życia wszystkich mężczyzn, a kobiety i dzieci sprzedać w niewolę. Następnego dnia wrócił jednak opamiętanie i decyzję zmieniono. Cudem, w ostatniej chwili, udało się powstrzymać szaleństwo. Inny los spotkał jednak mieszkańców wyspy Melos – pycha i mściwość Ateńczyków dokonały tu spustoszenia,

Los Aten – czy najpotężniejsi mogą upaść?

Historia czyni oczywiście swoje własne podsumowania. Tak też było w przypadku Aten – wojna zainicjowała proces destrukcji. Minęło zaledwie kilkadziesiąt lat i nadziedziczył kres państwa, które – jak mówił Perykles – było „szkołą wychowania Hellady”.

O wojnie wiemy sporo. Ateński generał, jednocześnie wyśmienity dziejopis, Tukidydes, spisał jej historię. Można ją czytać – i chyba trzeba – jako epitafium wielkich nadziei, jako epitafium Aten. Jest jednocześnie opowieścią o tym, jak bardzo kruche są podstawy, na których budujemy nasze oczekiwania, jak krucha jest cywilizacja. Opisywane przez Tukidydesa zdarzenia budzić muszą grozę – ukazują, jak wielką rolę w historii państw odgrywa niwecząca potęgą *hybris* – siła pozbawionych granic ambicji, obłąkańczego zadufania, którego początkiem jest upojenie własnymi przewagami. Grecy, dodajmy na marginesie, byli przekonani, że towarzyszką *hybris* jest *aphrosyne* – szaleństwo.

Jest piękna mityczna opowieść dotycząca koniecznego związku ambicji i upadku. Niepohamowaną miłością do Hybris – aroganckiej, pełnej pychy bogini – zapalał siewca destrukcji Polemos. Od tej pory uparcie podążał śladami ukochanej. W postaci figur symbolicznych widzimy tu historię świata – połączona z pychą ambicja sprowadza wojnę, wojna sprowadza zniszczenie. Tam, gdzie jest Hybris, zjawiać musi się Polemos.

Ateńczycy nie musieli posuwać się do skrajności. W siódmym roku wojny Sparta proponowała pokój. Propozycję zlekceważono. Popołniono błąd, przed którym ostrzegał Perykles, wzywając Ateny do zachowania umiaru i utemperowania ambicji, do kierowania się rozsądkiem, a nie pychą. W drugim roku wojny Ateny

wszystkich mężczyzn wymordowano. Melijczycy, jak się okazało, pragnęli zbyt wiele – chcieli otóż, by Ateńczycy przestali plądrować ich kraj. Ci zaś odrzekli – „to silniejsi osiągną swe cele, a słabsi ustępują”.

Historia wojny, którą toczyły Ateny, zmusza nas do przemyślenia ważnych kwestii. Jak to jest – czy liczą się wartości, o których tak dużo dziś mówimy, czy też postuśczeństwo wobec silniejszego? Co jest sprężyną wielkiej polityki? Mitylena i Melos nie miały wrogich zamiarów – w niczym to jednak nie pomogło. Były nieposłuszne, spotkał je smutny los.

Opowieść Tukidydesa obala reguły ślepej wiary. Powtarzamy – demokracje respektują zasady, czytając Tukidydesa, widzimy, że wcale tak nie jest. Polityka Aten była oparta na przemocy, pogardzie wobec słabszych, na brutalnej zachłanności i zawłaszczaniach. Ostatnim argumentem – co podkreśla polski znawca antyku Stanisław Łoś – były zawsze „twierdze z ateńskimi załogami”. Już przed wojną „demos ateński stał się okupantem i otoczyła go nienawiść, jaka zwykle otacza okupanta”. Wojna przechyliła czarę goryczy, okazało się, że w demokracji jedyną trwałą zasadą jest zdrada ideałów. Nic więc dziwnego, że u kresu zmagania, po druzgocącej klęsce, której Ateny doznały na Sycylii, „wszyscy Hellenowie – jak zaświadcza Tukidydes – wystąpili przeciw Ateńczykom”.

Wzniesłe hasła nie pomogły. Sprawcy zła i destrukcji starają się jednak zawsze zachować pozory. Pamiętajmy – Polemos podąża śladami Hybris. Kostium „wartości” jest mu bardzo potrzebny, chce się w końcu podobać swojej oblubienicy. W tych sprawach demokracje radzą sobie znakomicie. ■



Własność słowa

Kanada zmusi gigantów technologicznych do płacenia dziennikarzom za ich treści, ale chodzi o wiele więcej niż prawa autorskie

Mateusz Mazzini

Tego wydarzenia nie wolno bagatelizować, bo rząd federalny w Ottawie wygrał, przynajmniej w sensie prawnym, bitwę, która miała być niemożliwa do wygrania. Przegłosowany 22 czerwca akt o formalnej sygnaturze C-18, popularnie nazywany ustawą o informacji cyfrowej, wymusza na platformach społecznościowych oraz operatorach wyszukiwarek internetowych opłaty za korzystanie z treści dziennikarskich.

Na pierwszy rzut oka wydaje się to oczywiste, w końcu napisanie artykułu to praca, a gazety czy portale na tych treściach zarabiają i coraz częściej są to większe kwoty niż w przypadku zysków z papierowych egzemplarzy czy reklam na własnych stronach internetowych. Odkąd jednak istnieje internet, monopolisci przestrzeni cyfrowej odmawiali

poddania się jakimkolwiek opłatom. Google, Microsoft czy Meta – koncern, który zrzesza dziś Facebooka, Instagram, WhatsAppa i kilka innych spółek technologicznych – urosły tak bardzo, że stały się zbyt potężne, aby jakkolwiek władza była w stanie uregulować ich działania. Senatkorka amerykańskiej Partii Demokratycznej Elizabeth Warren szła nawet po prezydencką nominację pod hasłem złamania cyfrowych monopolii – bezowocnie.

Wielu popularnych naukowców, jak chociażby oxfordzki historyk prof. Timothy Garton Ash, alarmowało o przeniesieniu się centrum władzy, kiedy amerykańscy kongresmeni zaczęli pielgrzymować po radę do Doliny Krzemowej, zamiast wezwać szefów Google’a i Mety do Waszyngtonu. Z technologicznymi gigantami kopała się po kostkach też Unia Europejska, z nieco lepszym od

Amerikanów rezultatem, ale daleko od triumfu. Zajawki tekstów, wylinki, materiały wideo pozostawały dostępne w mediach społecznościowych czy w wynikach wyszukiwania całkowicie za darmo. I do niedawna wydawało się, że zawsze tak będzie.

Twardzi giganci

Tymczasem rząd premiera Justina Trudeau postawił na swoim. Nie jest pierwszym, któremu to się udało, bo już w 2021 r. podobną ustawę przyjęto w Australii. We wszystkich tych przypadkach na każdym etapie tworzenia prawa spotykał się on z gigantyczną opozycją ze strony amerykańskich firm, które nie przebierały w środkach. Kiedy tylko projekt trafiał na ścieżkę legislacyjną, Meta i Google rozpoczynały szantaż: chcecie nas zmusić do opłat licencyjnych, to my odetniemy wam dostęp do mediów. Giganci twardo obstawali przy swoim, twierdząc, że nikt nie odważy się ani ich przełicytować, ani powiedzieć „sprawdźmy”. I na pierwszy rzut oka ich pozycja wydawała się niezagrożona. W końcu większość użytkowników internetu na strony redakcji trafia właśnie z Google’a albo mediów społecznościowych. Tylko czy rzeczywiście tak jest? A jeśli tak, to do jakiego stopnia?

Kiedy Australia i Unia Europejska niezależnie od siebie w 2020 r. rozpoczęły prace nad regulacją wielkich koncernów technologicznych, Alphabet (holding, w którego skład wchodzi Google) poinformował, że łącznie przekierowuje użytkowników na strony mediów 24 mld razy miesięcznie na całym świecie. Problem z tą liczbą jest jednak taki, że trudno ją zweryfikować, bo Google ani nie publikuje

na wyrównaniu pola gry pomiędzy dystrybutorami reklam i będącym w coraz gorszej kondycji finansowej sektorem niezależnych mediów. Co jest ruchem o tyle odważnym, że – przynajmniej na razie – Meta zamierza zmaterializować swoje początkowe groźby.

Przepytywana przez główne kanadyjskie media, w tym dziennik „Globe and Mail” czy stację

wiadomo, bo tego ustawa nie reguluje i nigdy nie miała regulować. Chodzi o to, by wymusić na gigantach technologicznych nie tylko płaćcenie za artykuły, ale też po prostu bardziej koncyliacyjną postawę. Negocjacje z redakcjami miałyby się odbywać pojedynczo, w razie czego rząd federalny wchodziłby do gry, dokonując arbitrażu.

Kanadyjczycy mają po swojej stronie również historyczny precedens. Kiedy w 2021 r. podobne przepisy wprowadzała Australia, reakcja świata korporacyjnego była identyczna. Newsy miały zniknąć

Dolina Krzemowa zarabia miliardy na biznesie informacyjnym, ale ciągle nie rozumiała, że musi zacząć do tego biznesu się dokładać.

szczegółów swoich wyliczeń, ani nie daje narzędzi, by samemu to zrobić. Wiadomo, że bez wsparcia wyszukiwarek i mediów społecznościowych spada ruch na indywidualnych stronach, a co za tym idzie, zysk z reklam, ale nikt tak naprawdę nie wie, jaka jest tego skala.

Teoretycznie od 2020 r. Google w swoim panelu narzędziowym umożliwia administratorom stron monitorowanie kierunków, z których trafiają do nich użytkownicy, ale to wciąż instrument fragmentaryczny. Firma pokazuje bowiem tylko liczbę kliknięć za pośrednictwem zakładki „news”/„wiadomości”, a nie dane ogólnych wejść przez wyszukiwarkę. Mówiąc prościej, jeśli ktoś wyszuka w Google’u frazę „Grupa Wagner” i kliknie w dowolny artykuł o marszu Jewgienija Prigożyna na Moskwę z poziomu podstawowych wyników wyszukiwania, nie zostanie w tej statystyce objęty. Stanie się tak tylko, jeśli wybierze jeden z artykułów sugerowanych jako newsowe. Chociażby z tego powodu szantaż amerykańskich monopolistów wydawał się groźny, choć pozostawał tylko szantażem.

Kanada zdecydowała się jednak przyprzeć Dolinę Krzemową do muru. Sprawdzić, jakimi kartami naprawdę dysponuje. Rządząca krajem Partia Liberalna długo przepychała się zwłaszcza z Metą, a kanadyjski minister ds. dziedzictwa narodowego Pablo Rodríguez wielokrotnie podkreślał, że gróźb Facebooka się nie boi. Za bardzo zależało mu

telewizyjną CBC, szefowa działu komunikacji publicznej Lisa Laventure poinformowała, że w najbliższych miesiącach koncern planuje usunąć z Facebooka i Instagrama wszystkie konta o charakterze medialnym. Innymi słowy, nawet największe redakcje na świecie, które od lat kalibrują przynajmniej część swoich treści pod kątem użytkowników mediów społecznościowych, nie będą mogły w Kanadzie dystrybuować swoich treści na platformach należących do Mety.

Jak zachowa się Alphabet, czyli właściciel Google’a, nie wiadomo, chociaż nie wyklucza podobnych

ze wszystkich zakątków internetu – i rzeczywiście zniknęły z tamtejszej odłogi Facebooka, jednak, jak się później okazało, dosłownie na trzy dni. Użytkownicy największej platformy społecznościowej na świecie nie mieli dostępu do najnowszych informacji na antypodach pomiędzy 18 a 21 lutego 2021 r. Co jeszcze ciekawsze, wejście w życie tamtejszej ustawy tantiemowej złamało solidarność Doliny Krzemowej, bo przed głosowaniem wszyscy chcieli zablokować prawo, ale po jego przyjęciu każdy znalazł własną strategię przetrwania. Facebook i Instagram ruszyły z blokadą, ale

Ekipa Trudeau nie chce ustąpić, co potwierdził publicznie sam premier, mówiąc, że nie zamierza szukać kompromisu z Doliną Krzemową.

ruchów. Zwłaszcza że ekipa Justina Trudeau nie chce ustąpić nawet na krok, co zresztą potwierdził publicznie sam premier, mówiąc, że kompromisu z Doliną Krzemową szukać nie zamierza.

Precedens

Co zatem zawiera kontrowersyjna ustawa? Krótko mówiąc, coś w stylu nakazu zapłaty. Wszystkie platformy cyfrowe, które korzystają z treści wyprodukowanych przez tzw. *third parties*, czyli po prostu inne podmioty – nie tylko zinstytucjonalizowane media, ale też indywidualnych dostawców, muszą uiścić opłatę licencyjną. Jak wysoką? Nie

Google postanowił dogadywać się z kluczowymi graczami na rynku. Najpierw trzyletnia umowa z imperium Ruperta Murdocha, właściciela m.in. Fox News i „Wall Street Journal”. Potem osobne kontrakty z „Financial Times” i Reuterem, wreszcie ogłoszenie, że koncern chce płaćcić aż miliard dolarów rocznie w opłatach licencyjnych.

Meta, osamotniona na polu bitwy, poszła ostatecznie na kompromis z australijskimi władzami federalnymi. Kanadyjczycy liczą, że u nich zrobi to samo.

Warto jednak w tej dyskusji wstuchać się również w głos drugiej strony, bo pokazuje on nie tylko sposób myślenia korporacji ►

o informacji jako produkcie rynkowym, ale też to, jak same pozycjonują się względem administracji publicznej i samego społeczeństwa. Lisa Laventure powiedziała kanadyjskim dziennikarzom, że zdaniem Mety tamtejsi politycy mają „nierealistyczne oczekiwania” co do tego, ile pieniędzy media mogą otrzymać od koncernów technologicznych. Przy okazji, jakby od niechcienia, dodała, że te drugie nie będą „niekończącym się źródłem subsydiów dla prasy”. Zwłaszcza to ostatnie zdanie może niepokoić, bo pokazuje jednoznacznie, że Dolina Krzemowa nadal nie uważa za stosowne płacić za to, z czego korzysta i czego sama nie stworzyła. Między bajki można włożyć ich korporacyjne narracje o interesie społecznym, walce o dobro i jakość demokracji, jeśli odmawiają na wstępie poddania się regulacjom w jakiegokolwiek formie.

Kanadyjski fragment tej dyskusji, toczącej się przecież od wielu lat na całym świecie, można wpisać w wiele kontekstów, ale najlepszy będzie chyba najbardziej aktualny, wojenno-geopolityczny. Napaść Rosji na Ukrainę wchodzi już w 17. miesiąc, coraz bardziej napięte są też stosunki Stanów Zjednoczonych z Chinami, gdzie przecież

technologia odgrywa niemałą rolę. Nieustannie mówi się o propagandzie, zagrożeniach fake newsami.

Już kilka lat temu istotę tej kwestii doskonale określił amerykański historyk dziejów środkowoeuropejskich, prof. Timothy Snyder, pisząc o „suwerenności informacyjnej”, czyli zdolności danego kraju do zaprowadzenia nad systemem informacji publicznych, również tych w internecie. Do tego potrzebne są silne media, umiejące krytycznie myśleć społeczeństwo, ale też wielki biznes, który w tym projekcie współuczestniczy. W Facebooku doskonale pamiętają, jak Rosjanie wykorzystali ich platformę do intronizacji Donalda Trumpa do roli naczelnego kłauza z dostępem do broni jądrowej. Google, chociażby na YouTube, którego jest właścicielem, nadal średnio radzi sobie z blokowaniem treści nawołujących do agresji i przepętionych mową nienawiści.

Ulegną czy nie

Dolina Krzemowa zarabia miliardy na biznesie informacyjnym, ale ciągle chyba nie rozumiała, że musi zacząć do tego biznesu się dokładać. W przeciwnym razie jakość informacji drastycznie spadnie, a od tego już tylko kilka kroków do bezrefleksyjnego, zmanipulowanego społeczeństwa wybierającego sobie idiotę na władcę i niszczącego własną demokrację. Ostabienie demokracji przynosi z kolei najczęściej szkodę dla biznesu, zarówno tego wielkiego, jak i średniego czy małego. Bezpośrednio w postaci arbitralnych decyzji aparatu państwowego, nieprzewidywalności działań, często nieracjonalnych decyzji gospodarczych.

Po przykłady daleko sięgać nie trzeba, prezydent Turcji Erdoğan ryzykował reelekcję z powodu nieodpowiedzialnych decyzji wobec państwowych finansów, jednocześnie de facto eliminując w swoim kraju jakiekolwiek wolne media, a w kluczowym momencie kampanii – odcinając nawet dostęp do internetu w niektórych rejonach Turcji. Firmy technologiczne tracą też jednak pośrednio, bo w dłuższej

perspektywie czasowej z krajów cierpiących na tzw. democratic backsliding, spadek jakości demokracji, uciekają ludzie utalentowani i przedsiębiorczy – w tym ich pracownicy.

Na razie pewników w tej sprawie jest niewiele, na czele z datą wejścia w życie kanadyjskiej ustawy – bo ta pozostaje nieokreślona. Nie wiadomo też, czy Meta ulegnie presji ani jak tym razem zachowa się Google. Naiwnością byłoby zakładanie, że powtórzy się tu model australijski, bo akurat w Kanadzie postawa rządu jest znacznie bardziej konfrontacyjna, a szefowie firm technologicznych ani nie lubią, ani nie są przyzwyczajeni do tego, żeby ktoś stawiał im warunki.

W szerszym kontekście awantura wokół aktu C-18 to jednak coś znacznie większego niż spór o pieniądze – to jedna z wielu toczących się równolegle odsłon debaty o wolności słowa i roli tego pojęcia (tej wartości?) w demokratycznym społeczeństwie. Inna toczy się obecnie w Europie, gdzie we wrześniu w Parlamencie Europejskim ma odbyć się głosowanie nad European Media Freedom Act, europejskim aktem wolności mediów, w którym Komisja Europejska podjęła tyleż szlachetną, co karkołomną próbę skodyfikowania wolności słowa i wpisania jej w ramy prawne. Będzie w nim też mowa o tym, co komu wolno w internecie.

Co prawda Unia znacznie lepiej niż inne części świata reguluje ten obszar, ale im dalej, tym trudniej. W obliczu kolejnych triumfów Erdoğan czy Orbána, fali wyborczych sukcesów skrajnej prawicy i ogólnego spadku wolności mediów na Starym Kontynencie akt ten wydaje się coraz bardziej potrzebny, nawet bardziej niż kiedykolwiek wcześniej. Dlatego warto trzymać kciuki za Kanadę i za Parlament Europejski. Ale najwięcej dobrego może przynieść zmiana paradygmatu w głowach szefów koncernów technologicznych. W końcu ich pracownicy, ich klienci i oni sami to przede wszystkim obywatele. I chyba wolą żyć w demokracji.

Mateusz Mazzini
m.mazzini@tygodnikprzeglad.pl



Lewomyślniej



Roman Kurkiewicz

Z jednej strony wiem, że odnoszenie się do politycznych tyrań rządzących (i walczących o utrzymanie władzy) to wysiłek jałowy. Ktoś powie: to tylko polityka, tak muszą mówić, przecież w rzeczywistości wcale tak nie uważają; poza tym gdybyś ty jako premier miał takiego wicepremiera, to nie takie rzeczy byś wygadawał, nie takich imigrantów atakował, antagonizował i szczuł.

A ja mówię: to aż polityka, więc wymagania są większe. Nie, nie muszą wcale tak mówić. Mówią, bo chcą dalej rządzić, bo chcą zostać bezkarni, bo obawiają się (i mam nadzieję, słusznie), że przyjdzie im i za czyny, i za słowa odpowiedzieć przed sądem. Szczerze mówiąc, nic mnie nie obchodzi, co „naprawdę” uważają tacy osobnicy jak Mateusz Morawiecki. Myślę, że nic nie uważają. Że nie mają żadnych poglądów, przekonań i wartości. Że są wypłukanymi z sumienia cynicznymi technokratami (tego „premier” nauczył się, nie tyle pracując, ile zarządzając z politycznego nadania bankiem takim, bankiem owakim).

przed presją migracyjną”... Z trudem to relacjonuję. „Migracja to wspieranie grup przestępczych i terroryzmu”. Wizja Morawieckiego, PiS (przedwyborcza, powtarzamy, w ostatnich dekadach żaden inny rząd nie umożliwił imigracji zarobkowej tak wielkim grupom migracyjnym – to akurat bardzo dobrze) jest wizją doskonałej, wygrodzonej, niedostępnej Twierdzy Europa.

Jest to świat, z którym nie odczuwam jakiegokolwiek wspólnoty wartości czy tradycji. W takiej Polsce i Europie odmawiam uczestnictwa.

Tu racjonalne argumenty nie działają, nawet Morawiecki ma wystarczająco sprawny operacyjnie „intelekt”, żeby wiedzieć, co mówi, w jakiej grze bierze udział, jakie demony karmi i wypuszcza. Morawiecki niemal całe swoje życie spędził (i to na bogato) w mieście samych imigrantów, bo takim jest Wrocław. I w tej perspektywie Józef Stalin jest uosobieniem dobrego prawodawcy, bo przecież to jego decyzją wypędzono Niemców i przesiedlono Polaków ze wschodu. A Morawiecki chyba

Bukiet rasistowskiej nienawiści premiera

Ich religią jest „skuteczność”, ich technologią jest czarny PR wobec krytycznych mediów i manipulacje, żeby białe udawało czarne, a czarne białe.

To w rzeczy samej przypadkowi funkcjonariusze wyznaczeni do odegrania takiej roli. I premier, i prezydent. I grają, jak potrafią, a raczej jak nie potrafią. Jedyne, co naprawdę rozumieją, to interes własny, własnej formacji politycznej, własnej frakcji w tejże formacji. Jeśli na ich wykrzywionych fałszem ustach pojawia się jako pałka słowo bezpieczeństwo, to trzeba wiedzieć, że chodzi nie o żadne bezpieczeństwo, tylko o ich własny tyłek na ich własnym stołku, przy ich na chwilę zawłaszczonym korycie władzy. Im gęba pełniejsza frazesów o ojczyźnie, bohaterach, fladze, dumie narodowej, bezpieczeństwie kobiet i dzieci (kobiet, które dzięki ich talibańskim rządóm umierają na oddziałach położniczych, dzieciom najliczniej w Europie popełniającym samobójstwa, bo nie ma dla nich pomocy psychiatrycznej) – tym bardziej wiadomo, że idzie o prywatę, karierę, bezkarność. W istocie rzeczy oglądamy bezgranicznie wyrachowany spektakl nagiej, dzikiej władzy, gdzie diabeł na mszę dzwoni, a drogie krawaty, koszule i garnitury maskują gołą przemoc.

Kiedy słuchałem wystąpienia Morawieckiego na temat polityki Unii Europejskiej w sprawie tzw. mechanizmów solidarnościowych, jeśli chodzi o przybyszów (i przybyszów!) uchodźców i uchodźczynie, kiedy wygłosił de facto czysto faszystowskie, pełne nienawiści, szczucia i kłamstw przemówienie, mój organizm zareagował odruchem wymiotnym. Bezwarunkowo. „Trwa atak na Europę”, „granice Europy nie są bezpieczne”, „Polska pokazała, że można skutecznie bronić granic

za nielegalnego uchodźcę się nie uważa. Gdyby zresztą uznać go za takiego, wówczas wygłaszane przez niego przestrogi akurat nabierają waloru autentyczności.

Unia, której naprawdę mam sporo do zarzucenia w budowaniu faktycznie tej samej wizji samoogradzającej się Europy, na pohukiwania premiera Pinokia w ogóle nie zwraca uwagi. Wie doskonale, że to przedwyborcza agitacja zaadresowana do polskiego społeczeństwa.

Możemy wpływać na tę nienawistną lawinę płynącą z ust polskiego premiera.

Świat od zawsze był migracją. Inaczej by jego i nas po prostu nie było.

To, co wygaduje Morawiecki, to już nie jest jakieś zawracanie Wisły kijkiem, to potworna metoda wymieszania ignorancji z podsycanym strachem, żeby eksplodowała nienawiść. Nic innego. Ja się tego premiera nawet nie wstydzę. Ja wymiotuję.

Polska jako państwo, ale i jako społeczeństwo (bo albo akceptuje, albo milczy) zapisuje swoje lata hańby w historii. Takimi premierami. Takimi słowami tychże premierów. Takimi wybudowanymi murami. Takimi umierającymi na granicy bezbronnymi ludźmi. To jest realna przemoc polskiego państwa, które zabija i owija w kłamliwe uzasadnienia.

Na dniach ukaże się książka reporterska Mikołaja Grynberga „Jezus umarł w Polsce” o tym, co działo się i dzieje na granicy z Białorusią. Ani przez chwilę nie myślę, niestety, że mogłaby odmienić premiera. Chociaż właśnie tacy jak on powinni być jej głównymi odbiorcami.

Młodzi w kryzysie

Cały czas wyciągamy młodym ludziom dywan spod stóp

Rozmawia Dominika Tworek

Kiedyś młodzi ludzie mieli mniej problemów psychicznych czy coraz większa świadomość społeczna oraz nowsze i dokładniejsze klasyfikacje psychiatryczne pozwalają na częstsze diagnozowanie depresji oraz zaburzeń lękowych u dzieci i młodzieży?

– Po pierwsze, nie mamy twardych danych, których moglibyśmy użyć do takiego porównania, a po drugie – my, dorośli, bardzo lubimy dawać wyraz własnym resentymentom. W naszej kulturze zakodowane jest narzekanie, że dzisiejsi nastolatki mają dostęp do dóbr, o których my mogliśmy tylko pomarzyć – mają „wszystko”, w związku z czym przewraca im się w głowach. Tymczasem młodzi są dziś narażeni na czynniki wywołujące stres, których my nie doświadczyliśmy. Ogromnie cierpią przez niedopasowany do ich potrzeb system edukacji, który wkłada im do głowy zbędną, bezużyteczną wiedzę.

Przecież my również byliśmy przepuszczeni przez ten archaiczny, XIX-wieczny model edukacji.

– Kiedyś szkoła była ważnym źródłem wiedzy o świecie, przez co budowała poczucie intelektualnej wspólnoty, a obecnie kompletnie nie przystaje do rzeczywistości, w której internet oferuje właściwie nieograniczony dostęp do informacji. Dla młodych ludzi jest to dojmujące.

W jaki sposób przekłada się to na ich życie psychiczne?

– Oni zmuszani są do tego, aby poświęcić 10 lat życia na rzeczy, które nie tylko ich nie interesują, ale też będą mało przydatne w przyszłości. Jednocześnie słyszą od dorosłych, że muszą to robić, ponieważ od



DR KONRAD AMBROZIAK

– filozof i terapeuta, prezes Fundacji Psycho-Edukacja, współautor książek „Depresja nastolatków. Jak ją rozpoznać, zrozumieć i pokonać?” oraz „Nastolatek a depresja. Praktyczny poradnik dla rodziców i młodzieży”.

tęgo, czy dostaną się do dobrego liceum, a później na studia, zależy ich egzystencja. W starszych pokoleniach wciąż pokutuje przekonanie, że wykształcenie jest gwarancją sukcesu. Tymczasem do młodych coraz częściej dochodzi prawda, że ono wcale już tego powodzenia nie zapewnia.

To rodzi w nich złość, frustrację?

– Naturalnie, kiedy angażujemy się w rzeczy, które nie mają dla nas wartości, jesteśmy zdemotywowani, sfrustrowani i źli. Problem tkwi również w tym, że współczesne nauczanie polega na przygotowywaniu dzieci do zdawania testów. Zupełnie zapomnieliśmy o przekazywaniu wiedzy na poziomie nieformalnym, o budowaniu relacji rówieśniczych.

A wystarczyłoby zadać na początku lekcji proste pytanie: „Czego chcielibyście się dzisiaj nauczyć?”. Motywacja młodych ludzi jest wówczas kształtowana przez ich wartości – czują się wysłuchani, uczą się zastanawiać, co jest dla nich ważne, wspólnie negocjując plan lekcji.

Można za to obwiniać nauczycieli?

Przecież to od nich zależy, jak poprowadzą daną lekcję.

– Nauczyciele i nauczycielki realizują wymagania, które stawiają przed nimi politycy. A ci nie konsultują się z kadrą pedagogiczną w kwestii tzw. reform edukacji. Wprowadzają je odgórnie, kierowani politycznym odruchem. Co gorsza, co partia to inny pomysł na edukację, a to prowadzi do chaosu, który niszcząco wpływa

na dzieci i młodzież. W Finlandii – państwie, które odnosi największy sukces edukacyjny, od wielu lat panuje zgoda między różnymi siłami politycznymi, co do tego, jak ma wyglądać edukacja, że nie reformuje się jej szybko i pochopnie.

Dlaczego te błyskawiczne reformy odbijają się na młodych osobach?

– My cały czas wyciągamy im dywan spod stóp. Oni się przewracają, trudno im wstać. Zaczynający naukę nie mają pewności co do reguły gry, w której uczestniczą. Nawet tak podstawowe zmiany jak system

Karanie – co prawda – działa, ale tylko dopóki nie zostanie wycofane. Kiedy kara ustanie, negatywne zachowania wracają. Chodzi zatem o to, żeby budować postawy prospołeczne – interweniować, pytając uczniów, jakiej współpracy między sobą chcieliby, co mogą zrobić, żeby rozwiązać konflikt, do jakich wartości chcieliby dążyć.

Dlaczego oddawanie takich decyzji w ręce uczniów sprzyja działaniom antyprzemocowym?

– Dzięki temu cała społeczność klasy może zobaczyć, że dzieją się

naukowych wiemy, że bodźce awersyjne powodują jedynie supresję, czyli zatrzymanie zachowania; nie uczą niczego nowego, a w dodatku wzbudzają lęk, wstyd czy poczucie winy, a to właśnie te emocje – skumulowane – dają obraz, który nazywamy depresją czy zaburzeniami lękowymi.

Jak system oceniania wpływa na stan psychiczny dzieci?

– Nauka jest procesem robienia błędów. Świetnie, że młodzi ludzie je popełniają, bo oznacza to, że angażują się w nowe aktywności, a kiedy uczymy się czegoś nowego, nie możemy od początku robić tego perfekcyjnie. Ocena powinna więc być informacją zwrotną – rzetelnym opisem mówiącym o tym, co zrobiliśmy dobrze, a nad czym powinienem jeszcze popracować. Co najgorsze, tak jest opisana w polskim prawie, tyle że nikt się do tego nie stosuje. Zamiast tego staje się bytem samistnym. Przestaje pełnić funkcję informacji zwrotnej dotyczącej konkretnego zachowania, a staje się opisem ucznia: mierny, dostateczny, dobry i tak dalej.

Jakie działania powinni więc podjąć politycy w trosce o dobrostan dzieci i młodzieży?

– Przede wszystkim dojść do porozumienia, że edukacja polega na kształtowaniu umiejętności bycia w grupie, współpracy, krytycznego

Błędem jest, że nie uczymy najmłodszych rozpoznawania emocji i reagowania na nie, a staramy się ich nauczyć budowy pantofelka.

organizacji nauczania – podstawówka, gimnazjum, szkoła ponadgimnazjalna czy szkoła podstawowa i ponadpodstawowa – wprowadzane są bez okresu przygotowawczego. A o zmianach w organizacji egzaminów kończących dany etap edukacji dzieci dowiadują się często w trakcie tego samego roku, w którym mają się one odbyć. Jak w takich warunkach młodzi ludzie i nauczyciele mają planować naukę? Jak budować zaufanie do świata i osób dorosłych, które odpowiadają za ich przyszłość?

Co jeszcze wpływa na kondycję psychiczną nieletnich?

– Ogromnym problemem jest to, że młodzież czuje się w szkołach bardzo samotna. Młodzi ludzie opowiadają o tym, że muszą funkcjonować w różnego rodzaju skonfliktowanych ze sobą grupach, mierzą się z prześladowaniami.

Co my, dorośli, możemy z tym zrobić?

– Przede wszystkim powinniśmy zacząć to zauważać i nie przerzucać rozwiązywania tych problemów na dzieci. Prześladowanie jest przemocą, w której definicję wpisane jest przeciwieństwo, że jej ofiara nie może o własnych siłach z niej wyjść. Takiemu dziecku trzeba więc pomóc, najlepiej budując wspólny wkład całej klasy w strategię przeciwdziałania zachowaniom przemocowym. To nie może być pomoc, która polega na piętnowaniu prześladowcy.

rzeczy, które im nie odpowiadają, a zmiana zachowań jest konieczna zarówno po stronie „sprawców”, „milczącej większości”, jak i ofiar. Uczymy w ten sposób młode osoby kształtowania dobrej społeczności, rozmowy ze sobą. Nie skupiamy się na rozwiązaniach problemu, ale budujemy nowe umiejętności, które pozwolą młodym ludziom reagować na problemy.

To zwrot ku wychowawczej funkcji szkoły.

– Dobrze rozumieć to wychowanie w sposób korczakowski-adlerowski. Mamy piękne tradycje pedagogiczne, polegające na budowaniu

Przymus szkolny moglibyśmy zastąpić prawem do edukacji.

wspólnot młodzieżowych, w ramach których młodzi ludzie dzielą się swoimi ideami. Przykładem może być opisany przez Janusza Korczaka w 1928 r. sąd koleżeński, który ma rozwiązywać konflikty między uczniami. Jego zasady zaczynają się od słów: „Jeżeli ktoś zrobił coś złego, najlepiej mu przebaczyć”.

A my sięgamy do pruskiego modelu wychowania, polegającego głównie na karaniu.

– Taki system nakierowany jest wyłącznie na tropienie i karanie zachowań, które nie podobają się dorosłym. A przecież z badań

i samodzielnego myślenia, a nie tuż po czeniu młodych ludzi wiedzą. Później zmienić egzaminy maturalne i ośmioklasisty z testów weryfikujących konkretną wiedzę na egzaminy sprawdzające umiejętności dzieci. Błędem jest też to, że dziś nie uczymy najmłodszych rozpoznawania emocji i reagowania na nie, a staramy się ich nauczyć budowy pantofelka. Dlatego należy wprowadzić więcej lekcji z profilaktyki zdrowia psychicznego i zajęć, które prowadzą do kształtowania postaw prospołecznych. Uważam również, że przymus szkolny ▶

► moglibyśmy zastąpić prawem do edukacji. Nie wydaje się, że wszyscy muszą koniecznie z niej korzystać, chociaż każdy człowiek powinien mieć zapewnione wsparcie rówieśniczo-rozwojowe.

Z drugiej strony tego systemu mamy rodziców, dla których dzieci są „projektem”; mają realizować ich cele czy kompensować życiowe porażki. Dziecko ma mieć świetne oceny, znać kilka języków, mieć różne pasje. To rodzi olbrzymią presję.

– My wszyscy – rodzice, nauczyciele i dzieci – żyjemy w diabelskim kole pogoni za niezidentyfikowanym

ocenie własnego postępowania. Ciągłe pytanie autorytetów o regułę, wedle której będziemy żyli, określiłbym rozleniwieniem do przeżywania własnego życia.

Tą receptą, że będzie nam łatwiej, jeżeli oddamy siebie i nasze dzieci w ręce specjalistów, jesteśmy bombardowani medialnie.

– Kluczowe jest tu słowo łatwiej. My utożsamiliśmy szczęście ze słowami łatwo i przyjemnie, w związku z czym unikamy wszelakich nieprzyjemności: niepewności, smutku czy lęku. Ta pogoń za źle nazwanym szczęściem, czyli bezmyślną, hedonistyczną przyjemnością, napędza

Dlaczego?

– Na jednych z warsztatów, które prowadzę, młodzież miała zadanie wybrać trzy istotne dla nich wartości i zbadać, jak wyglądają one w ich społeczności szkolnej oraz jak można je rozwijać. Wybrali m.in. pewność siebie. I okazało się, że do grupy badającej tę wartość zgłosiły się osoby, które same mają z tym problem. Zespół niepewnych siebie, zawstydzonych nastolatków z rozpoznaniem fobii społecznej opracował sondę uliczną na ten temat. Dzieciaki same postanowiły podchodzić do obcych ludzi na ulicy i pytać, co to znaczy być pewnym siebie. Dlatego tym, co my, dorośli, powinniśmy robić, jest tworzenie dzieciom takich przestrzeni, z wiarą w to, że one są w stanie znaleźć rozwiązanie swojego problemu.

Czy kryzysy psychiczne dzieci związane są też z rozpadem wspólnotowości?

– Dziś nie uczymy się budować więzi i nie ufamy innym ludziom. A przecież to właśnie ci „inni” są naturalnym sposobem regulacji naszego nastroju. Jeżeli jest mi smutno i mogę do kogoś się przytulić, leczy to bardziej niż szukanie rozwiązań i rad. Oprócz zaniku wspólnotowości zapomnieliśmy też o pewnych oczywistych prawdach; że obecność drugiej osoby jest uzdrawiająca, że nie musimy od siebie cały czas wymagać.

Nie dajemy młodym ludziom naturalnej przestrzeni na rozwój, np. na nudę czy przebywanie z rówieśnikami.

„sukcesem”. Zmuszamy dzieci do wyścigu o dobre oceny i rezultaty, ponieważ wierzymy, że wykształcenie równa się sukces społeczno-ekonomiczny, a to oznacza dobre życie. A cała ta bieganina nakierowana na to, żeby udzielić dobrej odpowiedzi w teście zabija w dziecku ciekawość świata. Dziś nie dajemy też młodym ludziom naturalnej przestrzeni na rozwój, np. na nudę czy przebywanie z rówieśnikami, tylko wozimy je z jednych zajęć na drugie, a później wkładamy do pokoju i dziwimy się, że korzystają z telefonu komórkowego.

Każdy rodzic powie, że chce tylko, aby jego dziecko było szczęśliwe. Że robi to wszystko z dobrych pobudek.

– Oczywiście chcemy dobrze. Problem polega na tym, że z trudem jesteśmy w stanie krytycznie spojrzeć na rezultaty własnych działań. Dziś rodzice podlegają takiej samej presji, jak nastolatki czy dzieci. Mamy wysyp podręczników w rodzaju „Jak wychowywać dziecko” – dorośli nieustannie zadają sobie pytanie, czy to, co robią, jest słuszne, i starają się znaleźć jakieś zewnętrzne autorytety, które będą potwierdzać ich zachowania. To smutne, że współcześnie przestaliśmy ufać sobie; swojemu doświadczeniu,

chęć znalezienia recepty na to, jak mam postępować, żeby mi było cały czas przyjemnie. A taka recepta nie istnieje.

Jak sekularyzacja Polski wpływa na młodych ludzi? Czy wiara w nadrzędną wartość, jaką jest Bóg, jest pomocna w kształtowaniu wartości dziecka?

– Sekularyzację możemy rozumieć na dwa sposoby. Po pierwsze, jako rezygnację z podążania ścisłymi regułami postępowania, które okazały się nieprzydatne. Po drugie, odwrót od zastanawiania się nad

Bądźmy dla samych siebie i innych po prostu życzliwi. To ogromnie dużo zmienia, ponieważ jest związane z odpuszczaniem.

tym, co w życiu ważne i istotne. W tym pierwszym znaczeniu jestem za nią. W drugim – nie. Dla nas, jako młodych, wartości po prostu były ważne, dorośli o nich rozmawiali i my również. Co jest dobre, co złe, jakiego życia chcę, w jakim państwie chcę żyć – z takimi pytaniami się zderzaliśmy. Teraz – mam wrażenie – wartości to niemożliwy temat, kojarzony z pięknoduchostwem. A to właśnie umożliwienie młodym ludziom rozmowy na takie tematy powoduje w nich niesamowity rozwój.

Znajoma psychiatra z przerażeniem opowiadała mi, że jej koleżanka odezwała się do niej przed egzaminem swojej córki z prośbą, żeby ta przepisała jej jakieś leki, bo dziewczyna boi się testu.

– Jest plaga diagnoz, które wysypują się przed egzaminami. Nagle okazuje się, że zdrowe dzieci zaczynają być diagnozowane na ADHD, bo dostają leki, które mają na celu poprawę ich wydajności i koncentracji. To leczenie czy chemiczne stymulowanie młodych ludzi? Jeżeli w naszej kulturze liczy się tylko

efektywność, będziemy dla niej się zabijać: niszczyć siebie samych i siebie nawzajem.

Często to nastolatki konstytuują swoją tożsamość wokół różnych zaburzeń, chcą mieć diagnozę depresji czy ADHD.

– Nastolatki dramatycznie potrzebują odpowiedzi na to, kim są i jacy są, dlatego faktycznie może zdarzyć się tak, że diagnoza psychiatryczna stanie się centrum tożsamości młodej osoby. Ale jeżeli jej rozwój będzie przebiegał w miarę dobrze, sama odrzuci takie elementy tożsamości jak depresja. Natomiast ja jestem przerażony tym, że potwornie modne stało się przyklejanie młodym ludziom łatek zaburzeń osobowości. Pół biedy, jak robią to sobie sami, poszukując informacji w internecie. Znacznie gorzej, że robią to specjaliści od zdrowia psychicznego.

Dlaczego jest to takie zatrważające?

– Bo to bardzo poważna diagnoza i nie powinna być stawiana nieletnim, u których osobowość jest zbyt plastyczna, żeby mówić o zaburzeniach. A etykieta „borderline” – najmodniejsze obecnie „rozpoznanie”, związane z brakiem poczucia spójnej tożsamości, umiejętności budowania relacji i skrajną deregulacją emocjonalną, prowadzącą do zachowań autodestrukcyjnych i prób samobójczych – jest dla młodych ludzi bardzo nobilitująca, ponieważ oznacza że „musicie się ze mną liczyć, bo jestem szaleńcem”. Groźne jest również to, że takie łatki bardzo często używane są jako pewnego rodzaju usprawiedliwiania: „Mam borderline”, czyli „takim mnie Panie Boże stworzyłeś, takim mnie będziesz miał”. Oczywiście czasem diagnoza jest bardzo ważna, ale choroba oznacza stan przejściowy – chodzimy więc na terapię czy do psychiatry, żeby się z niej wyleczyć, a nie po to, żeby w niej tkwić.

Amerykański psycholog prof. Jonathan Haidt stawia tezę, że to media społecznościowe odpowiedzialne są za epidemię depresji dzieci i młodzieży.

– Nie zgadzam się z tak uproszczoną diagnozą. „Uzależnienie” od telefonu komórkowego dla jednego

dzieciaka może być uciekaniem od lęku i będzie powodować unikanie realnych kontaktów, ale już dla innej młodej osoby może to być jedyne środowisko, z którego czerpie wsparcie, bo np. jest osobą nieheteronormatywną, mieszka w małej miejscowości i boi się o tym komuś powiedzieć. Jeżeli nie zobaczę, jaką funkcję pełni dane zachowanie, nie jestem w stanie ocenić, czy jest ono dla młodego człowieka adaptacyjne, czy nie.

Teraz – idąc za teorią McLuhana – dzięki mediom społecznościowym świat stał się „globalną wioską”. Dzieciaki narażone są więc na porównywanie się nie tylko do grupy rówieśniczej, ale miliardów innych osób z całego świata.

– Z internetem jest jak z każdym narzędziem. Widelca mogę użyć do jedzenia albo mogę wydfubać nim komuś oko. Jeżeli żyję w kulturze, w której cały czas zachęcany jestem do tego, żeby patrzeć, jak prezentuje się ktoś inny, to dzięki internetowi

będę mógł porównywać się z całym światem. Co ważne, w samym przglądaniu się temu jak wyglądam na tle innych, generalnie nie ma niczego złego, bo jest to ewolucyjny mechanizm, który dostosowuje mnie do grupy. Ale jeżeli dorzucimy do niego presję na rywalizację, czyli porównywanie się, czy ja jestem najlepszy w tej grupie, to może już rodzić problem, bo tych „najlepszych” jest bardzo mało.

Jaką radę skierowałbyś zatem w stronę rodziców?

– Bądźmy dla samych siebie i innych po prostu życzliwi. To ogromnie dużo zmienia, ponieważ jest związane z odpuszczaniem. Często nonszalancko rzucamy dzieciom różne złote myśli: „Jak nie będziesz się uczył, to będziesz kopał rowy”, „Nigdy nie można niczego odkładać na ostatnią chwilę” itd. Sami nie stosujemy się do tych rad, a kiedy młodzi tego nie robią, narasta w nas frustracja. Opuśćmy to.

Dominika Tworek

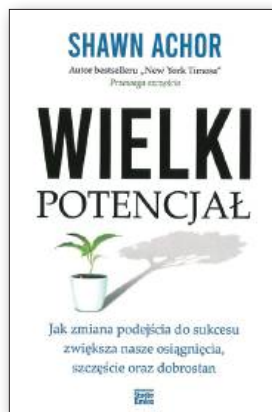
KSIAŻKI

Ewa Woydytło

**Nasz bieg z przeszkodami
O wrażliwości i inności**

Wydawnictwo Literackie, Kraków 2023

Czym są i jak funkcjonują uprzedzenia? Wielu postrzega świat przez pryzmat podziału „normalni – nienormalni”, który nie odzwierciedla współczesnej wiedzy o człowieku, lecz kultuwywie dawną niewiedzę i przesady. Stereotypy te prowadzą do poważnych nadużyć wobec wielu osób. Ewa Woydytło tłumaczy, jak wyzwolić się od niezrozumienia, pogardy i strachu przed bardziej wrażliwymi i innymi.



Shwan Achor

Wielki potencjał

przeł. Małgorzata Małecka

Studio Emka, Warszawa 2023

Książka wywraca do góry nogami nasze założenia dotyczące potencjału. Pokazuje, że sekretem osiągnięć nie jest skupienie się na sobie, ale wsparcie innych. Przedstawia praktyczne, możliwe do wykonania kroki pozwalające wdrożyć te działania. Korzystając z nowatorskich badań, wnikliwych przemyśleń i praktycznych przykładów, Achor opisuje nową koncepcję sukcesu i prezentuje strategię, które możemy wykorzystać, by osiągnąć maksimum naszego potencjału.

Tomasz Miłkowski

Monodramy amatorów? Zakrawa to na żart. Monodram uchodzi za arystokratyczny gatunek teatru, zarezerwowany dla wybrańców, nie każdy zawodowy aktor wychodzi z próby spektaklu jednoosobowego zwycięsko.

Tym bardziej, wydawałoby się, narażeni na katastrofę są amatorzy. A jednak nieprofesjonalny nurt teatru jednego aktora, choć ze zmiennym szczęściem, czasem gasnąc, czasem kwitnąc, trwa od kilkudziesięciu lat, przynosząc niekiedy nad podziw wspaniałe rezultaty.

Przez długie lata stolicą monodramu nieprofesjonalistów był Zgorzelec, gdzie Towarzystwo Kultury Teatralnej i Marian Szałecki organizowali coroczne festiwale – odbyło się ich 36, ostatni bodaj w roku



ODDAJCIE NAM GŁOS

Nad spektaklami prezentowanymi w Słupsku unosił się duch gabinetu psychoterapeutycznego

2007, a w zgorzeleckich szrankach festiwalowych zdobywali aktor-skie szlify m.in. Gabriela Muskała, Krzysztof Pietrykowski i późniejsi reżyserzy Marcin Bortkiewicz i Bartosz Zaczekiewicz. Siłę tych przeglądów wspierał Wiesław Geras, twórca profesjonalnych festiwali teatrów jednego aktora we Wrocławiu, który do udziału w nich zapraszał wybranych laureatów ze Zgorzelca.

Z czasem zgorzelecki festiwal zaczął słabnąć. Lokalne zainteresowanie spektaklami jednoosobowymi wyraźnie przygasło. Tymczasem wyrastał Zgorzelcowi konkurent – już w roku 2004 odbył się Pierwszy Słupski Festiwal Monodramów „Sam na scenie”, który zainicjowała kierująca wówczas Teatrem Rondo Jolanta Krawczykiewicz (dziś dyrektorka Słupskiego Ośrodka Kultury). Początkowo był to przegląd, ale wraz z zakończeniem historii zgorzeleckich

spotkań (2008) „Sam na scenie” stał się częścią Ogólnopolskiego Konkursu Recytatorskiego jako finał Turnieju Teatrów Jednego Aktora. I tak jest do dzisiaj. W czerwcu tego roku już po raz 20. spotkali się w Słupsku nieprofesjonalni aktorzy, których obowiązywał minimalizm środków i zwięzłość wypowiedzi (ok. 30 min.). Właściwie powinienem napisać: spotkały się, bo na 14 pokazanych spektakli jednoosobowych tylko jeden przygotowany został przez aktora. O głos upomniął się więc przede wszystkim kobiety. Warto ich wysłuchać.

To być może znak czasu, może przypadek, tak jak znamieny jest obecny w tych spektaklach głos protestu przeciw przemocy, upokarzaniu kobiet, koszmarom dzieciństwa i dojrzewaniu w toksycznych rodzinach, emocjonalnie wyziebionych, a niekiedy patologicznych. Słuchać też echa historycznych uwikłań,

zwłaszcza w dwóch spektaklach opartych na dramacie Tadeusza Słobodzianka „Nasza klasa”, a także poszukiwań tożsamości w kręgu rodzinnego dziedzictwa.

Nad spektaklami prezentowanymi w Słupsku unosił się duch gabinetu psychoterapeutycznego. Zwierzenia bohaterów (i bohaterów) miały pomóc przezwyciężać traumy, koszmary, poczucie wstydu, zagubienia i upokorzenia. Dominowały motywy samobójstwa i zabójstwa (cztery spektakle); uzależnień (cztery spektakle); nerwic, DDA (syndrom dorosłych dzieci alkoholików) i chorób psychicznych (sześć spektakli).

Jedynie monodram autorski Julii Eisenhardt „Co by się nie pomarowało” w reżyserii Pawła Sroki odstawał od tej formuły, chociaż i do niego zabrało okrucieństwo świata i czyste zło – zamordowanie dziadka, ale nawet ten zbrodniczy czyn nie zmącił

Struganie



Kamień



w którym dokonuje metamorfoz, wcielając się w różne postaci (m.in. ukochanej babci) i przekonując do wzajemnej akceptacji i tolerancji. Podkreślają to również rytuały (rozsypywanie mąki, weselny wieniec), ale i dekoracja: proste masywne drewniane drzwi, które stają się przejściem między rozmaitymi światami, czasem minionym i czasem współczesnym, raczej łączącym pokolenia niż je rozdzielającym. Piękny spektakl, nagrodzony grand prix i nagrodą publiczności.

Spotkania otworzył spektakl „Kamień” – rzecz o dorastaniu i mozo- le doświadczania świata, rozumie- nia upływu czasu, życia i śmierci. Bohaterka Katarzyny Brzozowskiej podejmuje nawet wyścig z cza- sem – symbolizuje to bieg za po- ciągiem w przeciwnym kierunku, próba doświadczenia czasu, który już przeminął.

Znamienny jest obecny w spektaklach głos protestu przeciw przemocy i upokarzaniu kobiet.

Co by się nie pomarnowało



czystości tej wypowiedzi, upatrującej istotę życia w ciągłości, wzajemnym zaufaniu pokoleń i pokonywaniu przeszkód. Stąd ideałem dla boha- terki staje się babcia, przechowują- ca pieczętowanie dawne wartości, które, nawet jeśli sentymentalne

i mało ponętne dla młodych, świad- czą o organicznym przywiązaniu do życia i woli przetrwania. Tę ideę wy- konawczynie uwydatnia interpretowa- nymi a capella pieśniami ludowymi o pięknym brzmieniu, wzmacniając siłę przyciągania tego spektaklu,

„Jolanta” Aleksandry Głowy (na podstawie opowiadania Sylwii Chut- nik) także mówi o dorastaniu, ale w rodzinie patologicznej. Oto typo- wa sytuacja: ojciec porzuca rodzinę, odchodzi do innej, a Majka szuka po- ciechy w alkoholu. Bohaterka z war- szawskiego Żerania ucieka z mieszk- ania z widokiem na trzy kominy, sama zakłada rodzinę, ale wciąż drę- czona niepokojem nie potrafi się od- naleźć w świecie ustrojowej trans- formacji. Koszty rozwodu rodziców od- stania puenta – samobójczy skok z wysokości.

Debiut doświadczonej recytatorki Aleksandry Ignasińskiej, „Struganie duszy” według „Morfiny” Szczepa- na Twardocha, to opowieść o za- uroczeniu, odrzuceniu i poszukiwa- niu ratunku w używkach. Spowiedź kobiety uzależnionej emocjonalnie i spętanej nałogiem, która musi znaleźć siłę w sobie do odrzucenia tych pęt, jeśli chce przeżyć. Z kolei „Lori” Darii Pudło według powieści Amandy Bennett i Lori Schiller mówi o dziewczynie zmagającej się z cho- robą psychiczną, żyjącej w dwóch ▶

► światach, między realnym życiem a lękiem w wewnętrznej klatce choroby.

„Wilgoć” Magdaleny Stefańskiej na podstawie sztuki Sandry Szwarc „Woda w usta” odśpiewa stan lękowy bohaterki. Violę spotykamy na bezludnej wyspie, ale to ucieczka ze świata koszmarów dzieciństwa. Udawana radość, bywa tu nawet wesołość, maskuje dołujące doświadczenia w domu rodzinnym.

Milena Uznańska w monodramie według „Naszej klasy” Tadeusza Słobodzianka szkicuje skomplikowane relacje polsko-żydowskie za pośrednictwem losów jednej bohaterki, Dory. Koleżanki i kolegów z klasy, których z czasem ubywa, oznacza czerwonymi wstążeczkami przyczepianymi do białej sukni. Ale dorosłość Dory, kiedy pada ofiarą brutalnego gwałtu, przerasta jej siły. Inaczej korzysta z tekstu „Naszej klasy” Arkadiusz Jaskulski. Jego monodram „Kac” odśpiewa dramat moralny, będący udziałem bohaterów uwikłanych w historię, czas wojny i oporu, donosicielstwa, krańcowej opresji i odwecie. Krwa- wa zemsta na entuzjaście władzy radzieckiej, Jakubie Kacu, niesłusznie posądzonym o zdradę i wydanie kolegów sowieckim oprawcom, przestrzega przed łatwością fero- wania wyroków. Ofiara może stać się katem.

„Matka” Joanny Zaremby na podstawie Witkacego mogłaby uchodzić za matkę wszystkich traum przewijających się w monodramach: toksyczna rodzina, uzależnienia, alkoholizm.

W „Stopklatce” według dramatu Maliny Prześluga młodzieńca Nikola Johymczyk opowiada o dziewczynie, która za sprawą jednego skoku do wody staje się kaleką na całe życie, pozbawioną możliwości ruchu, a nawet kontaktu z otoczeniem. Podejmująca takie trudne tematy Prześluga, tu próbuje dociekać, co kryje się w środku wielkiej niemowy, jaką stała się bohaterka. To wykluczenie dosłowne.

Swego rodzaju antidotum wobec tej ciężkiej materii psychicznej przygotowała Dorota Garbicz-Stodolna spektaklem „Koniec świata” według Konstantego Ildefonsa Gałczyńskiego i własnej improwizacji. To rodzaj stand-upu, w którym aktorka, wcielając się w sprzątaczkę (sama z zawodu jest szkolną polonistką) dowcipnie komentuje sceniczne działania, a sama – w skrytości ducha – przygotowuje się do udziału w słupskim festiwalu. Próbkę tych przygotowań przedstawia, cały czas pamiętając o wyczyszczeniu sceny mopem. Przy okazji, jakby mimochodem odśpiewa

Nieprofesjonalny nurt teatru jednego aktora trwa od kilkudziesięciu lat, przynosząc niekiedy nad podziw wspaniałe rezultaty.

mizerię współczesnej szkoły, w której urągające poczuciu sprawiedliwości zarobki nauczycieli wciąż odpychają od tego zawodu.

„Matka” Joanny Zaremby na podstawie sztuki Witkacego znalazła się na tym festiwalu nie przypadkiem (Słupsk Witkacym żyje od lat). Mogłaby uchodzić za matkę wszystkich traum i złych emocji przewijających się w prezentowanych monodramach: toksyczna rodzina, uzależnienia, alkoholizm, upokorzenia, degradacja społeczna – można by tę listę wydłużać. Z kolei „Ona” Karoliny Pożogi na podstawie „Kobiety i życia” Maliny

„Christina” Moniki Adamczyk według „My, dzieci z Dworca Zoo” Kai Herman i Horsta Reicka, autorska próba ukazania problemu uzależnienia – choć oparta na tekście odnoszącym się do innego czasu, to przecież wciąż mocny utwór odśpiewujący realne zagrożenie narkotykowego ciągu. Debiutującej interpretatorce brak jeszcze doświadczenia i środków, aby przekonać do tragedii swojej bohaterki – choć przejmująca prawda odrzucenia uzależnionej dziewczyny przez jej najbliższych, kiedy bardzo potrzebuje ich pomocy, przebiega się do widza.

Na koniec niczym puenta monodram „wychowana” Wiktorii Skowron na motywach powieści Marty Dzido „Matroszka” (reżyseria Dominika Migoń-Madura), kolejna opowieść o DDA, czyli konsekwencjach alkoholizmu rodziców. Mimo wagi i powagi tematu aktorka poczuciem humoru łagodzi drastyczność opowieści. Koszmar dzieciństwa słodzi przygotowany przez nią teatrzyk rysunkowy, a na koniec pełniący funkcję ekranu-scenki otwór w tekturowym pudełku, w którym pojawia się głowa aktorki z jej urozmaiconą mimiką, ukazującą rozmaite wersje zakończenia tej niewesołej historii. Wiencząc ją zdanie będące odwrotnością puenty opowiadania Franza Kafki „Przed prawem”. U Kafki człowiek stał przed wejściem do Prawa, czekając, kiedy się otworzą drzwi,

ale nigdy o to nie spytał i dopiero w chwili śmierci dowiedział się, że to była brama przygotowana specjalnie tylko dla niego. W monodramie Wiktorii Skowron księżniczka kryjąca się przed smokiem w wysokiej wieży dopiero w sędziwym wieku dowiadyduje się, że zawsze mogła wyjść, bo „żadnego smoka nie było”. Tym jedynym zdaniem pisarka, a za nią aktorka otworzyły szczylinę nadziei.

Tomasz Mitkowski

Oko w oko



Tomasz Jastrun

Wszystko naraz

Ktoś ładnie napisał: „Żyjemy w czasach, w których przewidywalność współczesnej historii topnieje niczym lodowce w wysokich górach. Innymi słowy, politykę dotyka globalne ocieplenie, zanik wszelkich pewników”. No i proszę, kto by się spodziewał, w Rosji doszło do buntu Jewgienija Prigożyna. Należąca do niego Grupa Wagnera zajęła Rostów nad Donem i Woroneż plus wszystkie wojskowe obiekty w okolicy. Sensacyjnie brzmiały informacje, że najemnicy idą na Moskwę i są już blisko. Putin uciekł z Moskwy. Wielka szkoda, że nie doszli. Łukaszenka załatwił rozejm i ucieczkę Prigożyna na Białoruś. Prezydentowi Putinowi ratuje skórę szef kołchozu, jakim jest Białoruś. Kolejny przykład, jak nie daje się przewidzieć przyszłości, zarówno swojej osobistej, jak i politycznej. Są pewne podobieństwa, Putin miał kucharza, a Kaczyński kucharkę, ale kucharka się nie buntuje, a kucharz się zbuntował.

W przychodni ścisk, popsuci ludzie tłoczą się, lekarz się spóźnia, długie czekanie. Ale wychodzę zadowolony, zdecydowałem się na operację drugiego biodra, będę miał dwa sztuczne. To po operacji jest jak nowe, ale nagle drugie zaczęło mi dolegać, a przecież do naprawy tego pierwszego działało bez zarzutu. I pomyśleć, że po operacji postanowiłem: nigdy w życiu. Ale to jak z ciążą, po porodzie kobieta mówi „nigdy więcej”, po czym mija trochę czasu i jest znowu w ciąży. A ja chcę dojść do końca swojego życia, nie kulejąc. I ciągle mi się marzy, by wrócić do tenisa.

Koniec roku szkolnego, moje dzieci szczęśliwe. A ja nigdy nie doświadczam końca roku szkolnego, co chwila mam klasówki, dostaję oceny i nie mam wakacji. Wracam do tematu uzależnienia dzieci, moje ugrzęzły w grach komputerowych, na TikToku, w portalach społecznościowych – powszechny dzisiaj problem. Książek w ogóle nie czytają, niedawno mój dwunastolatek zapytał: „Tata, a po co są książki?”. Spytał ojca pisarza. Wielka bieda. Kiedy odejdę z tego świata, zostawię bardzo wiele książek. Co oni z nimi zrobią? Połączenie permissywnego wychowania z nową cybercywilizacją daje taki efekt, że ogromnie trudno limitować dzieciom przebywanie w świecie komórek i tabletów. Na próbę ograniczeń reagują agresją, jak narkomani, kiedy zabiera im się narkotyki. Inna sprawa, że też bym oszalał, gdyby zabrano mi komputer. Widać, że młodzi coraz mniej spotykają się z kolegami, komunikują się

z nimi w sieci. Z internetu mają co prawda mnóstwo informacji, ale są one rozbite na kawałki, w głowach panuje straszny bałagan i nic z niczym się nie łączy. Na pewno rośnie nowe pokolenie, tak odmienne, że zmieni świat, ale jak – nie wiadomo.

W pobliskim Wawerskim Centrum Kultury, z którym można powiedzieć, że się przyjaźnię, w nowej, ładnej sali widowiskowej otwarcie klubu filmowego. Prelekcja Tomasz Raczką, bardzo rozumna, potem pokaz wielooskarowego filmu „Wszystko wszędzie naraz”. Duża sala pełna po brzegi. Jestem z moim szesnastolatkiem, który będzie oglądał ten film po raz czwarty. Publiczność, na ogół starsza, wytrwała bohatersko do końca, prawie nikt nie wyszedł, a film trwa dwie i pół godziny i jest niezwykle intensywny. Nic z niego nie rozumiałem. Zaczął mnie bawić dopiero, gdy przestałem się wysilać i pogodziłem się z tym, że nic nie rozumiem, wtedy mogłem docenić niezwykłość pojedynczych scen. A mój Antek twierdzi, że ten film ma głęboki sens i on wszystko rozumie. Myślę, że to też jest pokoleniowe.

W Kancelarii Prezesa Rady Ministrów pojawił się przy rządowym stole dwugłowy premier – jak dwugłowy orzeł.

jest pewnie genialny, a ja jestem z lekka niedorozwinięty. A przecież jednym z tematów filmu jest to, że każde zdarzenie w naszym życiu, nawet milimetrowe, ma wpływ na naszą przyszłość. Fascynuje mnie, że tak jest, jeśli tak jest, a jestem prawie pewien, że tak jest. Wracając do pełnej sali w centrum kultury, byli to niemal wyłącznie ludzie z Międzyzlesia i z pobliskich miejscowości, twarze mówiły, że to publiczność inteligencka i że byłoby dziwne, gdyby wśród tych setek ludzi było choćby kilku pisowców. Tak się porobiło.

Donald Tusk jest bezwzględny politykiem z twarzą hitlerowską – powiedział na początku czerwca w TVP Białostok senator PiS Jacek Bogucki. Senator wyjaśnia: „Nawiązywałem do tego, że to samo się działo w Niemczech w latach 30.”. I pomyśleć, że takie boże osiołki hasają po naszym Senacie i są na naszym utrzymaniu. Drugi cytat tygodnia, prezes: „Ja nie chcę przesadzać, ale niemalże na każdym rogu w Warszawie i w wielu różnych miejscach można to załatwić, nikt tego nie zwalcza”. To załatwić, czyli przerwać ciążę. To właśnie jest moralność naszej prawicy. A w Kancelarii Prezesa Rady Ministrów pojawił się przy rządowym stole dwugłowy premier – jak dwugłowy orzeł. Jako że ten orzeł ma oblicze Morawieckiego i prezesa, widok jest osobliwy.

Nie możemy o wszystko obwiniać Francuzów

W Algierii dotykają nas konsekwencje wojny domowej, jesteśmy pękniętym społeczeństwem, które ma trudności z pojednaniem

Rozmawia Artur Zaborski

MOUNIA MEDDOUR

– reżyserka



Mieszka pani we Francji, wychowała się w Algierii, a na świat przyszła w Rosji. Bardzo ciekawe połączenie.

– Przyzwyczaiłam się już, że dla osób z innych krajów taki miks jest nieoczywisty. Jednak dla ludzi pochodzących z Algierii to nic nadzwyczajnego. Po odzyskaniu przez nasz kraj niepodległości w 1962 r. rządili u nas przedstawiciele Frontu Wyzwolenia Narodowego, którzy adaptowali idee socjalistyczne na grunt arabski. Mieli dobre stosunki ze Związkiem Radzieckim, więc rząd wysyłał sporo Algierczyków na uniwersytety w ZSRR. To przypadek mojego ojca, jak i rodziców wielu moich przyjaciół, którzy kształcili się tam na kierunkach inżynierskich czy naukowych. Mój tata wyjechał do Moskwy, gdzie studiował reżyserię na słynnym VGIK (Wszechrosyjski Państwowy Uniwersytet Kinematografii im. S.A. Gierasimowa – przyp. AZ). Tam poznał moją mamę – niebieskooką, piękną, miłą Rosjankę, więc teraz już rozumiesz, dlaczego urodziłam się w Moskwie.

Największe zacieśnienie stosunków algiersko-rosyjskich przypadało na początek lat 70. Jeśli ma się algierskich rodziców, którzy studiowali właśnie w tamtym czasie, to na pewno mają w wśród znajomych ludzi, którzy uczyli się w ZSRR.

Algieria była wtedy w zapaści. Odzyskanie niepodległości okupiliście śmiercią tysięcy ludzi i zniszczeniem kraju. Młodzi ludzie wyjeżdżali do sytej Moskwy, widzieli, że można żyć dostatniej, a i tak decydowali się wracać do ojczyzny?

– Tak, bo wierzyli w odbudowę kraju, w to, że Algieria też może być miejscem, gdzie dobrze się żyje, tylko trzeba w to zainwestować czas, siłę i pieniądze. Po dekadach okupacji kolonialnej Francuzów wreszcie uzyskaliśmy wolność. Studenci byli bardziej ciekawi tego, jak to jest być wolnym we własnym kraju niż życia na emigracji w ZSRR, która pewnie byłaby możliwa, bo współpraca między komunistycznymi krajami

układała się wówczas w miarę pomyślnie. Mój ojciec nie miał wątpliwości, że chce wrócić do kraju i tutaj działać. Skończył studia i gdy miałam roczek, przeprowadziliśmy się do Algierii, gdzie mieszkaliśmy z rodziną do 18. roku życia.

Dlaczego wyprowadziliście się do Francji?

– Z przyczyn politycznych. Moja rodzina została właściwie zmuszona do emigracji. Dostawaliśmy groźby. Wyjazd do Francji wydawał się najlepszym rozwiązaniem. I rzeczywiście Francuzi zapewnili nam pomoc, zaopiekowali się nami. Ale zmiana miejsca zamieszkania jest zawsze trudna. Musiałam porzucić świat, który meblowałam sobie przez kilkanaście lat życia, i przenieść się do miejsca, gdzie wszystko było nowe, inne i obce. To doświadczenie obciążające psychicznie i wiele osób nie potrafi sobie z nim poradzić. Mnie jakoś to się udało – we Francji dalej się kształciłam, poszłam na studia, zdobyłam dyplom reżyserski i zaczęłam pracować za kamerą. Nie jest jednak tak, że teraz jestem stuprocentową Francuzką. Algierka dalej we mnie siedzi. Właściwie czuję się zawieszona gdzieś pomiędzy Algierią a Francją. Czasami czuję się zbyt algierska dla

Mounia Meddour w wieku 18 lat przeniósł się z rodziną do Francji – do emigracji zmusiły ich pogroźki, jakie dostawali w czasie wojny domowej. Studiowała dziennikarstwo, a potem uczęszczała na letni kurs reżyserii w La Fémis w Paryżu. Jej film „Papicha” (2019) dostał nagrodę m.in. na MFF Toifest. Teraz w kinach można oglądać „Hourię”.

Francuzów, a dla Algierczyków zbyt francuska.

Pani filmy – świetnie przyjęta „Papicha” i „Houria” – opowiadają jednak nie o doświadczeniu emigranckim, tylko o tym, jak trudno jest młodym Algierkom realizować się w kraju naznaczonym przeszłością wojny domowej.

– Interesuje mnie dziedzictwo mojego kraju. A jako że wywodzę się z rodziny dokumentalistów, to chcę je badać poprzez doświadczenia młodych Algierek, bo to coś, co znam z własnego życia najlepiej. Wiem, w jaki sposób dążą do wyzwolenia, jak bardzo są silne, jakie mają potrzeby. Oba filmy traktuję jako dyptyk, kolejne rozdziały tej samej historii. Imię Houria oznacza wolność, co traktuję symbolicznie.

Z pani filmów wynika, że nie jest łatwo być kobietą we współczesnej Algierii. Houria doświadcza nawet pobicia ze strony mężczyzny, który w wojnie domowej był terrorystą. Wyszedł na mocy amnestii, ale i tak wszyscy go się boją.

– Doświadczenie Hourii nie jest czymś niezwykłym. Sama miałam dwa razy złamaną kostkę, więc wiem, o czym opowiadam. Proszę zwrócić jednak uwagę, że po tym zdarzeniu Houria nie użala się nad sobą ani nie załamuje, tylko zbiera się w sobie, żeby dążyć do nowych marzeń. Musi zrezygnować z tańca, ale zaczyna go uczyć inne kobiety. Zależało mi, żeby

muzułmańskiej. Dla niektórych zaskoczeniem będzie nawet to, że bohaterki filmu tańczą na widoku innych ludzi czy palą papierosy.

– Chciałam pokazać siłę algierskich kobiet, ale bez zakłamywania rzeczywistości, w jakiej żyją. Dlatego ważne było dla mnie, żeby zarysować kontekst społeczny i ekonomiczny, w jakim funkcjonuje dziś duża część Algierek. Dotykają nas konsekwencje wojny domowej, nadal odczuwamy jej skutki w codziennym życiu. Jesteśmy pękniętym społeczeństwem, które ma trudności, żeby się pojednać, bo pamięć o tragicznych wydarzeniach wojny domowej jest w nas

że teraz już nie możemy obwiniać o wszystko Francuzów.

W pani filmie istotne są idee siostrzeństwa, wspólnotowości kobiet. To coś żywego w Algierii?

– Algierki potrafią kopać bardzo głęboko w sobie, żeby znaleźć siłę i odwagę do walki o to, co jest dla nich ważne. I potrafią w tym nawzajem się wspierać. „Houria” mówi również o roli kolektywności. Pokazuję, że jedna kobieta może stosunkowo niewiele, ale gdy już pojawia się grupa kobiet, nagle problemy, jakie napotykają, są łatwiejsze do rozwiązania. Chcę o tym przypominać, żeby ośmielić te widzi,



Taniec w domach to nic zdrożnego. Gorzej, kiedy kobiety zaczynają tańczyć w miejscach publicznych. Z tym społeczeństwo ma problem.

poprzez ten film podkreślić niezłomność Algierek, pokazać, jak trudno jest je powstrzymać przed chęcią realizowania siebie. Zanim Houria zostanie pobita, oddaje się wielogodzinnym, wycieńczającym treningom tańca, bo wie, że to dla niej jedyna opcja poprawy warunków życia. A gdy już wie, że sama nie będzie mogła tańczyć, całą parę ładuże w popchnięcie do działania innych kobiet.

Ten obraz Algierek jest w pani filmie ciekawy, bo w Europie wciąż funkcjonuje wiele stereotypów na temat roli i pozycji kobiety w społeczności

nadal żywa. Problemem są też narastające dysproporcje społeczne. Kiedy w latach 70. żyliśmy z wydobycia ropy naftowej, wydawało się, że gospodarka naszego kraju się ustabilizuje i wszyscy będziemy żyć na godnym poziomie. A potem było coraz gorzej, dochodziło do coraz bardziej niepokojących zapaści ekonomicznych i walk o władzę, które w końcu doprowadziły do wybuchu wojny. W efekcie straciliśmy nie tylko nadzieję, ale też stabilizację oraz wolność, a bieda ponownie stała się częścią krajobrazu Algierii. Tylko

które zostają same ze swoimi trudnościami. Film zaczęłam sceną rozgrywającą się na dachu domu. Jest późny wieczór, a Houria dalej tańczy w świetle gwiazd. Jest zupełnie sama. Moja opowieść kończy się na tym samym dachu, gdzie teraz działa teatr – jest w nim mnóstwo ludzi, krząta się wiele kobiet. Miejsce, które było samotnią mojej bohaterki, gdzie z trudnościami musiała radzić sobie sama, zamieniło się w przestrzeń, gdzie problemy rozwiązuje się wspólnie. A kobiety, które do tego teatru przychodzą po raz pierwszy, ▶

► doświadczają czegoś, co zmienia ich życie. I nie chodzi tylko o moc sztuki, ale o oglądanie rezultatu pracy wielu kobiet. Głęboko wierzę w to, że miks sztuki oraz kolektywnej pracy kobiet jest w stanie zmieniać świat. Dlatego sama robię filmy, do których zapraszam inne kobiety.

To, co pokazała pani w filmie, odbija faktyczną sytuację w Algierii, czy jest to raczej myślenie życzeniowe i zachęta, żeby Algierki zaczęły współdziałać?

– Sytuacja społeczna w Algierii jest bardzo skomplikowana. Cierpimy z powodu braku organizacji zrzeszających kobiety, pozwalających im spędzać ze sobą czas i popychać się do realizacji planów

żyły na modłę tych bogatych. Nie jesteśmy jednolitym społeczeństwem, ale wiem, że musimy działać razem, żeby poprawić jakość życia każdej z nas.

To faktycznie uniwersalny problem – wiele Polek powie, że od nikogo tak nie dostały w kość, jak od innych Polek.

– Zasadnicza różnica pomiędzy naszymi krajami zasadza się na tym, że u was działa wiele stowarzyszeń i organizacji prowadzonych przez kobiety, dlatego inne Polki widząc ich działania, rozumieją lepiej idee siostrzeństwa i wzajemnej pomocy. Przez to, że w Algierii takich organizacji nie ma, trudno nam przemówić do całego społeczeństwa. Możemy

się rozmawiać, ani coś, co publicznie się pokazuje. Dla mnie jednak taniec jest wyrazem nas samych, naszą ekspresją, niewerbalną formą komunikowania się ze światem. W moim filmie odebrałam bohaterkom głos – zrobiłam z nich osoby nieme, ale pozwoliłam im się wyrażać właśnie za pomocą tańca. To w ten sposób chciałam dać głos tym wszystkim Algierkom, którym go odebrano. Dzięki „Hourii” symbolicznie pozwoliłam im przemówić.

Czy Algierki mogą oglądać pani filmy w kinach?

– „Papicha” nigdy nie trafiła do dystrybucji w Algierii, chociaż Ministerstwo Kultury wydało na to zgodę. Mało tego, film reprezentował



Nie dojdzie do emancypacji Algierek, nie zwiększymy swoich praw, jeżeli będziemy działać osobno.

i idei. Nie dojdzie do emancypacji Algierek, nie zwiększymy swoich praw, jeżeli będziemy działać osobno. Niestety, jest też w naszym kraju problem obecny na całym świecie, czyli kobiet występujących przeciwko kobietom. To działa zwłaszcza w obszarze różnych klas społecznych i przedstawicielek różnych generacji. Jeśli jedne kobiety dorastały w świecie, który był uporządkowany według konserwatywnych reguł, to nie mają ochoty, żeby ich córki czy wnuczki żyły w świecie rozluźnienia, w którym mogą podejmować decyzje o swoim ciecie, losie, przyszłości. Podobnie jest, jeśli chodzi o status społeczny. Biedne kobiety utożsamiają bogate z liberalniejszym trybem życia i nie chcą, żeby ich córki

działać tylko wycinkowo, tak jak pokazałam to w moim filmie.

A jak jest z tańcem? Kobiety mogą tańczyć, czy jest to wciąż zajęcie niemile widziane i krytykowane?

– Taniec w domach to nic niezwykłego ani zdrożnego. Kiedy dzieje się poza widokiem, wtedy wszystko jest w porządku. Gorzej jest, kiedy kobiety zaczynają tańczyć w miejscach publicznych czy tam, gdzie mogą patrzeć na nie mężczyźni. Z tym społeczeństwem ma problem. Bohaterka mojego filmu, która żyje na całkiem niezłym poziomie ekonomicznym, jest powszechnie krytykowana, bo dorobiła się tego, tańcząc na weselach. Taniec jest związany z ciałem kobiety, a ciało kobiety to temat tabu. To nie jest coś, o czym publicznie

kraj w wyścigu oscarowym, był oficjalnym algierskim kandydatem do tej nagrody. Mimo to wiem, że obejrzała go duża grupa Algierczyków, co mnie bardzo cieszy. To, co mnie bawi w tej sytuacji, to podejście ludzi do tego filmu. Jedni chwalą go za realistyczne pokazanie problemów Algierii, a drudzy z tego samego powodu go krytykują. Tak jakby niektórzy akceptowali to, w jakim kraju żyją i chcieli coś z tym zrobić, a inni wciąż to wypierali i zakłamywali rzeczywistość. Tak czy inaczej za bardzo wartościowe uważam kino, które potrafi wzbudzić dyskusje i podzielić widzów. Uważam, że takie filmy są najlepszym narzędziem walki o emancypację.

Artur Zaborski

FESTIWAL

29. Międzynarodowy Plenerowy Festiwal Jazz na Starówce Leszek Kułakowski Quintet

Lider zespołu należy do elity polskich artystów jazzowych, to twórca kompletny: kompozytor, pianista, aranżer, teoretyk i pedagog. Zafascynowany jest jazzem traktowanym jako tworzywo uniwersalnej narracji muzycznej. Porusza się w szerokim spektrum stylistycznym, inspirując się zarówno Krzysztofem Komedą i Fryderykiem Chopinem, jak i muzyką religijną czy folklorem kaszubskim. Skomponował ponad 150 utworów jazzowych na zróżnicowane obsady instrumentalne i instrumentalno-wokalne, m.in. „Missa Miseri Cordis” na solistów, chór i orkiestrę, „Piano concerto” na fortepian z orkiestrą czy „Eurofonię” na głos solowy, kwintet jazzowy i orkiestrę. W sobotę usłyszymy retrospektywny, międzynarodowy projekt z udziałem wybitnych muzyków z okazji 30-lecia pracy artystycznej Leszka Kułakowskiego. (ap)

Więcej na: www.jazznastarowce.pl.

WARSZAWA, RYNEK STAREGO MIASTA, 8 LIPCA, GODZ. 19



NA POWAŻNIE

Opera o ksenofobii

Arcydzieło współczesności w muzyce trafiło do repertuaru stołecznego Teatru Wielkiego. Rzec jest o wykluczeniu ze wspólnoty wioski rybackiej prostego, ale zawziętego człowieka. Mieszkańcy do baranków nie należą, ale opłotkowanej osoby, która się wyróżnia, nienawidzą z całego serca. Na scenie widzimy zmaganie się żywiołów, ludzkiego i morskiego. Nasz czołowy reżyser operowy sugeruje nawet... kanibalizm.

Bronisław Tumiłowicz



„Przemiana” według Franza Kafki,
scenariusz Mateusz Górnicki,
reżyseria Grzegorz Jaremkó,
Nowy Teatr, premiera 9 czerwca 2023

Przemiana w nikogo

Tym razem „Przemiana” Franza Kafki, będąca podstawą spektaklu w Nowym Teatrze, nie stała się ponuro-tragicznym metafizycznym spektaklem, ale raczej balansującym na granicy humoreski reportażem o człowieku/ludziach mających dość udziału w wyścigu szczurów. Gregor Samsa (Bartosz Bielenia), który pewnego dnia budzi się jako potworny robak, nie przeżywa wstrząsu, lecz rodzaj perwersyjnego zadowolenia, kiedy znajduje taką drogę ucieczki ze świata bliskiego stanu wyczerpania. Bycie nikim, bez ambicji i pożądań wydaje mu się kuszące. Zaszywa się w swoim pokoju – plastikowym namiocie, spędzając czas na powolnym obumieraniu aż do chwili, gdy trafi na wysypisko śmieci. Grzegorz Jaremkó paradoksalnie z wigorem maluje obraz świata, który już niczego nie obiecuje, z bohaterami, którzy niczego nie oczekują. Jest już po wszystkim. Pozostał jeszcze balet z kublami asenizacyjnymi. Jak u Becketta.

Przemiana Gregora nie budzi też szczególnego zainteresowania rodziców (sugestywne role komediowe Magdaleny Popławskiej i Piotra Polaka), niezdolnych do okazywania uczuć – pozostaje do załatwienia co najwyżej kwestia finansowa: skoro Gregor nie nadaje się do eksploatacji, do pracy musi iść ojciec, a najwyraźniej nie zamierza poświęcać się dla rodziny. Będzie więc, jak rasowy improdukt, udawał, że pracuje.

Ten stan wyczerpania i niechęci do wzmoczenia wysiłku w imię trudnych do zdefiniowania celów nie nęci tu już nikogo. Wszyscy najchętniej oddaliby się słodkiemu lenistwu. Kapitalistyczny pęd do sukcesu staje się już tylko martwym hasłem, na którego zwłokach buszują wspomnienia slapstickowych sztuczek Charliego Chaplina (znakomita Małgorzata Hajewska-Krzysztofik).

Prawdę mówiąc, nie przypuszczałem, że będę kiedyś bawić się na „Przemianie”, choć mimo wszystko jest to śmiech ze ściśniętym sercem. Tomasz Miłkowski



Benjamin Britten, „Peter Grimes”,
reżyseria Mariusz Trelński,
dyrygent Michał Klauza,
Teatr Wielki-Opera Narodowa,
premiera 23 czerwca 2023

Wiek zabobonów

Drzewka szczęścia, wróżby z pośladków, tarot na TikToku. Skąd w społeczeństwie tak wielka potrzeba myślenia magicznego?

Kornel Wawrzyniak

Siedzę w samym środku redakcji, mijają mnie koleżanki i koledzy redaktorzy i trochę się wstydzę. Na moim ekranie wyświetla się bowiem wielki wypięty tyłek w skórzanych stringach. W tym samym kadrze mężczyzna po pięćdziesiątce, ubrany w koszulę z chińskimi wzorami, dumnie wskazuje pośladki rękoma. Czy oglądam w pracy film pornograficzny? Nie. Czytam przepowiednię meteorologiczną sławnego polskiego rumpologa w portalu „Super Expressu”. „Na świecie jest tylko jeden człowiek, który mógł zakończyć ten spór – Kazimierz Olszewski, mistrz wróżenia z pupy. Jemu wystarczyło wnikliwe spojrzenie na pośladki pięknej Ani (25 l.) z Warszawy, by wszystko stało się jasne. – Zima będzie w tym roku łagodna – zawyrokował. – Żadnych mrozów dochodzących do –35 st. C nie widzę”, czytam w materiale zamieszczonym w bardzo popularnym portalu informacyjnym.

Świat i moc magii

Choć brzmi to niewinnie, wręcz niepoważnie, bo mamy XXI w., to ludzie na całym świecie wykazują nadal ogromną skłonność do wierzenia w magię. Prof. Boris Gershman z Uniwersytetu Amerykańskiego w Waszyngtonie opublikował pod koniec 2022 r. wyniki badania, które pokazują, że w moc magii (np. przepowiadanie przyszłości czy rzucanie uroków) wierzy aż 40% mieszkańców globu. Wyniki badania przedstawiono w artykule „Wierzenia i czary na świecie: analiza eksploracyjna”. Metoda badawcza opierała się na rozmowach przeprowadzonych w latach 2008-2017 z ponad 140 tys. osób z 95 krajów.

Według amerykańskiego badacza w działanie magii wierzy nawet 20%

Polek i Polaków. Okazuje się też, że im dalej na wschód, tym silniejsze przekonania co do skuteczności magicznych praktyk. Zależy to od tego, jak skuteczne są instytucje publiczne w danym kraju. Zaskakujący jest też czynnik społeczny. Jak można się domyślać, ludzie lepiej sytuowani i wysoko wyedukowani mają mniejszą skłonność do wierzenia w czary. Tyle że między najgorzej a najlepiej wykształconymi osobami jest jedynie 6-7% różnicy, jeśli chodzi o takie predyspozycje.

Również CBOS prowadził badania dotyczące wiary Polaków w magię. W 2011 r. ukazała się analiza „Polacy wobec niektórych poglądów z kręgu New Age” obejmująca lata 1997-2011. I choć badanie może wydawać się wiekowe, już wtedy pokazywało tendencję zwykłą. Ponad połowa Polaków deklaruje, że czyta horoskopy. Aż sześć na 10 osób przekonanych jest, że istnieją ludzie, którzy mają zdolności jasnowidzenia, a 40% respondentów wierzy w telepatię.

Zodiakary

– Pierwsze, o co pytam nowo poznanego faceta, to kiedy się urodził. Muszę policzyć, jaką jest numerologiczną liczbą, żeby wiedzieć, czy nam się uda coś zbudować – opowiada 33-letnia Ania pracująca w branży IT. W internecie kobiety deklarujące wiarę w numerologię czy znaczenie znaków zodiaku określa się prześmiewczo mianem zodiakar. To osoby, które wierzą w astrologię, horoskopy a nawet starają się żyć zgodnie z fazami Księżyca. Nie byłoby może w tym nic złego, gdyby nie narastająca frustracja zarówno wśród kobiet, jak i mężczyzn w kontekście relacji damsko-męskich.

– Gdy moja 21-letnia siostra pozna nowego chłopaka, zaraz wchodzi na TikToka i sprawdza

w 30-sekundowym tarocie, czy ten związek ma jakąś przyszłość. W ten sposób Emilia spławiła już siedmiu zupełnie normalnych gości. I jest przez to bardzo nieszczęśliwa, bo uważa, że nie może sobie nikogo znaleźć, ponieważ jest z nią coś nie tak – mówi o swojej młodszej siostrze 35-letnia Julia.

Wszystkie zachowania, w których ludzie powierzają swój los magii czy gwiazdom, są przykładem tzw. myślenia magicznego. Opisywał je już wybitny polski antropolog Bronisław Malinowski. Według niego korzenie praktyk i myślenia magicznego mają źródło w doświadczeniu przez człowieka bezsilności w obliczu trudnych sytuacji, których przewyciężenie przekracza umiejętności jednostki. Z racji tego, że człowiek nie umie sobie poradzić z daną sytuacją, zaczyna wykonywać działania zastępcze, które pomagają mu poradzić sobie w przewyciężeniu poczucia bezsilności. To może sugerować, że w stronę magii zwracają się głównie osoby zagubione lub mające poczucie bezradności wobec świata.

Wyniki badania CBOS „Zadowolenie z życia w 2022 r.” wskazują, że większość Polek i Polaków jest raczej zadowolona ze swojego życia. Nie jest więc źle, ale zawsze mogłoby być lepiej. 44% respondentów ma podobny stosunek do swoich dochodów. Warto nadmienić, że nasi rodacy najczęściej pytają wróżki o sprawy sercowe i właśnie finanse. Również z badania CBOS wiemy, że respondenci deklarujący udział w praktykach religijnych są bardziej zadowoleni z życia niż niepraktykujący. Powierzenie siłę wyższej swojego losu jest także dla Polaków rzeczą dość powszechną. Wspominane już badanie CBOS z 2011 r. dowodziło, że w naszym społeczeństwie powszechnie akceptowany jest tzw. uniwersalizm religijny. Polakom nie przeszkadza więc



Wróżby – wersja stolikowa.

mieszanie deklarowanej wiary katolickiej z praktykami innych wierzeń. CBOS wskazuje, że aż 55% Polaków czyta w gazetach horoskopy.

Magiczna kasa

„Super Express” korzystał z usług wspomnianego już rumpologa Olaszewskiego kilka razy. Jego przepowiednie nie dotyczyły jedynie pogody, ale też losów kariery politycznej rapera Liroya czy życiowej mądrości jednej z celebrytek. A to wszystko wycytane z pupy! I choć tabloid może wydawać się ekstremalnym przykładem koncentrowania najgłośniejszych treści w jednym miejscu, nie jest wcale przypadkiem odosobnionym. Dziś każdy duży portal informacyjny w Polsce ma sekcję horoskopów, a nawet całe podstrony o magii. Onet zaprasza na magia.onet.pl, a konkurencyjna Wirtualna Polska ma dla czytelników horoskop.wp.pl. – Gdy patrzyłam w statystyki, widać było, że tytuły takie jak „Te znaki zodiaku najczęściej dopuszczają się zdrady” czy „Te znaki zodiaku czeka dobry rok pod względem finansowym” miały bardzo dużo odsłon. A jak wiadomo, dużo kliknąć to potencjalna kasa z reklam – mówi Natalia, była pracowniczka jednego z większych portali informacyjnych w Polsce. I dodaje – żadna redakcja nie zatrudnia wrózek do horoskopów. Piszą je pracownicy.

Magia i czary są dla portali elementem tzw. lifestyle’u dlatego w pierwszej kolejności wszelkie nawiązania

do praktyk magicznych pojawiają się w materiałach poświęconych kobietom. Po wpisaniu hasła: „czary” na platformie YouTube od razu trafiam na film o tym, jak rzucić czar na przyciągnięcie partnera. Nagranie ma 163 tys. wyświetleń. Gdy w wyszukiwarce Google wpiszę hasło „magiczne drzewko” (czyli zwyczajny grubosz), kilka pierwszych wyników to nie strony na temat czarów, ale najpopularniejsze portale kobiece. – Kiedyś z okazji nowego roku pisałam horoskop. Strategia była prosta – każda osoba w redakcji wzięła sobie jakiś znak i tłumaczyła to, co znalazła w internecie po angielsku. Tak powstał horoskop dla wszystkich znaków zodiaku na 2021 r. w naszym portalu – wspomina Natalia. Wtórzy jej Adrian, który również ma za sobą pracę jako mediaworker. – Horoskopy pisałem od początku pracy w mediach. Wszystko zmyślał. Oczywiście są pewne reguły, które warto znać. I tak osoby spod znaku Panny uchodzą za wyjątkowo pedantyczne. Warto więc przekazać dopasować pod pewien klucz, w który uwierzą odbiorcy.

15% Polaków deklarowało w badaniu CBOS „Polacy wobec niektórych poglądów z kręgu New Age”, że przynajmniej raz skorzystali z usług wrózek lub wróżbity. Z komunikatu „Co przyniesie przyszłość – o horoskopach, wrózkach i talizmanach”, który CBOS opublikował w 2018 r., dowiadujemy się, że z ofert wrózek korzystają najczęściej osoby w trudnej sytuacji życiowej, a 23% osób uczestniczących

w praktykach religijnych przynajmniej kilka razy w tygodniu skorzystało z porady wróżki chociaż raz.

Obecnie największą popularnością cieszą się wszelkie przepowiednie multimedialne. Są one też najtańszą formą kontaktu z wróżbitami. Często wystarczy wysłać drogi SMS lub zadzwonić za kilka złotych za minutę na antenę jednego z telewizyjnych lub internetowych kanałów wróżbiarskich. Zawód jasnowidza stał się zaś bardzo popularny. Jeszcze w latach 90. według oficjalnych statystyk wróżbiarstwem zajmowało się kilka tysięcy osób. Dziś jest to nawet 100 tys. osób. Polacy wydają obecnie na usługi wrózek i jasnowidzów ok. 2 mld zł rocznie.

Niestety, spopularyzowanie przez media społecznościowe praktyk magicznych niesie nie tylko frustrację randkującej młodzieży, ale również niebezpieczeństwo dla zdrowia niektórych osób. Kwitnie handel magicznymi przedmiotami. Z wyników zawartych w badaniu „Co przyniesie przyszłość – o horoskopach, wrózkach i talizmanach” wynika, że co piąty ankietowany w wieku 18-34 lat ma lub miał jakiś talizman, w którego działanie wierzy. Wiara ta słabnie z wiekiem. Wśród ankietowanych powyżej 55. roku życia w magiczne właściwości przedmiotów wierzy co 10. osoba. Oczywiście większość z tych magicznych przedmiotów jest nieszkodliwa. Jednak paradoksalnie niesie to pewne niebezpieczeństwo, które można zaliczyć do kategorii zaniedbania. – Od wielu lat na targach minerałów pojawiali się klienci, którzy byli zainteresowani magią, a nie estetyką okazów. Sprzedawcy grzecznie tłumaczyli, że to tak nie działa. Ale ktoś zwietrzył dobry interes – pojawili się handlarze magicznymi przedmiotami – opowiada Sławomir Szlinke sprzedawca okazów mineralogicznych z Orion Crystals & Minerals i dodaje: – Najbardziej niepokoi mnie to, że ludzie kupią taki kamień, bo usłyszą, że im pomoże, i nie pójdą do lekarza. To może skończyć się nawet śmiercią. Takie zachowanie sprzedawców nie jest w porządku, to żerowanie na ludzkiej naiwności, które może doprowadzić do nieodwracalnej krzywdy.

k.wawrzyniak@tygodnikprzeglad.pl

Rozmawia Michał Sobczyk

Hasło „tradycyjne polskie potrawy” u mało kogo wywołuje skojarzenia z kuchnią wegańską. Pański blog i książki stanowią dowód, że dania bez mięsa, mleka i jego przetworów oraz jajek przez wieki były powszechne w jadłospisach naszych rodaków, zwłaszcza niezamożnych.

– Na ponad 120 przepisów, które zebrałem w „Roślinnej kuchni regionalnej”, ok. 70 było oryginalnie wegetariańskich i wystarczyło w nich zamienić mleko krowie na napój owsiany czy twaróg na tofu, a prawie wszystkie pozostałe „od zawsze” były wegańskie. Tylko cztery z nich w tradycyjnej wersji zawierały mięso, a jeden – rybę.

Większość tych potraw jest znanych jedynie w konkretnym regionie lub regionach. Poznałem je, gdyż podczas moich podróży po Polsce różni wspaniali ludzie bardzo chętnie dzielili się ze mną rodzinnymi recepturami. Poza zastępowaniem nabiału jego roślinnymi odpowiednikami nic w nich nie zmieniałem, co najwyżej proponowałem dodanie określonych przypraw, gdy dochodziło do wniosku, że mogą poprawić smak.

Opisane przez pana dania nadal pojawiają się na stołach czy głównie we wspomnieniach starszych mieszkańców?

– Są nadal żywym składnikiem dziedzictwa kulturowego regionów. Część z nich przyrządza się w domach na co dzień, kolejne w określone święta, jeszcze innych można spróbować podczas wydarzeń poświęconych lokalnym tradycjom. Niektóre wygrywają najważniejsze konkursy kulinarne w Polsce, sporo zostało wpisanych na listę produktów tradycyjnych prowadzoną przez Ministerstwo Rolnictwa i Rozwoju Wsi.

Oczywiście istnieją dania roślinne znane bardzo wąskiemu gronu, ale również względnie popularne, jadane w więcej niż jednym województwie. To, że nie popadły w zapomnienie, to zasługa przede wszystkim pań działających w kołach gospodyń wiejskich, które przekazują przepisy z pokolenia na pokolenie, a także rozmaitych festiwali i targów.

Które regiony wniosły do narodowej kuchni szczególnie dużo potraw bez składników pochodzenia zwierzęcego?

Humus chwalicie, łupci nie znacie

Weganizm w Polsce
ma długie i bogate tradycje



PAWEŁ OCHMAN

– popularyzator kuchni wegańskiej, odkrywca potraw regionalnych, twórca nowych przepisów. Autor bloga weganon.pl i książek kucharskich, m.in. „Roślinnej kuchni kresowej”.

– Z moich podróży i rozmów wynika, że najczęściej powstało ich we wschodniej części Polski, przez którą rozumiem Podlasie, Lubelszczyznę i Podkarpacie oraz część Mazowsza i regionu świętokrzyskiego. Uwarunkowania klimatyczne i historyczne sprawiły bowiem, że to na terenach zaboru rosyjskiego jedzono najwięcej ziemniaków, wyrobów mącznych i kasz. Jednak i na zachodzie współczesnej Polski nie brakowało dań czysto roślinnych, a po 1945 r. na tamtejsze tradycje nałożyły się nowe. Wówczas na Śląsk, ziemię lubuską, Pomorze Zachodnie, a w pewnym zakresie również na Mazury i Żuławy trafili repatrianci z Kresów Wschodnich, którzy przywieźli dużo ciekawych pomysłów na potrawy jarskie. **Z oczywistych powodów większość „ludowych” przepisów wegańskich jest prostych i opiera się na kilku łatwo dostępnych, tanich i sycących składnikach, takich jak warzywa korzenne czy strączkowe.**

– Inną charakterystyczną cechą tej kuchni jest częste korzystanie z roślin dziko rosnących. Jeżeli chodzi o przyprawę, poza solą i pieprzem większość z nas ogranicza się do liścia laurowego, ziela angielskiego i majeranku, tymczasem jeszcze w międzywojniu powszechne było używanie wszelkich ziół, w związku z tym, że można ich za darmo nazbierać na łąkach i w lasach. Z powodów ekonomicznych znajdowano liczne zastosowania również dla owoców róży, tarniny, dzikiego bzu czarnego (popularnie zwanego hycką), jeżyn, malin, poziomek itd., a także dla popularnych chwastów. Lebiodę, pokrzywę czy podagrycznika bardzo często mieszano z kaszami, otrzymując w efekcie potrawę, które nie tylko zaspokajały głód, ale także, jak zaobserwowano, miały działanie prozdrowotne.

Po wojnie dzikie rośliny jadalne praktycznie wypadły z jadłospisów, podobnie jak wiele warzyw.

– Dziś nam się wydaje, że odkrywamy jarmuż, brukiew, pasternak, skorzonę czy buraka liściowego, a tak naprawdę były one bardzo popularne w polskiej kuchni już od średniowiecza. Odrzucono je, ponieważ kojarzyły się z biedą,

życiem w getcie, a niektóre nawet z posiłkami podawanymi w obozach koncentracyjnych.

Jedną z roślin, które niemal całkowicie zniknęły z naszych stołów, jest lędźwian, nazywany także podlaską soczewicą. Przypomina trochę mały groch, ma wyjątkowy, lekko orzechowy smak, a w porównaniu np. z fasolą błyskawicznie się gotuje, co jest dużym ułatwieniem w przygotowywaniu potraw. Z tego powodu

Wydaje nam się, że odkrywamy jarmuż, brukiew, pasternak, skorzonę czy buraka liściowego, a tak naprawdę były one bardzo popularne w polskiej kuchni już od średniowiecza.

robiono z niego zupę, różnego rodzaju gulasze z dodatkiem grzybów, a nawet wypiekano pasztety.

Wiele zgromadzonych przez pana przepisów zaskakuje oryginalnymi połączeniami smaków.

– Wizytówką roślinnej kuchni regionalnej mogą być choćby kujawskie pierogi z ziemniakami i kiszoną kapustą, jedno z moich ulubionych. Prześwietle są także tuncie, których spróbowałem kilka lat temu na Rostoczu: gołąbki przygotowywane nie z surowych, ale kiszonych liści kapusty, faszerowane kaszą gryczaną, a po ugotowaniu odsmażane,

Tradycyjnie, oryginalnie i wegańsko

- **ziemia świętokrzyska:** dyniowe kotlety z siekaną pokrzywą
- **Podkarpacie:** pierogi z lebiodą
- **Mazowsze:** konfitura z młodych pędów świerka
- **Kaszuby:** zupa z suszonych owoców i grzybów
- **Kujawy:** wypieki z musem z owoców черемchy
- **Pomorze Zachodnie:** grzyby kiszzone z zielonymi szyszkami sosny
- **Śląsk:** zupa ziemniaczana z bluszczykiem kurdybankiem
- **Podhale:** brukiew z kaszą jęczmienną i mięta
- **Żmudź:** krupnik z bobem
- **Wileńszczyzna:** zupa z dzikiej róży
- **Wołyń:** zupa z suszonych jagód z domowym makaronem

polewane olejem konopnym i dopiero wtedy serwowane.

Nadzwyczajne są także wigilijne kisiele: owsiany z Podlasia i gryczany z Lubelszczyzny. Ten pierwszy można jeść na słodko, np. polewany syropami czy sokami owocowymi, tymczasem drugi po zastygnięciu jest krojony, odgrzewany i podawany z duszoną cebulą, z dodatkiem tłoczonego na zimno oleju rzepakowego lub lnianego.

Wyjątkowo oryginalna i różnorodna była bezmięsna kuchnia kresowa.

– Nic dziwnego, skoro tamte tereny zamieszkiwali nie tylko Polacy, Litwini, Białorusini, i Ukraińcy, ale także Żydzi, Ormianie, Niemcy, a nawet Czesi. Każda nacja miała swoje potrawy, a ponadto ich tradycje kulinarne bardzo często się przenikały, tworząc wyjątkowe połączenia.

Jednym z moich odkryć – potrawą mało znaną nawet w rodzinach Kresowiaków – jest poleska kulaga. Kaszę gryczaną zalewano wodą, dodawano do niej jagody i odstawiano na kilka dni, żeby sfermentowała, a później ją mielono, ugniatano i gotowano. Tak otrzymana pasta służyła jako farsz do placków czy naleśników, ale można było ją również posolić i podawać z gotowanymi ziemniakami.

Jednak chyba największym zaskoczeniem były dla mnie zupy: chłodźce (czyli chłodniki) z dzikich owoców, zielone barszcze (np. z pokrzyw czy szczawiu), poleski żur gotowany na mleku zamiast wody czy lwowska zupa cytrynowa.

W „Roślinnej kuchni kresowej” można także znaleźć fascynujący przepis na kapuśniak.

– Jesteśmy przyzwyczajeni do tego, że zupa z kiszonej kapusty ma wyraźnie kwaśny smak, natomiast lwowscy Żydzi sporządzali ją ze słodkiej kapusty, do której dodawali rodzyńki, powidła śliwkowe, cynamon i migdały. Przykłady nieoczywistych połączeń smakowych, jakie powstały na Kresach, można by mnożyć.

► **Nasi przodkowie byli na co dzień jaroszami, bo nie było ich stać na mięso. Pod koniec XIX w. pojawili się pierwsi propagatorzy dobrowolnej rezygnacji z jego spożywania.**

– Bardzo duży wkład w popularyzację tej idei wniosła Fania Lewando, która z mężem Lazarem w XX-leciu międzywojennym prowadziła w Wilnie Diętojarską Jadłodajnię. Serwowano tam wegetariańską kuchnię żydowską, w tym roślinne wersje potraw mięsnych. Przykładem mogą być sznycle z selera, które od kilku lat krążą w internecie jako nowinka, czy warzywny paszety.

Wyjątkową osobą był w tym czasie także prof. Apolinary Tarnawski, który w Kosowie Huculskim na południowym krańcu II RP otworzył prywatny zakład przyrodolecniczy, czyli sanatorium.

Jego pacjentami byli m.in. Maria Dąbrowska i Melchior Wańkowicz, a z polityków Ignacy Daszyński i Roman Dmowski.

– Jedną z metod leczenia było stosowanie diety jarskiej, a produkty wykorzystywane przez tamtejszych kucharzy pochodziły z przyzakładowego ogrodu lub z bliskich okolic. Żona lekarza, Romualda, napisała na ten temat książkę, a w charakterze ciekawostki wspomnę, że reklamowano tam produkty, które współcześni Polacy dopiero odkrywają: agar jako zamiennik żelatyny, masło kokosowe czy makaron sojowy.

W tamtych czasach właściwie w każdym większym polskim mieście funkcjonowała co najmniej jedna wegetariańska restauracja, a pierwsze czasopismo o tej tematyce, „Jarskie Życie”, Maria i Augustyn Czarnowski zaczęli wydawać już w 1912 r. Osoby, które rezygnują z jedzenia mięsa, kontynuują naprawdę bogate tradycje kulinarne Polski.

Michał Sobczyk



Przepisy pochodzą z książki Pawła Ochmana *Roślinna kuchnia kresowa*, Marginesy, Warszawa 2023

Barszcz czerwony

Barszcze na bazie buraków to klasyka kuchni Kresów Wschodnich. Do dziś stanowią jedną z podstawowych zup w Ukrainie. Ogólnie ten barszcz nazywany jest ukraińskim, ale różni się w poszczególnych regionach. Przygotowywany był już w XVI w., choć wtedy używano rośliny o nazwie barszcz i miał zielony kolor. Z czasem zaczęto dodawać buraki i inne warzywa. Często przygotowywany był na mięsnych wywarach. W bogatych domach robiony był na wywarze wołowym, w biednych zaś – na samych warzywach. To właśnie dodatek pomidorów sprawia, że barszcz jest wyjątkowy w smaku. Nie dodaje się do niego ziemniaków, ale można fasolę. Sposób gotowania jest wieloetapowy. Najpierw gotuje się buraki, następnie kapustę, której wywarem zalewa się podsmażone warzywa i tarte buraki. Na koniec dodaje się pomidory. Barszcz podaje się z kleksem śmietany i natką pietruszki lub lubczyku.



600 g średnich buraków, 300 g białej kapusty, 300 g marchewki, 100 g korzenia pietruszki, 150 g cebuli, 200 g selera, 300 ml passaty pomidorowej, 2 liście laurowe, 6 ziaren ziela angielskiego, 3 łyżki oleju słonecznikowego lub rzepakowego, sól i pieprz

1. Buraki dokładnie wyszorować i włożyć do garnka. Wlać wodę i gotować ok. 1,5 godz. Wystudzić, obrać i zetrzeć na tarce o dużych oczkach.
2. Kapustę grubo poszatkować. Zalać 2 l wody. Gotować 20 min. Odcedzić. Wywar odstawić.
3. Marchewkę, seler i pietruszkę zetrzeć na tarce o dużych oczkach, a cebulę pokroić w średnią kostkę. W garnku rozgrzać olej i włożyć warzywa. Smażyć na średnim ogniu przez ok. 10 min. Wlać cały wywar z gotowania kapusty. Dodać ziele angielskie, liście laurowe, sporą szczyptę soli oraz pieprz. Gotować 30 min.
4. Dodać buraki i gotować jeszcze 15 min. Następnie dodać kapustę i gotować kolejne 5 min. Na końcu dodać passatę. Gotować 5 min.
5. Wlać na talerz. Można dodać łyżkę wegańskiej śmietanki.

Drożdżowe placki ziemniaczane

Miasto Buczacze należało w XVIII w. do rodu Potockich. Dzięki tej rodzinie rozkwitło po najazdach tureckich. Po rozbiorach znalazło się w zaborze austriackim. Znaczącymi grupami społecznymi Buczacza byli Polacy i polscy Żydzi. Po I wojnie miasto na krótko weszło w skład terytorium Zachodnioukraińskiej Republiki Ludowej, by w 1919 r. znów trafić w granice Polski, do województwa tarnopolskiego. Kuchnia Buczacza i okolic była pod dużym wpływem żydowskiej. Królowały dania z dodatkami przypraw korzennych, suszonych owoców, ziemniaków oraz fasoli. Z ziemniaków robiono kugle i placki, dodawano je do czulentu czy cymesu. Używano ich też do przepysznych racuchów drożdżowych. Ugotowane ziemniaki mieszano z zaczynem drożdżowym i smażyono puszyste placki, które podawano ze smażoną cebulą z makiem. Zamiast drożdży zaczęto również dodawać zakwas żytni, który dodatkowo wzbogacał smak.

1 kg ziemniaków, 50 g świeżych drożdży (lub 16 g suszonych), 300 g mąki pszennej uniwersalnej + 1 łyżka, 1 łyżka cukru, 2 łyżki ciepłej wody, 1 łyżeczka soli + do posolenia wody, olej rzepakowy lub słonecznikowy

1. Ziemniaki obrać i ugotować w osolonej wodzie. Odcedzić i dokładnie utłuc tłuczkiem. Wystudzić.
2. Do miski włożyć drożdże, po 1 łyżce mąki i cukru oraz 2 łyżki ciepłej wody. Dokładnie wymieszać. Przykryć i odstawić w ciepłe miejsce na 15 min.
3. Do zaczynu dodać ziemniaki, sól i 300 g mąki. Szybko i dokładnie zagnieść ciasto. Przykryć i odstawić w ciepłe miejsce na 30 min.
4. Odrywać kawałki ciasta i na blacie posypanym mąką formować dłońmi cienkie racuchy. Smażyć na średnim ogniu na rumiano z obu stron.

Wieczne odpoczywanie



Wojciech Kuczok

Permanentne wakacje

Nie znoszę słowa urlop, bynajmniej nie z powodu niechęci do germanizmów. Jako urodzony harys, *kery poradzi godać*, spolszczenia lub ześląszczenia słów niemieckich wyssałem z mlekiem matki, niektóre z nich považam szczególnie, jak choćby cudownego *szmaterloka*. Jest w tym słowie cała chaotyczna trajektoria motylego lotu, w przeciwieństwie do ciężkiego *schmetterlinga*, który jakoś od razu kojarzy się z messerschmittem, lecącym prosto do celu, przy gęstym ostrzale broni maszynowej. Per analogiam nie lubię „urlopu”, bo jest krótki i surowy w wymowie, od razu narzuca sztywne widelki terminu, jest w nim hierarchiczne napięcie – o urlop należy się ubiegać u przełożonych, wyprosić pozwolenie na czas wolny, w którym bez względu na stan ducha i ciała należy zmieścić swoją wolność od pracy. Na urlopie trzeba wypocząć, dlatego niewielu kojarzy go z wysiłkiem dla przyjemności; urlop – chłop oklapł na piachu i próbuje wyleżeć *Weltschmerz*, zalewając go w pełnym słońcu trunkami dostępnymi na opaskę *all inclusive*. Urlop to przepustka od roboczej mojrzy, od początku zatruta piętnem tymczasowości i kwaśnym przeczcuciem, że po jej zakończeniu trzeba będzie nadrobić zaległości, a zatem harować w dwójnasób: sama ta myśl męczy bardziej, niż czas wolny daje odpocząć.

Co innego wakacje – po pierwsze, są o sylabę dłuższe, co już pozwala leniwie się przeciągnąć i prowokacyjnie odwołać do szczęsnych dekad naszego dzieciństwa i młodości, kiedy lato było czasem regulaminowej kanikuły, dwu-, a na studiach już trzymiesięcznej. Pracodawcy nie tolerują wakacji za ich skandalicznie wolnościowy podtekst (łacińskie *vacatio* znaczy „oswobodzenie”), kryje się w nich ocean czasu, cała pora roku do dyspozycji, można ją przeleżeć w trawie, zmitrzyć w chruśniaku, albo przewędrować bez celu i programu. Kto raz zażył urlopu, ten już nigdy nie będzie miał wakacji, klamka zapadła; mówiąc „mam urlop”, chętnym się w domyśle tym, że „mamy pracę”, która nam ustawia życie; wyrosliśmy z wakacji, dojrzeliliśmy do urlopu, jesteśmy statecznymi obywatelami, koniec, kropka. Mówiąc „jadę na wakacje”, choćbym wybierał się tylko na tydzień do sąsiedniej dzielnicy, oznajmiam, że jestem bezzwzględnie niedyspozycyjny, życie firmowe interesuje mnie teraz tak jak peerelowski „napój firmowy”,

jak wyrób życiopodobny, mówiąc „mam wakacje”, policzuję szefa za wszystkie polecenia, które mi wydawał przez cały rok, odwracam struktury władzy, teraz ja i moje słodkie pełnopłatne nieróbstwo jest na szczycie piramidy. Wakacje to anarchia czasu niezagospodarowanego, kapitałści łypią na nie spode łba jak deweloperzy na chronione prawem puste połacie pośrodku miasta. Wakacje pozwalają na nieśpieszność, danie czasowi czasu, zatrzymanie i bilans: a może zrobiliśmy już wystarczająco dużo, żeby pracę porzucić? Kto nam wmówił, że robota jest wartością? Może stać nas na to, żeby sobie obniżyć wiek emerytalny i przy ograniczeniu potrzeb mieć wakacje do końca życia?

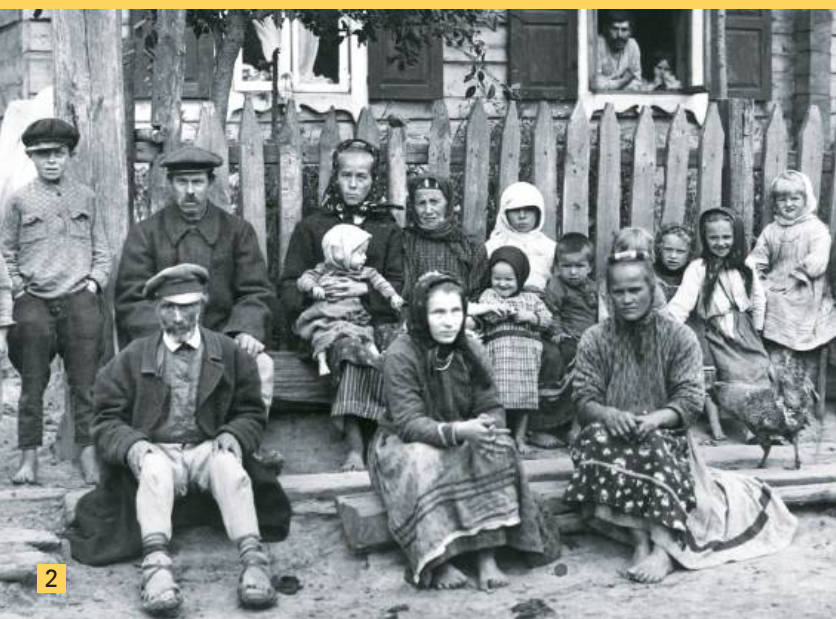
Nigdy nie korzystałem z urlopu, albowiem nigdy w życiu nie byłem etatowo zatrudniony. Uroki wolnego zawodu są niezaprzeczone i warto dla nich przetrwać

Kto raz zażył urlopu, ten już nigdy nie będzie miał wakacji, klamka zapadła.

nawet największe kryzysy. Przez pół wieku sam sobie zadawałem każdego ranka pytanie, czy dziś chcę mieć dzień roboczy, sam wyznaczałem sobie pory pobudek (a zawsze były to pobudki wysokie), a także sygnał fajrantu. Demon lenistwa pod rękę z upiorem acedii nigdy mi nie oduściły, toczyłem z nimi wyczerpujące boje, a czasem poddawałem się na długie miesiące, pamiętane jako epizody głębokiej depresji. Życie mi przebiegało turbulentnie, zazdrośnie zaglądałem do okien ludziom, którzy raz osiągnąwszy wysokość przelotową, spokojnie wiodli swój żywot, bywałem bogaty i biedny, smutny w samotności i szczęśliwy w miłości, jako i smutny w miłości, i szczęśliwy w samotności bywałem nieubezpieczony przez lata całe, bo nie było mnie stać na opłaty, bywałem bezdomny pod dachem i zadowolony pod gołym niebem, byłem za chudy i zbyt gruby, mądry i głupi, byłem stary za młodu i dziedzinniałem na starość – rozmaicie mi się koleje losu układały, ale nawet wykołejony nie miałem wątpliwości: największym szczęściem moim było to, że nigdy nie musiałem brać urlopu. Żyłem wolno, a nawet powolnie – bo było mi wolno.



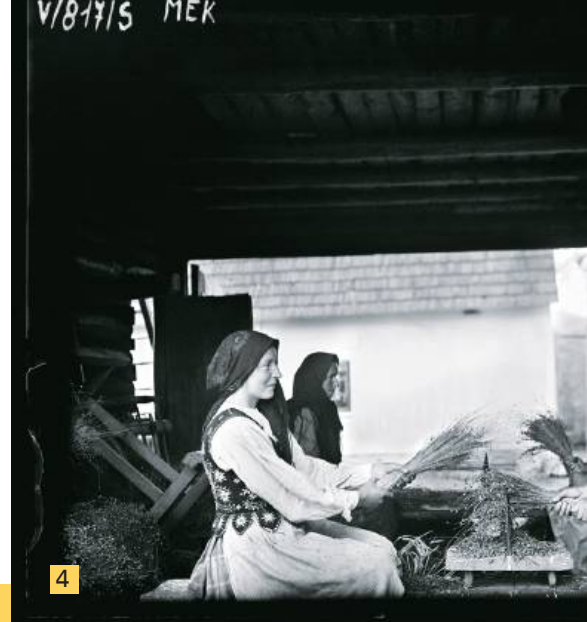
1



2



3

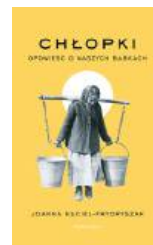


4

CHŁOPKI

Podczas gdy Maryśki i Kaśki wyruszają do miast, by usługiwać w pańskich domach, na wsiach zostają ich siostry i matki: harujące od świtu do nocy gospodynie, folwarczne wyrobnice, mamki, dziewczki pracujące w bogatszych gospodarstwach. Marzące o własnym łóżku, butach, szkole i o zostaniu panią. Modlące się o posag, byle „nie wyjść za dziada” i nie zostać wydane za morgi. Dzielące na czworo zapalki, by wyżywić rodzinę. Często analfabetki, bo „babom szkoły nie potrzeba”.

Fotografie pochodzą z książki Joanny Kuciel-Frydryszak *Chłopki. Opowieść o naszych babkach*, Marginesy, Warszawa 2022



1. Żniwa w majątku hrabiego Remigiusza Grocholskiego, rok 1924.
2. Wieś międzywojenna dramatycznie się rozrasta. Bieda dotyczy szczególnie wschodnich, zaniedbanych terenów. Mieszkańcy ze wsi Morocz (dziś na terenie Białorusi), rok 1929.
3. Kobieta łemkowska, rok 1935.
4. Rafanie lnu, czyli oddzielanie nasion od łodygi za pomocą specjalnych grzebień.
5. Chustka chłopki to dużo więcej niż zwykłe okrycie głowy. Mężatki w wielu regionach noszą je, zgodnie z tradycją, jako symbol skromności i pokory. Mieszkanki Pokucia.



FOT. NAC (6), MUZEUM ETNOGRAFICZNE W KRAKOWIE (2)

6. Gdy jest się biednym, rodzina musi pracować więcej. Dzieci bardzo się do tego przydają. Okolice Bochni, rok 1932.

7. Co piąte dziecko w międzywojennej Polsce nie dożywa roku.

Fot. Narcyz Witczak-Witaczyński.

8. Jesienią potrzebne są kopaczki. Wykopki ziemniaków trwają około trzech tygodni, więc można zarobić trochę grosza. Rok 1931.

Czerwony kap-TUREK, czyli tureckie żarty Halila Elciego

Bronisław Tumiłowicz

W ofercie biur turystycznych poczesne miejsce zajmuje dziś Turcja. Dobre hotele, ciepłe morze, atrakcje górskie, wspaniałe zabytki, mili ludzie i do tego tanio. Z roku na rok taniej, bo inflacja w tym kraju, przekraczająca wciąż 50%, sprawia, że polski złoty, który jest narażony „tylko” na 12-procentową inflację, wciąż się umacnia w stosunku do tureckiej liry. Nasi turyści na miejscu otoczeni są opieką przewodników dobrze władających językiem polskim, co bardzo ułatwia kontakty. Polacy, którzy trafili na grupy oprowadzane przez Halila Elciego, reprezentującego biuro Traveyo Turizm, współpracujące z naszymi touroperatorami, mają do czynienia z fenomenem, jakich mało w świecie. Wycieczki objazdowe pod jego egidą są precyzyjnie zorganizowane, odbywają się w znakomitej atmosferze i świat wydaje się nie tylko piękny, ale i radosny. Z dowcipów,



zwróci nawet za kilka miesięcy, za rok, za dwa. I chyba to akurat nie był żart, tylko poważna deklaracja.

Wśród żartów Halila najprostsze są zagadki.

Jaka jest najstarsza turecka bajka dla dzieci? – Czerwony kap-TUREK.

natomiast kebaby robi się z różnych mięs, a ich smak urozmaica liczna gama sosów. Trudno się nawet zorientować, z czego jest sam kebab.

Do żartów Halil wykorzystał też nazwisko naszego Adama Małysz, który ponoć także wypoczywał w Turcji. Jest tutaj bowiem wiele terenów wysokogórskich i oprócz zażywania odpoczynku na plaży przez większość roku można również uprawiać sporty zimowe. Mówiąc o tym, Halil uprzedził swoją grupę, że w przydrożnych stacjach benzynowych czy barach, przy których zatrzymują się autokary, toalety zwykłe są typu azjatyckiego (bo większa część państwa znajduje się w Azji), czyli bez muszli klozetowej. Załatwianie potrzeb odbywa się zatem w pozycji „na Małysza”.

Wielbłądy w akcji

Inna kategoria żartów porównuje cechy Polaków i Turków.

Polski turysta postanowił zwiedzić Turcję na grzbiecie wielbłąda. Proponowano mu wielbłąda z miejscowym przewodnikiem, ale Polak uparł się,

Jak się nazywa eleganckie ubranko dla tureckiego chłopca? – Garni-TUREK.

żartów i innych opowieści Halila można by ułożyć przewodnik na wesoło. On sam jest świetnym promotorem Turcji jako kraju przyjaznego ludziom i już na wstępie informuje, że jego ziomkowie mają wpisaną w swoje DNA chęć pomocy obcokrajowcom w każdej sytuacji. Nawet jeśli nie mogą się dogadać z przybyszem, nie rozumieją, o co prosi, to wszelkimi sposobami próbują udzielić mu jakiejś rady, wskazać drogę czy w inny sposób ułatwić życie. Aby być wiarygodnym, Halil każdemu wręcza swój prywatny numer telefonu i zapewnia, że nie pozostanie obojętny na sprawy, z którymi ktoś się do niego

Jak się nazywa eleganckie ubranko dla tureckiego chłopca? – Garni-TUREK.

A jak mówimy o małej tureckiej dziewczynce? – Minia-TURKA.

Małysz w Turcji

Były też zagadki bardziej realistyczne.

Gdzie można zjeść najlepszy kebab? – Nie w Turcji, tylko w Polsce.

I tu Halil wyjaśnia: kebaby w Turcji przyrządza się z baraniny, nie używa się mięsa wieprzowego. Dodaje się przyprawy, ale nie sosy. Kebab turecki jest więc suchy. W Polsce

że będzie jechał sam. Kupił dorodnego wierzchowca i siadł na przygotowanym siodle, ale żadne pokiwnia ani ściskanie kolanami nie uruchomiło zwierzęcia. Sprzedawca wyjaśnił, że aby wielbłąd ruszył, trzeba podać komendę: *Uff*. Jeśli wielbłąd będzie szedł zbyt wolno, można przyspieszyć, wypowiadając: *Uff, uff*. Aby natomiast wielbłąda zatrzymać, trzeba podać komendę: *Amen*.

Podróż dookoła Turcji rozpoczęła się po pierwszym *Uff*, po jakimś czasie turysta postanowił przyspieszyć i podał komendę: *Uff, uff*. Wielbłąd posłusznie zaczął biec, ale turysta zauważył, że zbliżają się do urwiska. Z przerażenia zapomniał komendy na zatrzymanie. Mając już śmierć przed oczyma, zaczął odmawiać „Zdrowaś Mario...”. Gdy wypowiedział *Amen*, wielbłąd stanął tuż nad przepaścią. Turysta otarł pot z czoła i powiedział: *Uff*.

Nie ma tabu

Okazją do tworzenia dowcipów jest też tradycja związana z życiem rodzinnym i zwyczajami religijnymi. Halil nie widzi większych sprzeczności między islamem a chrześcijaństwem, przynajmniej jeśli chodzi o reguły życiowe, zasady postępowania i prawdy wiary. Jego zdaniem jedyna poważna różnica wynika z tego, że muzułmanie uważają, iż Chrystus był jednym z proroków religijnych, a nie bogiem. Reszta daje się jakoś pogodzić. Muzułmanie turcy pragną choć raz w życiu odbyć pielgrzymkę do Mekki, polscy katolicy pielgrzymują do wielu miejsc na świecie, w tym do Ziemi Świętej.

Starsza kobieta, matka kilku córek i teściowa, podczas takiej pielgrzymki zmarła. Zięciowie, którzy partycypowali finansowo w tym wyjeździe, zastanawiają się teraz, gdzie powinna być pochowana. – Trzeba będzie sprowadzić ją do kraju – mówi jeden. – Taniej będzie pochować ją w Ziemi Świętej – mówi drugi. – Słuchaj – odzywa się pierwszy – ale tam jeden już zmartwychwstał.

Halil nie wypiera się przywiązania do rodzimej tradycji życia religijnego, ale też potrafi z niej żartować. Opowiada historię o młodej

kobiecie, znajomej Turczynce, która zakochała się w szwedzkim turyście i została jego narzeczoną. Wybrańek nie mógł jednak zrozumieć, dlaczego nie może dojść do zbliżenia z ukochaną dziewczyną, a narzeczoną wciąż podkreśla surowe reguły, w których została wychowana. Halil postanowił pomóc zakochanym i od swojego brata – imama – otrzymał zestaw odpowiednich wersetów,

Gdzie można zjeść najlepszy kebab?

– Nie w Turcji, tylko w Polsce.

które są wypowiadane podczas muzułmańskiego ślubu. Uroczystość została odpowiednio przygotowana, Halil wystąpił w nowej roli i tradycji stało się zadość, a młoda para była w pełni usatysfakcjonowana.

Śmieszne słowa

Język turecki, choć jego reguły gramatyczne są bardziej logiczne i mają mniej wyjątków niż język polski, nie przypomina żadnego języka europejskiego. Dzięki twórcy nowożytnego państwa tureckiego Mustafie Kemalowi Atatürkowi, pierwszemu prezydentowi Republiki Turcji, wprowadzono w kraju alfabet

faciński. Możemy więc łatwo porównywać słowa tureckie i polskie, co prowadzi do licznych zaskoczeń, bo np. *baba* to ojciec, *kupa* to kubek, *araba* to samochód, *usta* to mistrz albo szef, *nisan* to kwiecień, *adam* to człowiek, mężczyzna, *kara* oznacza kolor czarny, *para* – pieniądze, a *sen* to zaimek ty, zaś *on* oznacza dziesięć. I jeszcze *huy* to po polsku charakter. W Turcji dosyć często pojawiają się imiona Burak i Baran. U nas raczej nikt nie chciałby się tak nazywać.

Halil doskonale zna historię swojego kraju, ale jest też przygotowany na podkreślanie związków z historią Polski. Nie powtarza popularnego powiedzenia o królu Sobieskim: „Bardzo kochał Marysieńkę, ale ciągnęło go do Turków”. Za to nawiązuje do znanej historii z czasów zaborów, gdy na dworze sułtana zawsze zapowiadano przybycie posta z Lechistanu, choć on się nie pojawiał. Mniej znanym faktem jest to, że w czasie II wojny światowej gmach ambasady w Stambule był jedynym w Europie budynkiem, na którego szczycie powiewała polska flaga. Na przykładzie Turcji widać wyraźnie, że ten odległy geograficznie i kulturowo kraj może być dla nas korzystnym partnerem, nie tylko w dziedzinie turystyki. ■





1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15	16	17	18	19	20	21	22	23	24
---	---	---	---	---	---	---	---	---	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----

Objaśnienia są podane w kolejności alfabetycznej odgadanych wyrazów.
Miejsce wpisu do odgadnięcia. Wszystkie litery T ujawniono.
Litery z pól ponumerowanych od 1 do 24 utworzą końcowe hasło.

- i wstążka, i kwiat
- glin
- haft lub dzianina z dziurkami
- zbędny ciężar
- Rocky...
– filmowy bokser
- rzucany przez pannę młodą
- gończy pies myśliwski

- imię aktorek Bryzek i Domińczyk
- urzędnik, którego zdanie jest wiążące
- nasze państwo z niej i z kartonu?
- mezozoiczna, chrześcijańska, Wodnika
- potocznie nazywany alkoholem

- futebal na okulary
- przybudówka przed wejściem
- wenecka łódź
- ...naturalna – ogół nauk przyrodniczych
- wąwóz, parów
- agencja informacyjna episkopatu w skrócie
- barwnik w korzeniu marchwi
- rączka przy zamku
- recytatorski lub piękności
- węgla, złota albo pomysłów
- pisklę kwoki
- miasto nad Łebą
- Kaddafi tam rządził
- chorobowy wykwit na skórze
- brat krwi Odyana
- przywódca zbuntowanych aniołów

- ...de Marillac, założycielka szarytek
- gilgotki, łaskotki
- włóczęga (ten albo ta)
- ...Berezowska, malarka i rysowniczka
- pracownik kolei przetwarzający wagony
- ...kulturowy – straszy nim prawica
- mały owad żerujący na pędach
- faryzeusz sprzyjający Jezusowi
- Stefan, rewolucjonista stracony w 1905 r.
- podatkowa, wyborcza lub zamojska
- drewno używane w stolarstwie artystycznym
- ...Zimowy – część Ermitażu
- jest w oku patrzącego
- Marian, autor powieści „Pióropusz”
- ...boju – pole bitwy
- druzgocąca kłeska

- pożywienie, jedzenie
- brudna woda
- po myciu naczyni
- czynnie uprawia zawód
- część zdania określająca rzeczownik
- „...Smauga” – druga część „Hobbita”
- z siecią na pięciozłotówce
- „...rozstajny”, Bolestawa Leśmiana
- makulatury lub interwencyjny zbóż
- tłuszcz ze słoniny
- zapach spalenizny
- przemoc i okrucieństwo, by zastraszyć
- silnik z wirnikiem łopatkowym
- przy losze
- lewy dopływ dolnej Wisły
- nie wszystkie są jadowite

KUPON JOLKI „Przeglądu”

hasło:

imię i nazwisko:

adres:

Ja, niżej podpisany(a), wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych przez Fundację Oratio Recta z siedzibą w Warszawie, ul. Inżynierska 3 lok. 7, 03-410 Warszawa, w celu niezbędnym do rozwiązania jolki w „Przeglądzie”, opublikowania moich danych osobowych na łamach tygodnika w razie wygranej i przesłania mi nagrody. Oświadczam, że zostałem(am) poinformowany(a) o dobrowolności podania danych osobowych, o prawie wglądu do moich danych, prawie do ich poprawiania i usuwania.

data, miejscowość

czytelny podpis

Rozwiązania samego szyfru prosimy nadsyłać na adres redakcji w ciągu 14 dni od daty ukazania się numeru, z dopiskiem: „JOLKA-1124”. Do rozlosowania książki „Nikt nie woła” ufundowane przez Wydawnictwo MG. Rozwiązanie można też wysłać, pisząc SMS: KRPRZ.XXX.HASŁO KRZYŻÓWKI. Należy stosować litery, cyfry i kropki, wielkość liter nie ma znaczenia, w miejsce XXX wpisać numer krzyżówki. Osoby nadsyłające rozwiązania wyrażają tym samym zgodę na przetwarzanie ich danych osobowych. SMS-y należy wysłać pod numer 72550 (płatny 2,46 PLN + VAT) do 9 lipca 2023 r.

Rozwiązanie „JOLKI-1121” z nr. 24: *W naturze nic nie ginie.*
Nagrody otrzymują: Marianna Felis z Koła, Janina Krunis-Traczyk z Warszawy, Józefa Woźny z Katowic.

Duch Macierewicza

Wcywilizowanym świecie to są rzeczy niepojęte. Pisaliśmy już o tym, ale warto postawić kropkę nad i. Oto szef MSZ Zbigniew Rau zatrudnił Sławomira Cenckiewicza na etacie w archiwum MSZ. Ten etat (czy pół etatu) jest istotny – gdyby bowiem Cenckiewicz zgłosił się do MSZ jako pracownik naukowy, musiałby przejść przez określone procedury. Musiałby prosić pracowników archiwum o określone dokumenty, musiałby przeglądać je na miejscu, wszystko byłoby rejestrowane. Tymczasem jako pracownik archiwum, i to nikomu niepodlegający, robił, co chciał. Mógł wyciągać dokumenty, jakie chciał, mógł je kopiować, miał pełną swobodę.

Efektom tej swobody są dzieła publicystyczno-propagandowe, które publikuje. Chwaląc się przy tym, że dane dokumenty „odnalazł”. Cóż, dokument to nie obiekt archeologiczny, z zasady leży tam, gdzie leżeć powinien.

Poza tym fatalnie wygląda, gdy szyfrogram, który jeszcze w maju 2023 r. był oznaczony gryfem „tajne”, zostaje w trybie nagłym odtajniony, a jego kserokopia wrzucona do publicznej wiadomości. Po co? A towarzyszą temu sugestie, że obecni wrogowie PiS są podejrzani. I nie chodzi o to, że są podejrzani o błędy polityczne, ale o to, że mogą być przez Moskwę szantażowani albo wręcz być jej agentami.

Tak oto wraca nam Macierewicz.

W MSZ jest to szok.

Po pierwsze, przyzwyczajono się, że minister prowadzi politykę zagraniczną, a nie jest patronem grzebania w starych dokumentach, żeby znaleźć haki na politycznych przeciwników. Rau nigdy nie zajmował się dyplomacją, na sprawach międzynarodowych zna się tyle,

ile czyta gazet, przyszedł do MSZ ze stemplem pisowskiego aparaczyka. I potwierdził te opinie.

Po drugie, tajnych spraw nie prezentuje się publicznie.

Po trzecie, jest niemądrą sprawą ujawnianie materiałów, które pozwalają ocenić jakość naszej dyplomacji, jej źródła informacji, a czasami – brak źródeł... Niech to już pozostanie tajemnicą resortu.

Po czwarte, te oskarżenia często okazują się strzałem kulą w płot. Tak jak oskarżanie, że Tusk z Sikorskim nie chcieli tarczy antyrakietowej w Redzikowie, a potem okazuje się, że to Sikorski podpisywał umowę o jej budowie.

Po piąte wreszcie, każdy kto przepracował parę lat w tym ministerstwie, wie, że znaleźć tam można różne rzeczy. Na szczęście! Bo zanim jakieś decyzje się podejmie, trzeba je przeanalizować, rozważyć różne scenariusze, nawet te nieoczywiste. Takie materiały krążą na różnych szczeblach. Prowokują do dyskusji. Ale to chyba już przeszłość. Bo dla kogo pisać takie analizy, skoro MSZ to tylko kolejna komórka partii rządzącej? A poza tym, po co się wychylać, skoro za jakiś czas przyjdzie inny Cenckiewicz i będzie machał takim świadectwem „zdrady”?

To nie jest political fiction. Były narady, choćby w Kancelarii Prezydenta, podczas których proponowano Andrzejowi Dudzie, że Polska powinna przestać oglądać się na USA, w zamian za to postawić na Chiny i jako sojusznik Pekinu lewarować swoją pozycję. Wyobraźmy sobie teraz, że te dyskusje zostały nagrane, są stenogramy i gdzieś to wypływa, odpowiednio przykrojone, z odpowiednim komentarzem... I co wtedy?

Attaché

Rząd Hondurasu ogłosił, że kontrolę nad więzieniami przejmuje na rok żandarmeria wojskowa. Ma przeszkolić 2 tys. nowych strażników. Jest to reakcja na walkę, jaka wybuchła między dwoma rywalizującymi ze sobą gangami w więzieniu dla kobiet. W jej wyniku wybuchł pożar, w którym zginęło ponad 40 osadzonych.





PENETRACJE

KRAKÓW

MARIUSZ URBANEK,
PISARZ, BIOGRAFISTA

Książka „Marian Eile. Pocziwy cynik z »Przekroju«” była w 85-90% gotowa, kiedy ukazała się inna książka o fenomenie „Przekroju”, i uznaliśmy z prezesem wydawnictwa Iskry, że lepiej z wydaniem poczekać. To opowieść o życiu Mariana Eilego i o „Przekroju”, ale także historia PRL i tej szczególnej formacji, która pozwoliła przetrwać polskiej kulturze, czyli inteligencji. Jestem przekonany, że „Przekrój” był w pierwszej kolejności pismem dla inteligencji, dopiero w drugiej – co zarzucali mu orędownicy kultury wyłącznie wysokiej – dla drobnomieszczaństwa znanego w tamtym ustroju jako inteligencja pracująca. A nawet jeśli „Przekrój” był robiony dla drobnomieszczaństwa, to dla takiego z aspiracjami.

Press

STANISŁAW ZASADA,
PUBLICYSTA

Latem zeszłego roku Piotr Czaban odchodzi z TVN 24. Przez 13 lat relacjonował z Podlasia newsy dla tej stacji, robił materiały do programu „Czarno na białym”. Wcześniej pracował w białostockim dzienniku „Kurier Poranny”, uczył też polskiego. – Tu się urodziłem. Biegałem po lasach, gdzie umierają dziś ludzie. Nie mogę być obojętny. Gdyby polskie służby nie narażały czyjegoś zdrowia i życia, nie angażowałbym się. Ale nasza straż graniczna przyjęła strategię Białorusi i gra uchodźcami. W serwisie YouTube otworzył kanał „Czaban robi raban”. Zamieszcza relacje z poszukiwań, zdjęcia ofiar, apeluje o pomoc. O sytuacji na granicy informuje na Facebooku i Twitterze. – Apeluję do dziennikarzy i prezenterów: pamiętajcie, że nie ma nielegalnych ludzi, nie ma nielegalnych migrantów.

TYGODNIK
ANGORA

MAREK BARTOSZEK,
PREZES KLUBU PUSZCZA NIEPOŁOMICZE

Nie będziemy robić żadnej rewolucji w składzie. Chcemy, żeby zawodnicy, którzy wywalczyli historyczny awans, mieli możliwość kontynuowania swojej pięknej przygody. Wierzmy, że dzięki temu mamy większą szansę na dłuższy pobyt w ekstraklasie niż jedno-sezonowy epizod. Liczy się jedność szatni i poczucie stanowienia prawdziwej drużyny. Bezpiecznie może także czuć się trener Tułacz, który pracuje w klubie od sierpnia 2015 r., co jest ewenementem w polskiej piłce. W weekend obchodziliśmy święto miasta i z tej okazji wypożyczyliśmy nasz puchar za awans, który wystawiono na dziedzińcu Zamku Królewskiego. Było istne szaleństwo. Wszyscy chcieli sobie zrobić zdjęcie z trofeum.

Twoi STYL

KINGA DĘBSKA,
REŻYSERKA

Sukcesy córki cieszą mnie bardziej niż moje. Ale uważam, że ona wciąż mnie potrzebuje. Okres przecinania pępowiny trwał u nas długo. Zanim Marysia dostała się na aktorstwo, rok studiowała w Akademii Muzycznej. Już wtedy wyprowadziła się do Łodzi. Nagle po trzecim roku studiów aktorskich córka wróciła do domu. I się zaczęło: Mamo, a co ty jesz?! Jak ty wyglądasz?! Jak ty się ubierasz?! Ależ mi to wtedy przeszkadzało! Teraz Marysia z nami nie mieszka, ale przyjeżdża do Milanówka. To nasze gniazdo rodzinne. Ja wciąż się o nią martwię. Jednak to raczej ona dzwoni do mnie codziennie niż na odwrót.

BRAKUJĄCE LITERY

W każdym rzędzie wstaw po 6 liter, tak aby odczytać trzy hasła – rozwiązania.

Z Ł O T N E Z O B I Z Z O T A

Ł Ę D N Y K O K O B Ł D A M Y L

K O Z N A S I B I N A I N Y H

ROZWIĄZANIE: Z BŁOTA NIE ZROBISZ ZŁOTA, BŁĘDNY KROK TO BŁĘDNA MYŚL, KTO ZNA SIEBIE ZNA INNYCH



Aby język giętki...

JULIUSZ MACHULSKI O PiS

Odgrzało wewnętrznego polskiego chama: nie wstydz się, że nic nie umiesz; wcale nie jesteś głupi, bo jesteś mądry inaczej, nie wstydz się, że kradniesz lub kłamiesz.

RAFAŁ KALUKIN O ADRIANIE ZANDBERGU

Za błyskotliwym intelektem, dodatkowo wspartym niedźwiedzią posturą i tubalnym głosem, od początku skrywała się jednak delikatna natura, raczej niezdolna do twardej politycznej rywalizacji.

ALEKSANDRA KWAŚNIEWSKA O MĘŻU KUBIE BADACHU

My lubimy być i razem, i osobno. On się świetnie sam ogarnia kulinarnie, więc nie musimy go karmić, chociaż lubię.

JERZY ILG O WISŁAWIE SZYMBORSKIEJ

Nobel był dla niej katastrofą. Nie znosiła tłumów, kamer, wywiadów, a piekło wyobrażała sobie jako miejsce, gdzie rozdaje się autografy.

CVETA DIMITROVA O SAMOTNOŚCI

Jeśli chodzi o skutki, wpływa na zdrowie bardziej niekorzystnie niż brak ruchu, alkoholizm i otyłość.

JAKUB KOSECKI O ROBERCIE LEWANDOWSKIM

Denerwuje mnie, gdy mówi, że taktyka nie taka, że trener zły, że system nieodpowiedni, że on nie ma wsparcia.

MARIETA ŻUKOWSKA O SKRZYPCACH

Nie sięgam już po nie. Trzeba zrobić kilka set prób, żeby zagrać czysto.



ADRES REDAKCJI

03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7
Telefony +48 22 635 84 10,
+48 503 158 795, 503 159 027
fax +48 22 635 84 10 wew. 119
przeglad@tygodnikprzeglad.pl

tygodnikprzeglad.pl

Redaktor naczelny: Jerzy Domański j.domanski@tygodnikprzeglad.pl

Pierwszy zastępca redaktora naczelnego: Paweł Dybicz

Zastępcy redaktora naczelnego: Roman Kurkiewicz, Robert Walenciak

Sekretarz redakcji: Agata Gogolkiewicz

Zastępca sekretarza redakcji: Aleksandra Pańko

ZESPÓŁ I WSPÓŁPRACOWNICY: Julian Bartosz, Tomasz Borejza, Marek Czarkowski, Regina Dachówna, Paweł Drag, Jakub Dymek, Beata Dżon-Ozimek, Jakub Katulski, Leszek Konarski, Marek Książek, Helena Leman, Mateusz Mazzini, Tomasz Miłkowski, Lech Miodek, Jan Ordyński, Rafał Pikuta, Maciej Polkowski, Eliza Sarnacka-Mahoney, Michał Sobczyk, Małgorzata Szczepańska-Piszcz, Konrad Szelest,

Bronisław Tumiłowicz, Krzysztof Wasilewski, Kornel Wawrzyniak, Andrzej Werblan, Elżbieta Wojtalik-Soroczyńska, Artur Zaborski, Beata Znamirska-Socząka

Stali felietoniści: Tomasz Jastrun, Wojciech Kuczok, Bronisław Łagowski, Andrzej Romanowski, Andrzej Szahaj, Jan Władcki, Agnieszka Wolny-Hamkało

Rysownicy: Grzegorz Bąkowski, Kain May
Studio graficzne: Dorota Markowska-Burbała, Anna Rosiak, Daria Słowińska-Kettner

Dyrektor artystyczny: Izabela Mierzejewska
Fotoedytorzy: Magdalena Głuska, Rafał Pyznar
Fotoreporter: Krzysztof Żuczkowski

Dział wydawnictw i reklamy:

Dyrektor: Anna Banaszek a.banaszek@tygodnikprzeglad.pl

Wicedyrektor: Agata Mierzejewska a.mierzejewska@tygodnikprzeglad.pl

Dział kolportażu: tel. +48 22 635 84 10 wew. 120

e-mail: kolportaz@tygodnikprzeglad.pl

Wydawnictwa książkowe: tel. +48 22 635 84 10 wew. 111

e-mail: sklep@tygodnikprzeglad.pl

Sprzedaż elektroniczna: sklep.tygodnikprzeglad.pl

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, zastrzega sobie prawo do opracowywania i skracania tekstów. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada. Redakcja ma prawo do odmowy publikacji ogłoszeń.

Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w „Przeglądzie” bez zgody wydawcy jest zabronione. Przedruki po uzyskaniu zgody wydawcy. Sprzedaż numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez wydawcę jest nielegalna i grozi odpowiedzialnością karną.

Druk: Quad/Graphics Europe Sp. z o.o.
07-200 Wyszaków, ul. Pułtуска 120

WYDAWCA: Fundacja Oratio Recta

03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7

NIP: 951-19-67-251, **REGON:** 016275090

KOD SWIFT: WKBKPLPP, **IBAN:** PL

Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821





RAFAŁ OLBIŃSKI

PASSION POUR LA CRÉATION

Rafał Olbiński to ceniony artysta, znany ze swoich skłaniających do myślenia obrazów. Wystawa „Passion pour la création” w poznańskiej galerii SZOKART jest okazją do bliższego przyjrzenia się jego najnowszemu dziełom. Artysta łączy w swojej twórczości inspiracje kulturą antyczną, literaturą, muzyką, malarstwem renesansowym z symbolizmem oraz humorem. I podkreśla, by jego obrazów nie traktować śmiertelnie poważnie, lecz tylko jako punkt wyjścia do skojarzeń, na podstawie których można układać własne historie czy opowiadania. W tworzeniu tych skojarzeń i snuciu opowieści pomagają pojawiające się w obrazach elementy, które można odczytywać symbolicznie.

Olbiński często porównywany jest z wybitnym przedstawicielem surrealizmu, Belgiem René Magritte’em, ale sam wspomina o wielu innych malarzach, którzy mają na niego wpływ, jak: Michał Anioł, Francisco Goya, William-Adolphe Bouguereau, Eduard Manet czy Paul Delvaux.



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Galeria SZOKART
Poznań, pl. Cyryła Ratajskiego 1
do 5 sierpnia



nowy film reżysera przeboju „Właściciele”



oparty na prawdziwej historii

sytuacja awaryjna

reżyseria
Jiří Havelka

absurdalnie śmieszna czeska komedia

w kinach od 7 lipca



MUZYCZNY KAZIMIERZ

KAZIMIERZ DOLNY / KAMIENIOŁOMY

28 LIPCA **KULT**

29 LIPCA **AGNIESZKA
CHYLIŃSKA**

11 SIERPNIA **NOCNY
KOCHANEK
BRACIA
FIGO FAGOT
LEMON**

12 SIERPNIA **ANIA
DĄBROWSKA**

18 SIERPNIA **LADY PANK
MYSLOVITZ**

19 SIERPNIA **MROZU**

25 SIERPNIA **RALPH
KAMINSKI**

STODOLA

BILETY DOSTĘPNE NA: [TICKETCLUB.PL](https://ticketclub.pl) | [STODOLA.PL](https://stodola.pl)